Wincenty Pol

III, I, 10, 63

1/2 6 11
6 —

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/dzielawincentego0001vari

Wincenty Pol, * 1807, † 1872.

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XXVIII.

DZIEŁA

WINCENTEGO POLA.

TOM I.

MIKOŁÓW — CZĘSTOCHOWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI
SP. Z OGR. POR.

Printed in Poland

Wincenty Pol.

Wincenty Pol pochodził z poniemczonej rodziny warmińskiej Pohlów. Ojciec jego urodzony 1751 r. na Warmii, nauki odbywał w Krakowie. Po pierwszym rozbiorze wstąpił do służby rządowej w Galicyi austryackiej, w której dostąpił z czasem stanowiska sędziego apelacyjnego. Roku 1807 w Lublinie urodził się trzeci syn Wincenty. W domu Pohlów pracowitość, religijność, moralność panowały, tudzież uprawiano muzykę.

Po ukończeniu gimnazyum we Lwowie r. 1822 Wincenty zapisał się na wydział filozoficzny wszechnicy tamtejszej. Śmierć ojca r. 1823, niedostatek, kłopoty przeszkadzały w naukach. Skutkiem tego ukończył wydział dopiero w roku 1827. Później zajął się osobliwie literaturą niemiecką, a kiedy w r. 1830 opróżniła się profesura literatury niemieckiej na uniwersytecie wileńskim, podał się o nią. Praca habilitacyjna Historya epopei (po niemiecku) zyskała uznanie; poruczono mu wykład tymczasowy (zastępstwo). Powstanie wybuchłe w listopadzie pociągnęło go, r. 1831 uciekł z Wilna wraz z kilku studentami i wstąpił do korpusu generała Chłapowskiego. Odznaczył się i otrzymał ranę i krzyż wojskowy. W lipcu już korpus Chłapowskiego przekroczył granicę pruską.

Pol znalazłszy się w Prusiech, odwiedził w Reszlu ciotkę, nie umiejącą po polsku, udał się do Królewca, zwiedził brzegi Bałtyku i dotarł aż na Rujanę. Roku 1832 przybył do Drezna, gdzie był pierwszy etap emigracyi. Tutaj zapoznał się z Mickiewiczem i wydał przekład niemiecki pieśni ludowych polskich (r. 1833). Równocześnie wydano w Paryżu jego Pieśni Janusza, które odrazu cieszyły się niezwykłem wzięciem. Pod koniec r. 1832 powrócił przez Wielkopolskę do Lwowa. Tutaj przebywał u znajomych i przyjaciół, zwiedził Tatry. Roku 1836 osiadł na dzierżawie w Kalenicy w majątkach Krasickiego, a r. 1837 ożenił się z Kornelią Olszewską, znajomą jeszcze z czasów uniwersyteckich. R. 1840 przeniósł się do podarowanego folwarku Maryipola. Od r. 1840 wydawał w Lwowie poematy swoje, które utworzyły mu sławę gawędziarza narodowego. Przygody Winnickiego 1840, Pieśni o ziemi naszej 1843 w Poznaniu i i. R. 1845 Towarzystwo gospodarskie galicyjskie wysłało Pola do Prus, aby nawiązać stosunki z tamtejszemi podobnemi organizacyami. W Wrocławiu i w Berlinie, potem w Bernie, Wiedniu i w Gradcu zetknął się z uczonymi niemieckimi.

Powróciwszy do kraju, napadnięty przez chłopów r. 1846 i odstawiony do Lwowa do więzienia, odzyskał dopiero w lipcu tegoż roku wolność. R. 1847 został redaktorem Biblioteki Imienia Ossolińskich, gdzie ogłaszał mniejsze publikacye. Po odbyciu podróży r. 1849 po Czechach, Bawaryi i Rakuzach, otrzymał katedrę geografii na wszechnicy krakowskiej. Tam wydał swoje prelekcye: Rzut

oka na umiejętność geografii 1850, Północny wschód Europy, Północne stoki Karpat 1853. R. 1853 wskutek intryg wraz z trzema innymi profesorami dostał dymisyę. Odtąd nie miał stałego pobytu, tylko podróżował po kraju. W Wiedniu Polacy, w Warszawie i w Lublinie przyjmowano go owacyjnie. Najwięcej przebywał we Lwowie. Tam ogłosił poemat Z wyprawy wiedeńskiej i Pieśń o Domu naszym (r. 1865). Od tego roku zapadł na oczy. Choroba coraz się wzmagała i mimo powtarzanych kuracyi i operacyi zakończyła się ślepotą. Ponieważ nie umiał dać sobie rady z interesami pieniężnymi, uzyskał fundusze przez subskrypcyę i od Wydziału krajowego. R. 1871 ożenił się po raz drugi z Anielą Rościszewską. W czerwcu r. 1872 został członkiem nowo utworzonej Akademii Umiejętności w Krakowie, ale już 3 grudnia tegoż roku zakończył życie w Krakowie.

Wspaniały pogrzeb uczcił zmarłego, na który przybyły deputacye z Poznania i Lwowa a liczni przyjaciele z Królestwa. Zwłoki złożono tymczasowo w grobowcu Bohuszów, gdzie pozostają dotąd, bo subskrypcya otworzona na pomnik nie doszła do skutku.

„Na Wawel z nim“, zakończył Niegolewski mową żałobną na pogrzebie Pola. Dzisiaj dziwnie, śmiesznie nieledwie brzmią nam te słowa; ale za życia jeden tylko Mickiewicz doczekał się sławy większej od Pola.

Było to całkiem naturalne. Zawód swój poetycki rozpoczął od Pieśni Janusza. Piosenki skromne i żywe, wpraszające się do śpiewu, przy-

łgnęły odrazu do pokolenia, co przechodziło. Wiele tężyzny w nich, tu i owdzie gorzkie wyrzuty, że zmarnowano widoki powodzenia i przegrano sprawę, oczywiście wyrzuty na tych co bili się niedołężnie, a nie przeciw tym, co rozpoczęli niebacznie lekkomyślne powstanie — wszak to uchodziło za świętość narodową; a nadewszystko ton żołnierski rubaszny, dziarski, to wesoły to żałosny: wszystko to chwytało od razu ówczesnego Polaka za serce. Dodajmy żywość i śmiałość, świeżość i ochotę, co ujęła nawet Mickiewicza lubiącego opiekować się skromnymi młodzieńcami stawiającymi pierwsze kroki na polu poetyckiem.

Stosunki w kraju były wówczas smutne nadzwyczaj. Powstanie i emigracya odebrały narodowi sił wiele, gubiąc je na polu bitwy lub na wygnaniu na wschodzie i zachodzie. Zapanowało ogłuszenie, cisza i martwota. Jednak nie wyrzeczono się fantastycznych marzeń, rozumowań bezpłodnych i nadziei zwodniczych. Liczono na przyszłą wojnę, na pomoc Francuzów, Niemców, Anglików. Oczekując gwałtownych przewrotów, nie myślano o pracy organicznej, o dobrobycie i organizacyi. Łudzono się lub starano się łudzić co do chwili obecnej i tem chętniej wracano myślą w wieki dawniejsze, w czasy Rzeczypospolitej niepodległej. Byli jeszcze ludzie pamiętający króla Stanisława i sejm w Warszawie. Ich słuchano, na nich oglądano się.

W takich warunkach zjawił się pisarz z niepospolitym talentem, wielbiący przeszłość z jej wadami i błędami, broniący nawet Targowicy stylem „kontuszowym“ Paską. W tych samych wa-

runkach i usposobieniu społeczeństwa Pol pozyskał uznanie. Więc pisze Pieśń o Ziemi naszej, w której odstępuje Wielkopolski, Prus, Pomorza i Śląska, przywłaszcza dla Polski Litwę i Ruś, o których posiadanie nieopatrzna wojna zgubiła Królestwo. Dzięki temu książka znalazła rozgłos i powodzenie. Pisze gawędy i dyaryusze na cześć przeszłości. — Gawęda i dyaryusz jest to opowiadanie — nic więcej tylko opowiadanie. Gawęda pomija jednolitość układu, myśl przewodnią, charaktery osób, wszystko. Polega na tem, że ktoś opowiada coś, co, to obojętnie, byle się rymowało. Takich gawęd Pol napisał kilka, przedstawiając w nich to czasy Zygmuntowskie, to Jana III, to czasy saskie lub Stanisławowskie, zawsze w ten sam sposób, że ktoś opowiada cokolwiek, a opowiada bez końca do znudzenia, obficie krasząc rzecz morałami. Ale swego czasu ta literatura była ulubiona jak dziś powieści historyczne, bo przecież Pol znalazł nawet naśladowców.

Pol nie znał miary talentu swego. Brak zdolności do układu nie dozwalał mu ułożyć większego dzieła, brak wyobraźni czynił gawędy jego nudne. Uczucie średniej miary, głęboka religijność i talent rymotwórczy ujawniają się w drobnych poezyach, w wierszach lirycznych. Gdyby pozostał był przy nich, zasłużyłby na godne miano piosenkarza polskiego; ale naród nie chcąc wiedzieć o nierównie potężniejszym Norwidzie, oczekiwał dzieł na wielką skalę od Pola, a Pol nie miał dość siły woli i znajomości siebie, aby oprzeć się wymaganiom. Wdzięczne, rzewne i serdeczne, pełne ciepłego uczucia piosenki jego i wierszyki chwy-

tają za serce. To też pozostanie po nim nie gawęda jego, ale Pieśni Janusza, ale Obrazy z życia i podróży.

Wiele zasług miał Wincenty Pol jako geograf. Pierwszy wykładał geografię na wszechnicy krakowskiej. Dzieła jego geograficzne dzisiaj oczywiście nowsi badacze prześcignęli. Pomimo to jeszcze teraz z wielkim pożytkiem czytać je można i wiele się w nich nauczyć. Wykład jasny jest i prosty, stylem lekkim a pociągającym pisany. Wagę jego podnosi i dodaje uroku, że osobiście zwiedził całą Polskę, Ruś i Litwę. Pierwszy on dalej ma zasługę, że zwrócił uwagę na potrzebę geografii handlowej, pierwszy od długiego czasu zajmował się muzyką kościelną, mając zamiłowanie do muzyki od dziecięctwa.

Piosenkarz i geograf — oto są tytuły Pola do chwały. Oddajmy każdemu co mu się należy. Dowodem kultury narodu naszego będzie nie uwielbienie tylko dla tych geniuszów co są na Wawelu, ale także dla tych co spoczywają na Skałce i po mogiłach w kraju. Nie przez to uczcimy ich, że każdego ogłosim za największego i pod jedną miarą, ale raczej przez to, że wnikniemy w dzieła poety i uczonego, że zrozumiemy i przetrawimy.

Tak oddamy sprawiedliwość Wincentemu Polowi.

PIEŚNI JANUSZA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WSTĘP.

ŚPIEW JANUSZA.

Śpiewak wita wasze strony:
Niechaj będzie pochwalony!
Pokój z domem tym!
Śpiewak wita w ojców wierze,
A kto w dom go przyjmie szczerze,
Pieśń i Pan Bóg z nim!

Pieśń ojczysta, narodowa,
Prosta, rzewna a surowa,
Jak nasz lud i czas,
A więc w imię pieśni waszej,
Dziejów waszych i krwi Laszej,
Witam, witam was!

Lubię tylko powitanie,
Niech też po mnie tu zostanie
Ten jedyny ślad;
Byście rzekli: Tu przebywał,
Tutaj Janusz nam zaśpiewał,
I gdzieś ruszył w świat.

Byłem w Litwie i w Koronie,
Byłem w tej i w owej stronie,
Byłem tu i tam;
Od Beskidów do Pomorza,
Z Litwy aż do Zaporoża
Całą Polskę znam.

Znam to całe szczere plemię,
Polskie morza, polskie ziemie,
I tę polską sól;
I o wszystkiem marzę, roję,
I to wszystko niby moje,
Nibym polski król.

Choć nieznany i ubogi,
Gdy nawiedzę czyje progi,
Każdy z duszy rad;
Czy to w dworze, czy w klasztorze,
Na słobodzie, czy w gospodzie,
Wszystkim Janusz brat.

Kędy bracia moi smutni,
Brat po mieczu i po lutni,
Niosę piosnkę im,
I obecną słodząc dolę;
Na grochowskie ciągniem pole,
A sławą brzmi rym.

Czasem brząknę mej drużynie,
Kiedy czarna chwila minie,
I weselszy śpiew:
O Krakusach dzieciom nucę,
A powiastką w starych cucę
Staropolską krew.

Nieraz z dziadem w puhar dziarsko
Na powiastkę brzękniem barską,
Sławiąc polski ród;
Wówczas stary wre jak z młodu,
Woła wnuczkę: „Nalej miodu!
Boć to polski miód."

A cóż w świecie nad miód polski?
Nad kord stary, snop podolski,
I nad polski śpiew?
Nad kraj wolny, własną niwę,
I te Polki czarnobréwe,
I tę polską krew?

Siostry moje! córy Piasta!
Skąd to serce w piersiach wzrasta?
Skąd ta dusza wam?
Co to w piersiach waszych wierzy?
Co za dobro dla was leży
Za bojami tam?

My tej sławy się dobijem,
Lub w mogiłach znów ożyjem
W dziejach ziemi tej;
Lecz kto groby wam ocuci?
Kto wam waszą młodość wróci?
Te nocy i łzy?

O! i jam znał takie bole;
Lecz o młodość, o mą dolę
Nie pytajcie mnie:
Dość wam, żem ja z krwi ochrzcony,
Żem w nieszczęściu poświęcony
Znał niejedną łzę.

Moja skarga was nie znudzi;
Ja pieśń z ludu mam dla ludzi,
Żale toną w głąb:
Mego serca pieśni własnej
Słucha tylko miesiąc jasny,
I stuletni dąb.

Hej mogiły! skały! zdroje!
Stepy! orły! dęby moje!
Z wami ja się znam.
Lecz ty dziatwo żądasz pieśni,
To już sobie Janusz nie śni;
Cóż zaśpiewać wam?

Czasem śpiewak zgadnąć umié,
Co się w głębiach piersi tłumi,
Bo i w nim ta krew;
Więc o Lachu, o orlęciu,
I o krzywej szabli cięciu
Przynosi wam śpiew.

Bo to straszne sądy Boże,
I krew lacka cuda może,
Jest i w śpiewie jad.
. . . . . .
Toć ta piosnka rdzą przecięła
Więzy tylu lat.

Lecz czy znacie, co to boje?
Co to orły? Co to zbroje?
I co wrogów dłoń?
Ile krwi się w sercach spiekło?
Ach! a ile jej wyciekło
Na ojczystą błoń?

DUMKA.

Pod mogiłą długie noce
Duma z wichrem młode Laszę,
A gdy w słuchu załopoce,
Zważa, czy nie jego ptaszę,
Czy nie orlę to klekoce?
Czy mogiła to nie jękła?
Czy nie szabla brzękła?

Ziemia lacka nie zapości,
My jej zawsze krwi ucedzim,
Krwią częstujem lichych gości;
. . . . . .
Niech naszego kruka pyta
O swe ślepie, o jelita,
A wichrów o kości!

A wy! A wy! kości nasze!
Co to w stepie was wykładło?
Orli rodzie! plemię Lasze!
Co ci to tak ciężko padło?
Dzieci! dzieci! smutna sława,
Dola krwawa i pieśń łzawa:
Oto dzieje wasze.

PIEŚNI.

KONFEDERAT.

Już się przecie przetarła czarnych chmur nawała...
Woronicz.

KARSKI.

Kędyż to tak spieszna droga?
Gdzie zbrojno jedziecie?

SIELAWA.

Rewolucya z łaski Boga!!
Ocknęli się przecie!
Już w Warszawie na Moskala
Nastawili łapkę,
Już się z jarzma kraj wyzwala;
Więc na bakier czapkę!

KARSKI.

I jam słyszał... ale... ale...
Ej że panie Janie!
Bo to młodzi... starym cale
Szaleć nie przystanie.

SIELAWA.

Starym! starym! mówisz Wasze?
Co! starzy szaleją?
Polskie czapki i pałasze
Nigdy nie starzeją!

KARSKI.

Nie ubliżam ja Waszeci,
Lecz czyby nie lepiej...
Bo on — drogą ktoś tam leci —
Nuż się żandarm czepi:
Ot, ja każę zaprządz konie,
Bigosu podjemy —
Schowaj szablę — a na Błonie
W Warszawie staniemy.

SIELAWA.

A to piękna historya!
Rewolucya w kraju —
Ten i ów się w mieście zwija,
W Polsce jakby w raju;
A ja patrzeć mam kądzieli?
Albo jechać bryczką?

Żeby starej karabeli
Gdzieś szukali z świeczką.
„Gdzie Sielawa?“ tartas, wrzawa,
„A kto nas powiedzie?
„Gdzie Sielawa?!“ a Sielawa
Na dryndulce jedzie.
Nie!... my jedziem z ostrą szablą
Po dawnym zwyczaju,
Na rumaku, z miną dyablą
Na usługi kraju;
A choć sobie sądzisz Wasze
Żem niby przystary,
Przecież kto mi dmuchnie w kaszę,
Ten nie ujdzie kary!
Będę radził i pocieszał,
Z procesyą śpiewał,
Łotrów-zdrajców będę wieszał,
A młodych zagrzewał!
I zobaczysz, co to będzie,
Mój sąsiedzie Karski!
Zaraz w mieście hukną wszędzie:
„Konfederat Barski!“

BIAŁE ORLĘ.

Mnóstwo ludzi przed gospodą,
Tańczy młodzież, rżnie muzyka:
„Bywaj zdrowa mi jagodo!
Jutro siędziem na konika.“

A jagoda, a kochanie
Smutno w tańcu nań spoziera,
To chce śpiewać, to znów stanie,
I fartuszkiem łzy ociera.

Zatrzymała wszystkie pary,
I skinęła ku Warszawie;
Bo z Warszawy wracał prawie
Z nowinami Bartosz stary.

A gdy spostrzegł ponad drogą
Takie tany, potrząsł głową,
I pogroził skrzypkom srogo,
A do chłopców rzekł surowo:

„Dajcie pokój pustej wrzawie;
Bo dziś dzieci wielkie święto,
Dziś okopy przy Warszawie
Z nabożeństwem sypać jęto.

„A i owo Bóg wysoki
Wielkie cuda nam zwiastuje;
Patrzcie! patrzcie na obłoki!
Cóż tam z chmur się ukazuje?

„Wszak to dzieci orlę nasze!
Polskich królów orlę one —
Ale patrzcie, jakże ptasze
Srogo piersi ma skrwawione!“

„Prawda! prawda!“ lud zawoła.
„Niechaj będzie pochwalony!
Chodźwa ojcze do kościoła,
A wy chłopcy bijcie w dzwony.“

I już niebo poszarzało,
Znikł z przed oczu orzeł biały,
A lud jeszcze klęczał cały,
I psów wycie się ozwało...

I nazajutrz o tym cudzie
O mil kilka powiadano:
„Za Kościuszki — rzekli ludzie —
Orlę takie już widziano.

„Wielka, wielka wojna będzie!
Oj, niejeden Moskal zginie;
Lecz i orlę krwią opłynie,
W Polsce mogił nam przybędzie!“

SZABLA HETMAŃSKA.

I.

Szabla ukuta po prostu . . .
Adam Mickiewicz.

Zarżały konie w staro-pańskim dworze
I rozkaz pana z ust do ust przebiega,
Pada się służba — a w sąsiednim borze
Czemraz się bliżej trzask biczy rozlega.
Hajducy gości czekają w podwojach,
Perska makata posadzki zaściela,
Po marmurowych kominkach w pokojach
Płonie jedlina i czasami strzela.

Od czasu śmierci nieboszczki Jejmości
Nie było jeszcze w domu tyle gości,
Ni sreber tyle w hetmańskiej komnacie,
Ani kasztelan w tak bogatej szacie;
Lecz od tygodnia gońce obesłano,
I panów w gości zaprosić kazano.
Zjechali dworno — i panicz nadjechał,
A z domu wdowca — zda się — pierzchły troski;
Wyszedł na salę, i rad się uśmiechał,
Ujrzawszy syna w sukmanie krakowskiej.
— Przybliż się Wasze, pokaż mi się przecie!
No, lubię — lubię Waści w takim stroju —
Zda się, żeś podrósł, zmężniał, moje dziecię;
Pobłogosławić nie żal ci do boju!

Sprosiłem na to sąsiady dostojne,
By byli świadki, jak cię ślę na wojnę,
Jakie nauki, jaką daję zbroję:
A gdy łaskawi na ojca i syna,
Spełnimy razem puhar tego wina,
Com to przeznaczył na wesele twoje;
Bo kto tam zgadnie, jako Bóg uradzi
W tej naszej wojnie o swojej czeladzi?
Więc wzniesiem puhar na powrót szczęśliwy,
I na wygraną — a resztę wypijém,
Jeśli powrócisz, a ja będę żywy —
Trzewiczkiem Wandzi, albo jeszcze czyim.

Tutaj kasztelan poprawił wylotów,
I matce Wandy szepnął coś zalotnie:
— Miło mieć dziecię tak pięknych przymiotów. —
A Wanda wstydem spłonęła trzykrotnie:
— O! warto walczyć, warto — jak Bóg żywy!
Za taką dziewę — a za nasze niwy!

— Przybliż się Wasze! — Raz ostatni może
Daj posłuch jeszcze ojcowskiemu sercu —
Uklęknij Wasze tu, tu, na kobiercu,
Błogosławieństwo na twą głowę złożę,
Może ostatnie, ostatnie mój synu!
W niewoliś zrodzon, a nie do niewoli —
Nie z rodu sława, ale idzie z czynu!
Bo pomnij Wasze: ni z soli, ni z roli,
Lecz z tego urosł Polak, co go boli.
Widzisz tę szablę? Dzielna, chociaż rdzawa!
Bo z starą zbroją chodzi stara sława;
Nie darmo ojców malowano w zbroi —
Słuchaj Waść jaki napis na niej stoi:

„*Pociełam szyszak na Kontura czole,*
A bratam Carów moskiewskich w niewolę;
Zna mię Szwed i Bisurman, sławnam przy Byczynie:
Za morzem i pod Wiedniem krzywa szabla słynie.“

Nie po kądzieli szukał chluby pono:
Kto taką szablą przed laty hetmanił;
Nie na popisach rękojeść szczerbiono,
Choć i tam pewno nikt jej nie poganił;
Sam Ojciec święty poświęcił ją w Rzymie
Za króla Jana — bo już sławy syta
Była naówczas — a ksiądz Jezuita
Jej tu historyę skomponował w rymie.
Jak się sprawiła i oni mężowie
Co ją nosili, niechaj rzeką karty.
Toć nie z pod ławy kroniki wydartej,
I nie w jałowej osnowane głowie.

Lecz ród Waszeciów i o nowsze czasy
Starą tą głownią nie z hańbą zawadził;
Bo dziad Waszecin poszedł z nią w zapasy,
Jak to się z panem Pułaskim naradził,
A pan naczelnik ostrze jej pochwalił,
Gdyśmy z Krakowa na barce ruszyli —
I nią stryj Waścin niejednego zwalił,
Kiedy się nasi pod Dąbrowskim bili.
Toć i dziś warta nie trusa — a męża!
Z błogosławieństwem daję ją waszeci,
A Waść mi tego nie skalaj oręża,
Bo klątwa ojca piekłem cię oświeci!

Rzekł — i na syna spojrzał pełen sromu —
— Ojcze, mój ojcze! — rzekł młodzian klęczący —
To mnie tak groźno nie wyprawiaj z domu! —
A stary zwolniał, zawisł nad nim drżący,
I lica jego czem-raz, czem-raz bladły,
Wyloty z ramion na piersi opadły,
Chciał coś powiedzieć, a żal słowa zdławił,
Umilkł — i długo, długo błogosławił:
I cicho było w hetmańskiej świetlicy,
Jako w kościele podczas podniesienia,
A łzy błyszczały z niejednej źrenicy,
I można było policzyć westchnienia:

Stary kapelan modlił się na stronie,
A dworska czeladź stojąca u progu,
Ciężko spłakana, załamawszy dłonie,
Błogosławieństwa polecała Bogu.

Lecz kto opowie, co się Wandzie działo,
Gdy nad wieczorem w dziedzińcu zawrzało,
A koń na przedzie chwycił grunt kopytém,
I po trzech susach już po trakcie bitym
Leciał — już wioskę — już figurę minął —
Wstrzymał się jeszcze, spojrzał ku dworowi:
— Bywaj mi zdrowa! — Bywajcie mi zdrowi!
Ruszył — i niknie — jeszcze — i już zginął:
A wiatr grudniowy zeschłym liściem młyńca
Pośród pustego zahasał dziedzińca...

DZWON.

Na gościńcu do stolicy
Pełno ludu i pogłosek:
Wiozą dzwony z okolicy,
I z kaliskich wiosek.

Pod Kaliszem w wiosce małej
Na dniu jasnym cud ujrzano:
W dzień świąteczny był lud cały
Na Mszy świętej rano.

W samą chwilę podniesienia
Runął z wieży, sklepieniami,
Dzwon największy — a z podsienia
Przemówił słowami:

— Od pół wieku lud mój płacze,
Bo chleb polski żywi wroga!
Lecz i płacze i rozpacze
Nie dochodzą Boga.

Jam ludowi jękiem wtórzył,
Przez pół wieka rany koił,
Płacz był próżny, jęk nie służył,
Moskal w kraju broił.

Dziś sprzykrzyłem próżne jęki,
Przyprowadźcie sto par wołów,
I dołóżcie silnej ręki,
A zbędziem mozołów.

Na okopach pod Warszawą
We trzy działa się rozpłynę,
I odezwą zwołam krwawą
Do modłów rodzinę.

Tam opowiem moje żale;
Lecz nie żale to już płonne —
Ha, zadzwonię! a podzwonne
Zapłacą Moskale!

OBÓZ MOSKIEWSKI POD KOWNEM.

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny,
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy,
Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej Ojczyzny,
Niech żre i pali, nie was, lecz wasze okowy.
Adam Mickiewicz.

O ojczyźnie i o sławie
Nuci młodzież po Warszawie,
A pod Kownem gwar:
— W pochód! w pochód! nuż rabiata!
Na podbicie reszty świata
Śle nas Bóg i Car!

Jak daleko wzrok zasięże,
Błyszczą ognie i oręże
Pośród nocnej mgły:
A w pałatkach światła gorą,
I starszyzna nocną porą
Zasiadła do gry.

Szumią, dymią samowary,
Ruble sypią się bez miary,
Żwawo idzie gra!
A przy grze brzmi pieśń ponura·
— Hej, rabiata! ura! ura!
Polszcza złota da!

Kto w Warszawie był, panowie,
Przyzna, że tam — jako zdrowie —
Dziewcząt co nie miar.
My matieże uśmierzymy,
A Poleczki obejmiemy,
Ura! ura! Car!

Na Warszawie zrośnie trawa,
Głośno gruchnie carska sława,
A nam zejdzie plon:
Nam to lico krasawicy,
A wam Sybir buntownicy;
Ura! Polszczy skon.

Dosyć tego już panowie! —
Rotmistrz Doniec w gniewie powie,
— Nie piję na skon!
Im tak miła z Wisły woda,
Jak nam z Donu! — Niech swoboda,
Niechaj żyje Don! —

Nikt nie powstał? Co — nikt! — wrzasnął,
I puharem o ziem trzasnął
Na padleców zgon.
— Oj! nie winem dziś panowie
Trzaby wypić Donu zdrowie,
I biesiady wron! —

Rzekł; nim od gry jeszcze wstali,
Słychać było dzwonek w dali:
W Sybir poszedł chwat! —
A Kozacy z cicha rzekli:
— Szkoda, w Sybir go powlekli!
Szkoda, to nasz brat!

POŻEGNANIE.

Kto z Bogiem, to Bóg z nim.
Przysłowie Staropolskie.

Panna młoda, jak jagoda,
Stojąc we drzwiach płacze:
— Kiedyż ja cię
W naszej chacie
Tu znowu obaczę? —

Przed dziewczyną, przed maliną,
Stoi chłopak zbrojny,
A koń wrony,
Kulbaczony,
Rwie się niespokojny.

Ciężka droga, bo na wroga —
Nie rwij się koniku!
W krwawem polu,
W srogim bolu
Legnie was bez liku.

— Idź, gdy trzeba! Niech cię nieba,
Niech Cię Bóg prowadzi!
Lecz ten krzyżyk
I szkaplérzyk
W boju nię zawadzi.

Za wygraną zmów co rano:
Trzy Zdrowaś, i Wierzę;
Kto pobożny
I ostrożny,
Tego i Bóg strzeże. —

Rzekła — płacze — wrona kracze,
A to wrzask złowrogi.
Nie pomoże:
Święty Boże!
Kraj nad wszystko drogi.

Przyjął krzyżyk i szkaplérzyk,
Westchnął — dosiadł konia —
Skinął głową:
— Bądź mi zdrową! —
I ruszył wzdłuż błonia.

Ale prędzej z szarej przędzy
Srebrna nić wypłynie,
Niż we swaty
Do jej chaty
Staś kiedy zawinie.

SOKÓŁ.

— Skąd to bracie sokole! że tak skrzydła w półkole
Roztoczyłeś, jakbyś bił za słońcem?
Czy to lecisz na łupy? czy to wietrzysz, gdzie trupy?
Czyli może wysłano cię gońcem?

— Ni mię gońcem tak rano w cudze kraje wysłano,
Ni na łupy pospieszam ja krwawe!
Lecę z lackiej krainy, w boju-m widział jej syny,
Lecę światu głosić Lachów sławę.

Ponad Wisły brzegami stały Laszki z dziatkami,
Starce bramy zalegli i gmachy,
A po drugim wód brzegu stali w gęstym szeregu
W miecz i rozpacz uzbrojone Lachy.

Długo stali, czekali, jasną zbroją błyskali:
Potem śpiewy wysłano do Boga;
Lecz gdy wróg się zbliżył, las się włóczni najeżył,
I jak orły wypadli na wroga.

Pośród strzałów i wrzawy, pośród kłębów kurzawy,
Ci i owi za tumanem gasną;
Jak ci silnie natarli, tamci wściekle odparli,
I bój krwawy zawiązał się ciasno.

A z bram miejskich ze łzami patrzyli za wnukami
Drżące starcy, jak gołębie siwe;
A padłszy na kolana, łzy i modły do Pana
Słały w niebo niewiasty trwożliwe.

Aż gdy w krawym obłoku miesiąc wyjrzał o zmroku,
A Moskalom wymoszczono rolę,
Jakby cienie pobitych, lackiej sławy już sytych,
Wyszły Laszki na grochowskie pole:

Wyszły w ciężkiej boleści, lecz bez skargi niewieściej,
Niosły drobne sieroty w objęciu;
Każda swego szukała, broń przy każdym leżała,
I przy każdym Moskali dziewięciu.

Odkąd wody w potoku i sokoły w obłoku,
Nigdy tyle krwi nie zlało ziemię:
Hej polecę pustkowiem: Braciom orłom opowiem,
Jak za wolność walczy L e c h a p l e m i ę!

SZLACHTA NA WINIE.

Bić i używać — jest, co Polak lubi.
J. U. Niemcewicz.

Ponad Wisłą gdzieś za borem
Grzmiały polskie działa;
Do miasteczka nad wieczorem
Szlachta się zjechała.

— Co tu robić? — rada w radę —
— Ot, chodźmy na wino;
Bo dziś jeszcze do dom jadę,
A chciałbym z nowiną.

Pewnie już tam Wojciech siedzi,
I od dawna prawi,
Będą może i sąsiedzi,
To się człek zabawi. —

Jakoż wszystkich tam zastali
Już pod dobrą datą:
Wojciech rąbał w puch Moskali,
I to z małą stratą.

A Jan, co to wszystkim sługą,
Wszystkich grzecznie witał,
Wziął gazety, czytał długo,
I rzekł, gdy przeczytał:

— Teraz kiedy tak uczcili
Niegodnych sąsiadów,
Czas by przecie przystąpili
Do jakich układów. —

— Co układy!? A wiesz Wasze,
Co za taką mowę?
Są tu z nami i pałasze,
A Wać nosisz głowę!

Kto zaś widział! — Chcesz się korzyć
I o zgodzie gadać?
W kordy wolno wam się złożyć,
Ale nie układać. —

— Ależ zwolna, mój Wojciechu,
Nie groź sąsiadowi —
Wszak-to za to niema grzechu,
Że człek coś wypowie. —

— O! jest panie — jest — i wielki!
Bo mamy sąsiadów;
A to w kraju pizus wszelki
Poszedł z tych układów! —

— Ależ jedź-bo do Warszawy,
Tam ci każdy powie,
Że już dawno nasze sprawy
Ważą i panowie.

Dzisiaj myśmy już nie sami;
Anglia morzem spieszy,
Z całej duszy Francuz z nami,
Jest ruch nawet w Rzeszy.

Wiem ja jeszcze i coś więcej;
Lecz... sekret — panowie!
W trzydzieści i sześć tysięcy
Ciągną już Węgrowie.

Krótko mówiąc, ślicznie stoim
Z Austryackim tronem,
Chcą ukończyć rzecz pokojem —
Młodym Napoleonem. —

Na to Wojciech, zagadnięty,
Bardzo się zadziwił;
Zrazu wieścią był przejęty,
A potem się skrzywił.

— Ej, Mospanie! mówmy szczerze —
Nikt nas nie ratował,
Odkąd wróg nas zamordował;
Więc i dziś nie wierzę.

I Napoleon durzył wprzódy,
A jak nas nagrodził?
Cóż dopiero ów żak młody,
Co się z Niemki zrodził!?

Węgry? Węgry?... tą nowiną
Toś mię Waé pocieszył,
Jeśli taey, jak ich wino,
Tobym się rozgrzeszył!

Ale próżne to zawody!
Powiem wam dla czego:
Ot, niedawno chłopak młody
Wpadł do domu mego;

A był jakiś chłopak żwawy,
Widać krew szlachecka!
Ukrainiec z nad Unawy —
Żal mi było dziecka.

Był raniony w lewą nogę,
Jakiś czas przeleżał;
Bo mu Niemcy zaszli drogę,
Jak od Lwowa zmierzał.

Więc nie pięknie pono stoim
Z Austryackim tronem —
Pal ich dyabli z tym pokojem
I Napoleonem! —

Któż wie? może... — Jan mu rzecze,
— Ja nie lubię zwady;
Ale... może... ja nie przeczę,
Może te układy... —

— Fe! fe! Janie! co się marzy
Wam z tą polityką?
Więcej niż stem kałamarzy
Zrobisz jedną piką!

Niechaj łepskie nasze wnuki
Idą w dziadów ślady —
. . . . . .
To mi to układy.

W czystem polu, gęsto, wrzawo,
I sztuką krzyżową —
Szast na lewo! — szast na prawo!
I szast ponad głową!

Co tam piszą, wiedzą dyabli!
Co człek rąbnie — widzi!
A przynajmniej już przy szabli!
Człek się nie powstydzi! —

Na to Jan mu z cicha rzecze:
— Do nowej budowy
Dobre wprawdzie są i miecze,
Lecz potrzeba głowy!

A głów niema między tłumem,
Każdy ci to powie!
Gospodarskim dziś rozumem
Nie rządzą panowie. --

— Co panowie do kaduka!
Ja panom nie wierzę;
Zawsze szlachtę pan oszuka,
A z krajem nie szczerze.

Kiedy bił się brat Pułaski,
Co tamci robili,
Z Bożej i nie z Bożej łaski
Buty nam uszyli!

Oto bies wie, skąd wywiedli
In Poloniam jura!
Więc dziś, gdyśmy na koń siedli,
Hura, bracia hura! —

— Ależ, panie! gdzież wojować
Polsce z całym światem?
Nie trza kraj kompromitować;
Cała sztuka na tem.

Wreszcie kongres i traktaty,
Chociaż klub im przeczy —
Przecież święte są to rzeczy,
Uświęcone laty... —

— Co traktaty?! Ej, za katy,
Ustąp Wasze sporu!
Mój wąs starszy niż traktaty
Od Pólski rozbioru.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Jak im dobrze czuba utrą,
Spuszczą nos na kwintę.
Piękna zgoda... lecz na jutro;
Dzisiaj wierzmy w flintę.

Jakem szlachcic — gdybym wiedział,
Że spuszczą pięść ziemi,
Pewnie-bym tu nie usiedział
I ruszył z młodszemi. —

— Ślicznie mówi! brawo! brawo!
W kielichy panowie!
Karabela z dobrą sprawą!
Pijmy jego zdrowie!

Niech grom trzaśnie te traktaty!
Niech je porwą dyabli!
Wiwat! Wiwat bracia chwaty!
Wiwat zacność szabli! —

Zawołali i zapili,
Wojciecha objęli,
Szablą w stoły uderzyli,
I śpiewać poczęli.

A Jan, co to chwat nie wielki,
Czmychnął sobie z cicha;
Bo do szabli i butelki
Dyplomat wart licha!

NAPAD.

A kysz! a Kysz! . . .
Adam.

Rozedniało w duszy
Zatrwożonej Kasi:
A wszak-żeć to nasi!
Wszak jadą Krakusy!

SIERŻANT.

Malino! kochanie!
Kto ciebie dostanie?

KASIA.

Oj nikt nie dostanie
Mój cacany panie!

SIERŻANT.

A to znów dla czego?

KASIA.

Bo mam już mojego!

SIERŻANT.

Gdzież on? — moje zdrowie!

KASIA.

Tam gdzie i panowie.

SIERŻANT.

Jakto? on na wojnie?

KASIA.

A czyżby spokojnie
Miał skryć się do dziury,
Kiedy inni żyją,
Kiedy inni biją?
Skądże to jedziecie,
Kiedy wej nie wiecie,
Gdzie dzisiaj Mazury?

SIERŻANT.

Nie gniewaj się mała!
Bo powiem ci szczerze,
Że prawie nie wierzę,
Żebyś męża miała;
Boś mi taka młoda...

KASIA.

Zgoda!

SIERŻANT.

No, to twoje szczęście,
Żeś łatwa do zgody!
Boby i zamężcie
Nie strzegło przygody —
Ach — jak w B o g a wierzę?
Chciałem zsiąść z rumaka,
I za karę — szczerze
Dać tobie buziaka!

KASIA.

Co panu buziaki?
We dworze za rzeką,
Ot — stąd niedaleko
Rabują kozaki!
Sama pani w domu;
Sama i to młoda —
A szkoda jej, szkoda!
Bronić nie ma komu;
Bo mąż jej w Warszawie:
A to państwo nasze!
Toć tam pospiesz Wasze!
Złapiesz ich na sprawie;
Was wprawdzie nie wiele,
Ale tylko śmiele:
Wszakci to kozacy,
A wy dyć Polacy!

Rzekła — Poskoczyli
I dwór otoczyli.
W dworze brzękło... jękło...
Sześć kozaków padło,
A dwóch się wykradło,
A resztę uklękło.

POBOJOWISKO POD WAWREM.

Późnym wiekom za przykład żyć będziem w pamięci...
Kazimierz Brodziński.

I legło wojsko po bojowym trudzie,
Krwią się pod Wawrem zakurzyła niwa;
A odkąd wojny, nawet starzy ludzie
Nie pamiętają piękniejszego żniwa.

Dokoła leżą jak snopy wzdłuż ziemi
Pocięte pułki szablami polskiemi;
A o północy wysłane patrole
Trupem zaległą objeżdżają rolę...

Między rannymi i między trupy
Czołga się Krakus od kupy do kupy,
Krew jego własna polską ziemię broczy,
A on w Moskala obie pięści tłoczy.

— Stój! — krzyknął patrol — wstrzymał się i słucha
Sierżant poskoczył: Co tu robisz bracie? —
— Co ja tu robię? Alboż wy nie znacie? —
— Za cóż go dusisz? — Bo to Moskal jucha! —

— Pięciu ubiłem — kiedyć umrzeć muszę,
Niech z pięciu jeszcze przynajmniej dodusę:
Toć milszą będzie mi już i śmierć ona,
I prędzej dusza krakowska zbawiona!

GOSPODYNI.

Co tylko domowa strzecha
Lubego w sobie zawiera,
Niech się im wdzięcznie uśmiecha
Równie jak nasza chęć szczera.
Kazimierz Brodziński.

Dalej, dalejże dziewczęta,
Żwawo się zawińcie!
Pieczcie kaczki i kurczęta,
I na chleb rozczyńcie:

Bo dziś na noc tutaj zjadą
Przezacni panowie,
A żem była z duszy radą,
Niechaj każdy powie.

Wódz naczelny, mówi ziomek,
Będzie tu nocował:
Dzięki B o g u, że ten domek
Od ognia uchował!

Ale trzeba i obrazy
Ubrać w jakie kwiaty,
By panisko bez urazy
Mógł wstąpić do chaty.

Zbił Moskali, powiadają,
Zbił ich, co się zowie!
Nasi jadą i śpiewają —
Niech im B ó g da zdrowie!

Dalej, dalejże dziewczęta,
Żwawo się zawińcie!
Pieczcie kaczki i kurczęta,
I na chleb rozczyńcie!

PIEŚŃ UŁANÓW
PO ZWYCIĘSTWIE POD WAWREM.

Pobijemy, potem policzemy.
Przysłowie Staropolskie.

Nie masz pana nad Ułana,
A nad lancę nie masz broni!
Gdzie uderzy,
Moskal leży,
Albo wilkiem w stepy goni:
Od tej dłoni, od tej broni.

Gdzie my bijem, gdzie my pijem,
Tam mogiły i posucha;
Byle przodem,
Chrobrych chodem,
Koń i ramię to posłucha:
Koń i ramię — oj, nie kłamię —
Nawet pułki dyabłów złamie!

Boć też żwawo — w lewo, w prawo,
I nie blizko ruszać trzeba;
Rąk nie wiele
Przyjaciele!
Lecz kraj wielki dały nieba:
Ach, kraj żyzny dały nieba,
Więcej chleba, niż potrzeba!

Rżą rumaki, znane szlaki,
— I jeżeli Bóg da zdrowie —
O niemylnie
Będziem w Wilnie,
Będziem hulać po Kijowie!

Hej, panowie, po Kijowie!
Jeśli Pan Bóg da nam zdrowie. —

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

KŁOPOT PANNOM
Z CZWARTAKAMI.

Sapery, pułk czwarty,
Mospanie! nie żarty.
Rajnold Suchodolski.

Za Siedlcami w czarnym borze
Przy gościńcu stał dwór biały;
A w tym białym pięknym dworze
Trzy panny siedziały:

Jedna szyła chorągiewkę,
Druga szarpie układała,
Trzecia, nucąc jakąś śpiewkę,
Oknem spoglądała:

— Patrzcie, jadą! A czy wiecie,
Że to chłopcy jak pokusa?!
Przecież niema w całym świecie
Nad mego Krakusa! —

— Co tam Krakus — rzekła druga
— Niema jak mój Ułan biały!
Z nich ojczyźnie to posługa,
Ich wielbi kraj cały! —

Trzecia rzekła: Ja nie ganię
Waszych miłych bohaterów;
Lecz mi wolno, moje panie!
Pochwycić Saperów.

— Owa! Saper! — wielkie dziwo!
Wszakże Saper to piechota;
Kiedy Ułan jedzie niwą,
On lezie do błota! —

— Czy tak? — Proszę? Nieskończenie!
Ale wreszcie siostrze wierzę:
Gdzie Sapery, tam niegrzecznie;
Bo tam kula bierze.

Dwudziestego dziewiątego
Nie widziano waszych wcale,
A mój był u Konstantego,
I przy arsenale!!

— Sza! sza, szlarki! Próżne mowy!
Losem waszym ja powiodę:
Proszę sobie wybić z głowy
One dymy młode!

Choćbyście mi, moje panie!
Przeżyć miały wasze wdzięki,
Żadna męża nie dostanie
Tylko z mojej ręki!

Krzyczcie: stety! czy niestety!
To nie będzie już inaczej,
Właśniem dostał co gazety —
Jejmość się uraczy.

Kochaneczko! pójdź sam Wasze,
Weź-no druki Waść do ręki:
A wszakże to dziecię nasze,
Łebskie — Bogu dzięki! —

— Co, nasz Józio? o! dla Boga!
Mnie się czegoś serce kraje!
Czytaj moja rybko droga,
Bo mi łza nie daje. —

Na to stary: Co za głowa!
Co też mojej kobiecinie?
Tu o czwartym pułku mowa,
Nie o twoim synie.

Lecz w tym pułku Józio służy,
Więc to duszko nas zaszczyca,
Bo wiem pewnie, że nie stchórzy:
Wdał-ci się w rodzica!

A to cuda ten pułk czwarty!
Nie dopiero w świecie żyję,
Znam, co wojna, co nie żarty;
Lecz tam dyabeł bije!

I jam kiedyś — moja duszko!
Także nieźle kordem łatał;
Nie żart było i z Kościuszką,
I Kościuszko płatał!

Ale co za porównanie!
Dawne dzieje żarty puste;
Bo to oni sieką, panie,
Wszystko na kapustę! —

Za cóż Tatku na nas wrzawa?
Pojąć tego nie możemy,
Że tam komuś wielka sława
Za mąż nie pójdziemy? —

— Bez figielków, panny moje!
Włosy długie, rozum krótki!
Mówię jasno, bez ogródki,
Bo figlów nie stroję.

Nie mam was na marynaty,
Ale moja wola taka:
Żadnej nie dam z mojej chaty
Tylko za Czwartaka!

Bo miarkuję — czy do syna,
Czy do zięcia się przejadę,
I zasiędę u komina,
Serce będzie rade.

Tam gdzie sypia moje dziecię,
Spojrzą ludzie, to nie żarty!
Wisi kaszkiet, na kaszkiecie
Stoi numer czwarty!

Cóż? nie prawdaż panieneczko?
Spojrzyj rybko na mnie milej!
Wszak nie będziem się wstydzili
Za nasze gniazdeczko?! —

I poprawił wąsów sobie,
Do Jejmości sunął grzecznie,
Wziął jej rączkę w ręce obie,
I ściskał serdecznie.

Lecz na panny strach i troski!
Szeptu — szeptu — uradziły:
— Trzeba prosić M a t k i B o s k i e j,
By C z w a r t a k i pokrewiły!

DZIAD Z KORONY.

Święta miłości kochanej ojczyzny!
Czują cię tylko umysły poczciwe.
Ignacy Krasicki.

Zdala słychać wiejskie dzwony,
Zaszczekały psy wieczorem,
A ku karczmie wlókł się borem
Z poza Niemna dziad schylony.
W dzień świąteczny w karczmie ludzie,
Bo odpocząć trza po trudzie:

Zagorzały i łuczywa,
Ale z ludzi nikt nie śpiéwa:
Wszyscy milczą, choć przy trunku,
Wszyscy smutni, chociaż tłumnie;
Wkoło wojna — człek w frasunku;
Bo dziś żyje, jutro w trumnie.

Wszedł do karczmy dziad schylony,
Skłonił głową ludziom nizko,
Rzekł: Niech będzie pochwalony!
I stał sobie przy drzwiach blizko;
— Skąd-to, dziadku, Bóg prowadzi?
Ponoś obcy w naszej stronie? —
— Nie! nie obcy, gdyście radzi,
Dziad tam w domu, gdzie stos płonie. —
I siadł sobie przy kominie,
Spojrzał zwolna w wszystkie strony,
Jakby pytał o drużynie,
I rzekł: Tak jest, jam z Korony.
— Co tam słychać, chciej powiedzieć!
Cóż tam? — wszyscy go pytali. —
— Ha! co słychać, chcecie wiedzieć?
Zapytajcie się Moskali!
Odkąd, dzieci! świat ten światem,
Odkąd Niemen Wiśle bratem,
Odkąd Polszczą Polszcza dawna,
Jako dziś nie była sławna:
Jest zwycięstwo i cześć z ludem,
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
— Dzięki B o g u Najwyższemu! —
Wszyscy razem zawołali,
I przynieśli jeść staremu,
I do niego przypijali.
— Dzięki wam za Boże dary!
Na znak, że was sobie ważę,

To i ja wam coś pokażę;
Czasem cacko ma i stary. —
Rzekł i dobył pieniądz z pasa.
— A czy znacie pieniądz taki?
Taki pieniądz był za Sasa.
Patrzcie dobrze na te znaki!
To dwa złote nowe, nasze,
Aż je lubo trzymać w dłoni!
Patrzcie, to jest znak p o g o n i,
A to polskie bujne ptaszę.
Ptak już wzleciał nad Koroną —
Górnie wzleciał! Lecz p o g o n i
Coś nie widać na tej błoni,
Litwa sobie drzema pono. —
Rzekł, i spojrzał śmiało kołem:
Młodzi oczy pospuszczali,
Z nachylonem stali czołem,
A on tak im mówił dalej:
— Jako tutaj do połowu
P o g o ń razem z o r ł e m leci,
Tak potrzeba i nam dzieci
Dłoń i serca łączyć znowu.
I jam Litwin, Litwin z rodu,
I nie zawszem z torbą chodził,
Byłem młody, a za młodu
Już w te piersi Moskal godził.
Pod Karolem Radziwiłłem
Przed pół wiekiem już służyłem,
I w Koronie i na Litwie
Przez lat siedem byłem w bitwie.
Pod Pułaskim byłem potem
W oblężeniu Częstochowy.
Kraj się zalał krwawym potem
Jak nie stało Jego głowy.
Tam straciłem nogę prawą,

Nasi legli nie bez cześci,
Bo też bój się toczył krwawo —
Pan Pułaski znikł bez wieści —
Znikł Pułaski — W o l a B o ż a!
Kraj rozdarto na kawały,
A od morza aż do morza
Podniósł lament naród cały,
Co się odtąd w kraju działo,
Wy nie wiecie — lecz ja pomnę:
Ziemia ludziom rodzi mało,
Wieki naszły wiarołomne,
W gruzach legły zamki stare,
I kościoły i klasztory,
Schizma ciśnie naszą W i a r ę,
A kozacy palą dwory;
Ale w B o g u ufność nasza!
On powróci szczęście Litwy;
Kto dziś młody do pałasza!
A kto stary do modlitwy.
Jam ostatnie siły zebrał,
Z dalekiego idę grodu:
Za ojczyznę krew za młodu,
A dziś niosę, com wyżebrał.
Byłem znowu w Częstochowie,
Jest tam obraz pełen cudu,
Co powraca chorym zdrowie,
I przyjmuje wota ludu —
Tam złożyłem na ołtarzu
Taki pieniądz na ofiarę,
I płakałem na cmentarzu
Za poległą B a r s k ą W i a r ę.
Teraz — cóż wam Litwin powie?
M a t k ę B o s k ą sławną w świecie
Ostrobramską znacie przecie?
Otóż idę ku Wilnowi.
Dzieckiem z matką tam bywałem,
W bramiem uczył się pacierza,

Tam mą matkę pożegnałem,
Gdy mię wzięto na żołnierza.
Długom w świecie się mozolił —
Pragnę umrzeć w swojej stronie;
Dziś, gdy Pan Bóg mi pozwolił,
Ujrzeć Orły i Pogonie,
Chcę ten pieniądz, zlany łzami,
Wnieść ze skruchą do skarbony,
Wezwać rzewnie Jej obrony;
A Matuchna Polski, Litwy,
Może przyjmie te modlitwy,
I zlituje się nad nami! —
Rzekł, i zakrył łzawe oczy —
Starzy razem z nim płakali,
A parobcy na uboczy
Z cicha na coś się zmawiali.
Tak noc zeszła. — Gdy odniało
Dano w rękę grosz starcowi,
Całe sioło go żegnało,
A on ruszył ku Wilnowi.
I gruchnęły wnet pogłoski,
Że nad Niemnem straż wybito:
Siedemnastu uszło z wioski,
Opłaciwszy wrogom myto;
Ale nikt nie pytał po co
W Augustowskie poszli bory?
Bo zabrali, idąc nocą,
Ostre kosy i topory.

POŻAJŚCIE.

Perkunas Diewajti! Ne muszk Żamajti —
Muszk Guda, Kejp szunia ruda!
Przysłowie Narodowe Żmudzkie.

(Na nutę: Hej, tam na górze jadą rycerze).

Nad brzegiem Niemna jest puszcza ciemna,
A pośród puszczy klasztorek mały;
W nim co nocy zakonnicy
Leją kule przy gromnicy
Już miesiąc cały.

Pewnie coś będzie — mówi lud wszędzie —
Kiedy się krząta sam ksiądz Ambroży,
Kiedy gniewem B o ż y m grozi,
A co nocy gdzieś wywozi
Ładowne wozy.

Nie darmo woził, nie darmo groził,
Wszystek lud wierny powstał na Żmudzi,
A ksiądz biskup B o g a sławił,
I kolejno błogosławił
I broń i ludzi.

A lud wzbił głosy wierne w niebiosy:
B o ż e Perkunie! strzeż syna twego!
Strzeż Żmudzina chrześcijanina,
Bij w Moskala w poganina
Jak w psa rudego!

Trąbka zagrała, zagrzmiały działa,
I krew w Dubisę ciekła strumieniem,
Święta Ż m u d z i, mierz-no dobrze!
W imię T r ó j c y rwij po ziobrze
Srebrnym pierścieniem!

I strasznie siekli, w Bogu zaciekli;
Ale w Pożajściu — Najsłodszy C h r y s t e!
Z zorzą ranną zakipiało;
Straszno wyrzec, co się działo —
Zbrodnie wieczyste!

Głosem ponurym śpiewali chórem
Księża w kapturach on hymn żałobny;
Aż tu słychać wrzask dokoła,
I wpadł nagle do kościoła
Lud niepodobny.

Wilkiem zajadli Kirgizy wpadli,
I popłynęła krew strumieniami;
A Marya to widziała,
I w ołtarzu zapłakała
Krwawemi łzami.

PROKLAMACYA CHORĄŻEGO.

WYJĄTEK Z NARODOWEJ POWIEŚCI:

PAN CHORĄŻY.

Tak zawżdy było w Litwie i na Żmudzi,
Jeśli nie wierzysz, pytaj starych ludzi.
Adam Mickiewicz.

Nie zmrużył oka Chorąży noc całą,
Chodził dokoła gumien i podwórka,
I coś układał — a skoro odniało,
Wszedł do komnaty, gdzie sypiała córka.

— Anusiu moja! — tak do córki rzecze —
I mieli powstać, przecie nie powstali;
Żmudź się ruszyła, a tu Litwa ciecze.
I czegoż czeka? — Ot, czeka azali
W pomoc Korona nie przyjdzie z za Niemna?
Ach, biada Litwie! Biada naszej głowie!
Znowuż nam piwa nawarzą panowie,
A jeszcze w panów wierzy szlachta ciemna.
Czego tu czekać — jakich wiadomości?
Że się tam biją, wiemy doskonale;
Że się dotychczas nie pozbyli gości,
O tem nam mówią nawet i Moskale.
Oni najeźdźcy — a to ziemia nasza!

A jak się weźmiem i my do pałasza,
Że snadniej pójdzie, sam rozum powiada;
Lecz to do smaku panom nie przypada —
To do estymy najpierwsi panowie,
A jak kraj bronić, to pierwszego niema,
I wówczas miła fortuna i zdrowie,
I każdy z wiatrem chorągiewkę trzyma.

— O! jam się nigdy nie uniósł prywatą!
Lat już sześćdziesiąt mam urząd w powiecie,
Słucha mię szlachta nie pierwsze już lato,
To i posłucha. — Pisz Waść moje dziecię!

— Wszakcim Chorąży? W Pospolitej Rzeczy
Kiedy miał naród wyruszać do pola,
Dając Koronie hufiec ku odsieczy,
Wzywał Chorąży szlachtę w imię króla;
I Pospolite Ruszenie stawało,
A tylko Wojscy zostawali w domu:
Dziś każdy Wojskim, a Chorążych mało,
I starych kordów dźwignąć nie ma komu.
Ale na Boga! — O! mam ja kord jeszcze,
Mam i łosiówkę, i barskiego ducha,
I starość serca nie ujęła w kleszcze,
A źrebiec ręki wprawionej posłucha.
To starym paskiem świętego Franciszka
Owinę rękę i stawy przywiążę,
Wyruszy powiat, i ja za nim zdążę —
A czyjaś duma niech się potem ciska!
Jestem Chorążym, chociaż niema króla!
A com raz wyrzekł, tego nie odmienię;
Niech więc stanowi Chorążego wola —
No, w imię Trójcy! pisz Waść zalecenie! —

Panowie Bracia, Szlachta i Magnaci!
Na kim, panowie, grzechy ciężą stare,
Kto się za młodu widział z Targowicą,
Kto chce zasłużyć na sąsiednią wiarę,

I na sejmiki wynieść jawne lico —
Kto się podpisał na Grodzieńskim sejmie,
Choć-by to w drugiem? w trzeciem pokoleniu,
Niech miarą nieszczęść występek obejmie,
A potem spojrzy po własnem sumieniu:
Bo dziś nadeszła pora — dzięki B o g u!
Gdzie we chrzcie krwawym można obmyć zbrodnie,
Gdzie wolno walczyć na własnym rozłogu,
I żyć poczciwie, albo umrzeć godnie!
A więc wszem wobec, z osobna każdemu,
Komu dziś o tem wiedzieć przynależy,
Tu się zaleca jasno i najszczerzej,
Ażeby posłuch dać listowi temu:

A zatem p r i m o: w jak najbliższym czasie
Mieć się gotowo do konia i broni;
A konie pokuć, myśleć o zapasie,
I słuchać rychło dzwon z wieży zadzwoni.
Kto nie ma konia, niechaj idzie pieszo
Z flintą, szturmakiem, i jako kto może;
A konni potem traktami pospieszą;
Piechotę zasie osadowim w borze:
Jej to siekańców dać w torbę nie wadzi,
A tak szykować jako na obławie;
Czasem siekańcem jak człowiek dosadzi,
To zwierz nie jeden farbuje po trawie.

Zanim kraj cały powstaniem osaczą,
Regimentarze rotmistrzów wyznaczą,
Każdy gospodarz w parafii swojej
Niech nad oddziałem obejmie komendy.
Kraj — to nie żarty! A czas dziś nie stoi;
Więc baczne, bystre, mieć mi oko wszędy!
Może dziś, jutro, głos straszny zawoła:
O! kochający sercem wasze plemię!
Brońcie krwi waszej, waszego Kościoła!
Brońcie praw waszych, brońcie waszą ziemię!
Wydajcie na jaw wasze polskie cnoty,

Które pół wieku obca dłoń niweczy!
Oczyśćcie wasze szacowne klejnoty,
Haec ornamenta Pospolitej Rzeczy!
W on czas z przyborem, jak się wyżej rzekło,
Niech oraz Naród w Powiecie się wzburzy;
Ale prostactwo by mi się nie wlekło,
A szło porządnie — bo kto żołnierz, służy.
W on czas niech szlachta na konie usiędzie,
Kordów pociągnie na rozstajnej drodze;
Bo nasza Litwa sfrasowana srodze
Krzyżową sztuką odrabiać się będzie.

Czemu secundo tutaj się ogłasza
Szlachcie osiadłej, jak też nieosiadłej,
O b senectutem na zdrowiu upadłej,
I nie mogącej podźwignąć pałasza;
Aby ukazom nie dawać posłuchu,
I przed sprawnikiem nie padać na duchu;
Ale z początku wykrętnością samą
To czas mitrężyć, to terminy mijać —
A jak Exequens stanie już pod bramą,
To w po-za-drodze z czeladką rozbijać
I setnych razów gościom nie żałować;
Boby inaczej na złe nam to wyszło —
I nigdy w niczem Moskwie nie folgować,
Choćby we wszystkiem sfrymarczyć się przyszło:
Przeto wędliny, chleb i wódkę starą,
I co się tylko dla żołnierza zgodzi,
Chować po puszczach pod gardłową karą;
Bo to inaczej Moskwa kraj ogłodzi,
A Koroniarze strudzeni z pochodu
Jak tu nadciągną, niechaj nikt nie powie,
Iż jako w puszczy doznał w Litwie głodu;
Owszem dar Boży niech pożyją zdrowi.
A ten czas krótki, nim ich Bóg sprowadzi,
Sławnych z afektu dla kraju polskiego,
I z animuszu i z męstwa przedniego,

I na sejmiki wynieść jawne lico —
Kto się podpisał na Grodzieńskim sejmie,
Choć-by to w drugiem? w trzeciem pokoleniu,
Niech miarą nieszczęść występek obejmie,
A potem spojrzy po własnem sumieniu:
Bo dziś nadeszła pora — dzięki B o g u!
Gdzie we chrzcie krwawym można obmyć zbrodnie,
Gdzie wolno walczyć na własnym rozłogu,
I żyć poczciwie, albo umrzeć godnie!
A więc wszem wobec, z osobna każdemu,
Komu dziś o tem wiedzieć przynależy,
Tu się zaleca jasno i najszczerzej,
Ażeby posłuch dać listowi temu:

A zatem p r i m o: w jak najbliższym czasie
Mieć się gotowo do konia i broni;
A konie pokuć, myśleć o zapasie,
I słuchać rychło dzwon z wieży zadzwoni.
Kto nie ma konia, niechaj idzie pieszo
Z flintą, szturmakiem, i jako kto może;
A konni potem traktami pospieszą;
Piechotę zasie osadowim w borze:
Jej to siekańców dać w torbę nie wadzi,
A tak szykować jako na obławie;
Czasem siekańcem jak człowiek dosadzi,
To zwierz nie jeden farbuje po trawie.

Zanim kraj cały powstaniem osaczą,
Regimentarze rotmistrzów wyznaczą,
Każdy gospodarz w parafii swojej
Niech nad oddziałem obejmie komendy.
Kraj — to nie żarty! A czas dziś nie stoi;
Więc baczne, bystre, mieć mi oko wszędy!
Może dziś, jutro, głos straszny zawoła:
O! kochający sercem wasze plemię!
Brońcie krwi waszej, waszego Kościoła!
Brońcie praw waszych, brońcie waszą ziemię!
Wydajcie na jaw wasze polskie cnoty,

Które pół wieku obca dłoń niweczy!
Oczyśćcie wasze szacowne klejnoty,
Haec ornamenta Pospolitej Rzeczy!
W on czas z przyborem, jak się wyżej rzekło,
Niech oraz Naród w Powiecie się wzburzy;
Ale prostactwo by mi się nie wlekło,
A szło porządnie — bo kto żołnierz, służy.
W on czas niech szlachta na konie usiędzie,
Kordów pociągnie na rozstajnej drodze;
Bo nasza Litwa sfrasowana srodze
Krzyżową sztuką odrabiać się będzie.

Czemu secundo tutaj się ogłasza
Szlachcie osiadłej, jak też nieosiadłej,
O'b senectutem na zdrowiu upadłej,
I nie mogącej podźwignąć pałasza;
Aby ukazom nie dawać posłuchu,
I przed sprawnikiem nie padać na duchu;
Ale z początku wykrętnością samą
To czas mitrężyć, to terminy mijać —
A jak Exequens stanie już pod bramą,
To w po-za-drodze z czeladką rozbijać
I setnych razów gościom nie żałować;
Boby inaczej na złe nam to wyszło —
I nigdy w niczem Moskwie nie folgować,
Choćby we wszystkiem sfrymarczyć się przyszło:
Przeto wędliny, chleb i wódkę starą,
I co się tylko dla żołnierza zgodzi,
Chować po puszczach pod gardłową karą;
Bo to inaczej Moskwa kraj ogłodzi,
A Koroniarze strudzeni z pochodu
Jak tu nadciągną, niechaj nikt nie powie,
Iż jako w puszczy doznał w Litwie głodu;
Owszem dar Boży niech pożyją zdrowi.
A ten czas krótki, nim ich Bóg sprowadzi,
Sławnych z afektu dla kraju polskiego,
I z animuszu i z męstwa przedniego,

Zda się, iż skrzydłem do nieba przybity,
Jakby kobierzec szeroko rozwity
Przemyską ziemię widzi pod stopami,
I znane wioski pomiędzy sadami.

Błądzą ruczaje, krzyżują się drogi,
Wzgórzami szumią cieniowane bory,
Gdzieniegdzie sterczą i cerkwie i brogi,
Z poza lip starych wyglądają dwory.

Na prawo widać zamglone Karpaty,
Zachodem płyną kresowickie wieże;
Na lewo piękna równina się bierze,
Widać przy cerkwi rozsypane chaty.

Gniazdo bocianie na starej stodole,
I słychać rżenie stada domowego;
A trochę bliżej, w sadowiny kole,
Wznosi się baszta — na niej dwór Łowczego.

Jakże to sercu tak znana ta strona!
Coś się mignęło... słychać brzęk okienka...
Błękitna suknia... czarny włos... to ona!
Westchnął — to moja, to moja panienka!

I zda się, razem z westchnieniem puszczoném
Bieży, czy leci, czy powietrzem płynie
Ku niej, a ku niej — i za dworem onym;
A krzyże cerkwi mkną pod nim w dolinie.

Wtem strzał, i drugi. — Na koń! na koń! Wiara! —
I wicher z deszczem uderzył od morza.
— Ha! dzięki Bogu! — wszak to tylko mara?!
Dalej mój koniu! nie dla nas tu zorza...

MATUSZEWICZ W TROKACH.

Precz Iwan Mekita!
Broń nasza nabita —
Strach na nieboraka.
Rajnold Suchodolski.

Rośnie jelnik — a tuż za nim
Leżą stare Troki —
Dudnią mosty pod powstaniem,
Tętni trakt szeroki.

Matuszewicz z Owsianiszek,
I Tur z pod Olity,
I Seńkowski z Górnych Szyszek
Wpadli na trakt bity.

Spostrzegł Czerkies hufiec w biegu...
Znać do miasta daje —
Krzyknął, strzelił, a w szeregu
Moskal w rynku staje.

Matuszewicz wpadł na czele,
Pięćset Jegrów zbladło.
Wpadł, dowódcę pod koń ściele,
Pięćset Jegrów padło.

Padli plackiem na kolana,
I o pardon proszą;
I pokornie do nóg pana
Karabiny znoszą.

— Wszak-to Bracia się udało!
Rzekł wódz do powstańców —
Tylko żwawo! tylko śmiało!
A nabierzem rańców.

Teraz trzeba pójść do Grodu;
Przypnijcie kokardy!
I wy dzieci! już za młodu
Żywcie umysł twardy. —

Żwawo chłopcy poskoczyli,
Jęli orły zrywać,
Stos nakładać jednej chwili,
I przy stosie śpiewać.

Na odwachu z ruską bronią
Chodzą już powstańcy,
Chłopcy w rynku żydów gonią,
A pod strażą brańcy.

— Co też wódz tam robi w Grodzie? —
— To dziwne pytanie!
Radzi z szlachtą o narodzie,
Bo to nie żart panie?

Pewnie dziś po wszystkiej Litwie
Poobsyła druki,
I Moskali w jednej bitwie
Wyrżnie co do sztuki.

— Co tam Wać o drukach baje! —
Szołejko zaprzeczy —
— Czyż ważniejszych niema rzeczy
Niż się Waści zdaje? —

— On Żmudzinom rad udziela,
Bo wojują słyszę —
I do Pana Lelewela
Jakieś listy pisze.

Gdy tak radzą, w Sądzie Grodzkim
Matuszewicz stoi;
Skłonił głowę panom trockim
I rzekł: Bracia moi!

Gdy my dzisiaj, sercem śmiałem
Przypięli te wstęgi,
Poszukajcie w Grodzie całym
Jak najstarszej księgi.

Trzeba wpisać w księgi stare,
I na łbach Moskali,
Dzień dzisiejszy — by miał wiarę,
By go pamiętali.

Policmajstra mi przystawcie,
I cnych jego braci,
Tylko długo się nie bawcie,
Bo to się czas traci. —

Z brzękiem szabel, z wrzaskiem, szumem
Szlachta się rozbiegła,
Policmajstra dworzec tłumem
Jak basztę obległa:

— Hej, Sprawniku! hej, Naczelny!
Gdzie-żeś nam się podział?
Wszak-to dzisiaj dzień tabelny,
Czyś już mundur odział?

Wiemy żeś się zawsze padał,
Chciałeś bunt wysysać,
Bóg ci szczęsną chwilę nadał,
Możesz wszystkich spisać.

Wyłaź, ustrój się w ordery,
Wszak-to ci się godzi?
Chodź do pana, sługo szczery,
Chodź — on cię nagrodzi. —

Szpiegów pierzchła gdzieś hałastra:
Powstańcy się bawią,
Wiodą duchem policmajstra,
I przed wodzem stawią.

— Policmajstrze! słyszysz wraże? —
— Słyszę panie! słyszę! —
— To pisz w księgę, co ja każę! —
Policmajster pisze:

— W dzień świętego Saturnina
Z Warszawy wieczorem
Wypędzono Moskwicina
Z całym jego dworem.

Gdy to zaszło, Naród cały
W Koronie się wzburzył:
Sejm zwołano dla uchwały,
A sejm praw swych użył.

Dał ludowi oręż rdzawy,
Wezwał polskie kraje;
A dziś dowód wspólnej sprawy
Tutaj Litwa daje.

Dziś Troczanów prysły pęta,
I krew wrogów piją;
A więc bracia! niech nam żyją
Narodowe Święta!!!

Wiwat dzielność polskiej szabli!
Wiwat Trzeci Maja!!!
Pisz, bo cię tu porwą dyabli!
N i e m a M i k o ł a j a!!!

— Dość! — Niech wiedzą co się święci!
Niech w dzwony zadzwonią!
— Gdzie jest pieczęć! — Ha pieczęci
Nie było z Pogonią.

— Toć i na to znajdziem radę —
Dobywam pałasza,
I guz szabli na lak kładę;
Bo to pieczęć nasza! —

Rzekł — podpisał, podpisali,
Podpili, podjedli:
— Na koń! na koń — żwawo siedli,
I dalej, a dalej. —

NIEDOLA.

Da, Oszmiana z naszą Lidą
Zawsze razem idą:
Dziesięć niedziel już powstanie
Wojuje w Oszmianie;
A na Lidzie ludzie w biédzie,
Lida rakiem ciecze,
Zboża zwala dla Moskala,
I suchary piecze.

Do Goniądzy z sucharami
Pognali co prędzej,
A powrócił lud z torbami,
Bez koni i w nędzy.
Tęskno, nudno, wyżyć trudno,
Głucho jak po stypie,
A cholera ludzi zbiera
I cmentarze sypie.

Na wieść czerkieskiego noża
Drży naród niebogi;
Przeciągnęły krajem wrogi
Jako klątwa Boża!
A w Koronie niebo płonie
Łunami daleko,
Jak kraj długi, wszystkie strugi
Krwawą wodą cieką...

PODJAZD.

— Poruczniku, spraw-że-no się,
Pojedź mi na zwiady! —
Rzekł, a podjazd już po rosie
Znaczy świeże ślady.

— Stójcie! — błysło jakieś licho,
By nie popaść w zdradę.
Strzał nie wolny! — stać! stać cicho!
Ja go sam dojadę. —

— Wszak-to Kozak? — Kozak Panie!
Zaraz on dostanie;
Czy tam w zdradę, czy nie w zdradę,
I ja z panem jadę. —

— Wpadniem oba z hukiem, krzykiem,
Poczniem ich do końca,
Wyłżem się przed pułkownikiem,
I przywiedziem Dońca. —

— Bo to duszy nie pociesza
Rewolucya taka,
Kiedy łotrów człek nie wiesza,
I nie rżnie kozaka. —

Rzekł — i ruszył — nie zabawił,
W powietrzu go łowi,
Lekko ranił; lecz doprawił
Batem kozakowi.

— Czego płaczesz Dończe stary? —
Porucznik go pyta,
— Wziąłeś może nie do pary?
Lecz już teraz kwita.

Nie masz broni, a my nożem
Bezbronnych nie rżniemy,
Dybów tobie nie założym;
No, idź dyable niemy! —

— Błahorodia! — Doniec rzecze —
Mam plecy kozacze —
Choć nahajka plecy zsiecze
Doniec nie zapłacze.

Był w Paryżu, był w Sybirze,
A z nad Donu rodem,
Za Bałkany niosły hyże
Źrebce Dońców przodem.

Wszędzie bywał, wszędzie bili,
Niech czort porwie Cara!
Ale to dla Dońca kara,
Że go dziś złowili.

Bo cóż na to bracia powie,
Że z marnej przygody
Dał się schwycić pastuszkowi
Doniec siwobrody!? —

I zapłakał. — A Krakusy
Z językiem wracali;
— Uciekajcie w stepy Rusy! —
Wracając śpiewali.

PATROL.

— Hej, panienko! dla Boga!
Czy się boisz Polaków?
Czy do Litwy to droga?
Czy tu niema Kozaków? —

— Da, uchowaj nas Boże!
Tu nie było Moskali;
Lecz w zaścianku w zaborze
Dotąd puszcza się pali.

Troje dzieci zabili,
Matkę z chaty wygnali,
Potem chatę spalili,
I jałówkę zabrali.

Niech Waspanów nie gniéwa,
Żem nie chciała zaczekać;
Lecz na Litwie dziś dziwa,
A wszak trzeba uciekać!
Jam myślała... nie powiem...
Lecz to teraz czas taki...
Jam myślała... ej, powiem!
Że Waszpaństwo Kozaki. —
— Nie, my duszko, Polacy,
My z za Niemna przybyli. —
— A czy wszyscy tam tacy!
To nie dziwo, że bili! —

PAN RÓŻYCKI.

Snuło jezdnych się niemało
W noc po lesie całym,
A nade dniem zakipiało
W Kurowińcu Małym,
Przebiegł odgłos po czeredzie:
Jak nasz hetman zwan? —
— Oczajdusza! bo powiedzie
Na tatarski tan!
— Kędy góra — orłem wzlecim,
Wichrem step przebędziem,
Knieją wilkiem się pomieciém,
A wodą łabędziem. —
— Nuże Wiara szeregami,
Na czoło kto chwat! —
— Tu chwat każdy. — To Bóg z nami!
A Moskal psu brat! —
Bujne kłosie ziemia roni
Bronami rozbita,
Toć i doli nam nie wzbroni
Pierś bronią przeszyta.

Żyją ludzie co zaznali
Lepszy stary wiek,
I jak własny grunt deptali
Bugu drugi brzeg.

A nam-ż dziś nie wolno będzie,
Po oboim brzegu
Pławić konie jak łabędzie,
I hulać w szeregu?
Oj, powrócą wieki nasze,
Wróci dola nam!
Jak przywdziejem czapki lasze,
Pokłonim się wam!

Pan Różyczki siadł na konia,
Błysnął kord junacki,
Dmuchnął przodem a przez błonia
Czesze hufiec gracki.
Miasto kroci dwiestu wstało,
Dwiestu będzie żyć;
Bo tych dwiestu rękę dało,
Hańbę kroci zmyć.

W Hucie rankiem żona płacze,
Tych jej dzieci szkoda:
Pod Różyckim konik skacze;
Nie płacz pani młoda!
Jak głos dzwonu siołom płynie,
Gruchnie Polszczą wieść,
A cześć będzie tej drużynie
I wodzowi cześć!

POWSTANIE LITEWSKIE.

Jedzie szlachcic okoliczny,
Konik pod nim śliczny,
On do korda przypasany,
A konik shasany.

Hej, duszeczko! hej panienko!
Wyjrzyj przez okienko!
Mam konika po Czerkiesie,
A on poległ w lesie.

Powiedz ojcu panieneczko,
Powiedz jaskółeczko:
Niech już wyjdzie z puszczy czarnej,
Bo to postrach marny.

W Żejmach nasi Polakowie,
Jako same zdrowie,
Z poza Niemna już przybyli,
Obóz rozłożyli.

Co tam broni, co tam cudu,
Co ślicznego ludu!
A tak żywo ogniem płoną,
Że aż bije łono!

A przy ogniu brzmi wesoła
Piosnka dookoła:
Alboż my to jacy — tacy?
Wszak-ci Krakowiacy!

Nie pobiją naszej wiary!
Ojczyzna nie zginie,
Póki Litwą Niemen stary,
Polską Wisła płynie... —

A więc bądź mi szczerze radą,
Wszystko złe przeminie;
Bo od Wisły oni jadą,
A tam Niemen płynie...

DUMY WIDORTA.

EMIR TADŹ-ULFECHR.

Ścichły wiatry nad wieczorem
Od zapadniej strony,

Na oazie legł taborem
Emir zamyślony.

Śniąc o stepach i o zysku
Arabowie spali,
A Kozacy przy ognisku
Taką pieśń śpiewali:

Hej! Emirze, Atamanie!
Synu Wojewody!
Jako zdrój w Arabistanie
Płynie wiek twój młody.

Płynie — płynie — lecz przepłynie
Jako pieśń wesoła,
A zatęsknisz po rodzinie,
Zatęsknisz do sioła.

Luboż teraz w naszem siole,
Ciepły wietrzyk świsnął,
Mgły przemknęły czarną rolę,
I miesiąc zabłysnął.

We mgłach dzikie kaczki lecą,
Wabią przepiórzyce,
A łuczywem w chatach świecą
Nasze krasawice.

Nieraz dziuba ręce łamie:
Idzie lato, zima,
Próżno czeka! — sroczka kłamie,
Lubych gości niéma.

W naszej cerkwi nietoperze,
Stary krzyż upada,
Za nas cała już gromada
Odmawia pacierze.

A nas wodzą światem mary
Poza obce rzeki,

A my wieziem drogie dary
Do pogańskiej Mekki.

My na obce pokolenia
Lecim przez pustynie,
A tam Moskal lud wyplenia
W naszej Ukrainie.

Kiedyż — kiedyż Atamanie!
Znajdziem sobie żniwo?
Kiedyż będziem na majdanie
Kosić szablą krzywą?!

Nieraz dziuba we drzwiach stanie,
O zdradę nas wini;
A my — Ojcze Atamanie!
Dyszem na pustyni.

Gdzie zdrój wodą nie pociecze,
Wiatr nie czesze błoniem,
Gdzie kruk kości nie zawlecze,
Tam my toczym koniem.

We dnie spieka nad taborem,
W nocy gad się wije;
Ach! a serce nad wieczorem
Codzień żywiej bije.

Czy nie lepiej tobie było
Pić z Lackimi pany?
Wszak za stołem słuchać miło
Jak brzmią teorbany?

Czy nie lepiej własnym było
Stepom się pożalić?
Z mołojcami pod mogiłą
Nocny ogień palić?

Trawa buja ścieżką naszą,
Jak zdrój lata płyną,
Oj! zatęsknił koń za paszą,
Kozak za dziewczyną!

— Cyt! cyt, druhu! cyt kozacze!
— Ataman zawoła —
Kiedy nasza luba płacze,
Toć zdążym do sioła.

Siodłaj Guldję — nabij bronie —
Dalej druhy przodem!
W Czarnem morzu mimochodem
Napoimy konie.

HETMAN ZŁOTOBRODY.

Ponad Dnieprem tętnią konie,
Dziuba klasła w śliczne dłonie:
Wrócił hetman złotobrody,
Gdzieś z za świata, gdzieś z za wody!

A miał hetman złotobrody
Gdzieś z za świata, gdzieś z za wody!
Jasną szablę jako słońce,
Po niej złotych żył tysiące.

A miał hetman złotobrody
Sto par koni gdzieś z za wody,
Pełne żyłek, smukłe, zwrotne,
Jak sokoły, bystre, lotne.

A miał hetman złotobrody
Huf kozacki doświadczony;
Jasno błyszczał nóż na gody,
Co Wielkanoc poświęcony.

A miał hetman złotobrody
I dziewczynę jak zazulę,
I śpiewaka, co przygody
Umiał wydać w pieśni czule.

Zawyj wichrze w puste szlaki!
Gdzie Oxana będzie wtóra?

Gdzie pan taki? — gdzie dwór taki?
I gdzie śpiewak jak Padura?!

Pomknął hetman wichrem rwiącym
Jednej wiosny na Moskali,
Błysnął wkoło półmiesiącem —
— Hej, mołojcy za mną dalej!

Nuż do spisy! nuż do noża!
Jako sokół koń poleci;
A śród nocy nam zaświeci
Ponad Moskwą jasna zorza!

I zaszumiał huf parowem,
Działa grzmiały, krew płynęła,
Szabla szablę w bryzgi cięła,
Działa grzmiały pod Daszowem:

A sam jeden na uboczy,
Opuszczony, czy odcięty,
Złotobrody hetman toczy
Na Arabie w pół-zakręty.

Tuż, tuż za nim leci tłuszcza,
Już niejeden ostrz zawadza,
A on konia raz wypuszcza —
To wypuści — to osadza.

Pędzą, pędzą — on uwodzi —
Dopędzają — on osadził —
Niejednego z siodła zgładził,
I wypuścił i uchodzi.

Uszedł... przepadł... a Dniepr płynie,
Łzy limanom niesie w dani —
Powiedz Dnieprze Ukrainie:
Gdzie twe piewcy i hetmani?...

GULDJA HETMANA.

Lotnąm widział ja ptaszynę
W Czarno-morców kraju,
Piękną znałem ja dziewczynę
W baszowskim seraju.

Sławny koń był w złotym rzędzie
U starego Chana;
Lecz nie było i nie będzie
Nad Guldję hetmana!

Tam to główka! tam to uszko!
Grzywa w drobne kosy!
Gdzie stąpiła lekko nóżką,
Nie strąciła rosy.

Kiedy kozak ją pogłaskał,
To jak dziewczę miękła;
A jak hetman ją poklaskał,
To przed gankiem klękła.

Kiedy pomknął z Zaporoża,
Wichry ostawały,
A za Dnieprem gasła zorza,
A trzy morza grały.

Za co Dnieprze w świecie słyniesz,
Żeś z Orlego Lasu?!
Kiedy dziś już nie tak płyniesz
Jak dawnego czasu.

Dziś już tylko Ukrainie
Mogiły hetmanią —
Guldja stepem nie popłynie,
Ni sokoły za nią.

PIEŚŃ DO MIODU.

Gdy pod strzechą jeszcze cichą
Siedział stary Piast z Rzepichą,

Na Kujawach dla wygody
W zapas dziatwie sycił miody!
Ziemi naszej dać dziedzice
Spłynął naród pod Kruszwicę
I spłynąwszy doznał głodu:
Piast mu strawy dał i miodu —
A lud krzyknął za koleją:
— Ojcze Piaście! kołodziejo!
Godzien nasze ziemie sądzić,
Kto tak doma gospodarzy,
Kto nie umie doma błądzić
I narodu dobro zważy:
Ty to w wiecu nam zasiędziesz,
I Ty gospodynem będziesz,
Gospodynie żyj!
I ten miód nam léj!
A my będziem miód ten pić
. . . . . .
Gospodynie żyj!

Z Piasta poszło sławne plemię,
Pod Piastami rosły ziemie:
Skibę orząc w czoła pocie,
Żył o miodzie lud w szczerocie;
A gdy rozgrzał pierś ognistą,
Kordem wrogi ciął sierdzisto!
I był tęgi jak miód dawny,
I jak stary miód — wytrawny;
Jak miód szczera ciekła mowa,
Jak miód zdrowy — rada zdrowa!
Krzepkość była w lackim rodzie —
A na radzie — prawda w miodzie —
Gdy rozparła szczere łono,
Zwycięstwami bój kończono,
A Piastowe wiece zgodą;
I lud wołał: Wojewodo!
Gospodynie żyj!

I ten miód nam léj!
A my będziem miód ten pić,
. . . . . .
Gospodynie żyj!

Kiedy gładką wnukę Piasta
Wziął Jagiełło zapuszczański,
Jako męża imię niewiasta,
Jął się Lachów lud pogański:
I na ucztę ludów dwoje
Wzniosła dziewa Piasta ziemię,
A Jagiełło swoją zbroję
I to twarde leśne plemię!
Lipiec bogom poświęcony
Przywiózł książę dla swej żony —
I przystojne były gody,
Bo stuletnie pito miody!
W krwie małżeńskiej zażegnany
Znikł duch waśni wśród biesiady,
A koronne rzekły pany:
— Żyj nam Książę światowłady!
Gospodynie żyj!
I ten miód nam léj!
A my będziem miód ten pić,
. . . . . .
Gospodynie żyj!

Wieki — króle — legły w grobie...
Lecz lud żyje — i miód mamy,
My po mieczu bracia sobie,
A litewski miód ten samy!
Dalej Litwo! z dziatwą Piasta
Niechaj przyjaźń dawna wzrasta!
Niech przy miodzie na znak wiary
Lach odnowi sojusz stary!
Ongi wnuka Piasta — Litwie,
A dziś Litwa — Lachom żoną:
Stalmy przyjaźń w krwi ochrzconą,

Poświęconą w setnej bitwie!
Dziadu! dziadu! jak podchmielim
Na litewskim waszym miodzie —
Duszęć za to rozweselim,
Boć zapiejem na wychodzie:
Gospodynie żyj!
I ten miód nam léj!
A my będziem miód ten pić,
. . . . . .
Gospodynie żyj!!!

WACHMISTRZ DOROSZ NA LITWIE.

Czy też licho mi nadało,
Służyć z taką ruchawicą?
Służby żadnej, ducha mało —
Tylko starym baki świécą!
Same tylko wielkie pany,
A ja prosty wachmistrz sobie,
I choć ciemny, choć nieznany,
Za pułk cały służbę robię.
Człek się musi napracować
I niemało ponieść sromu,
Bo gdy przyjdzie rozkazować,
To i słuchać niema komu!

Nieraz krzyczę: Stać! Komenda!
Gdzie tam panie im to w głowie;
Szwadron po wsi gdzieś się szwenda,
Lub jak skuty chrapie w rowie.
W całym pułku dawnej daty
Człek sam jeden — aż niemiło,
Gdzieś wymarły stare chwaty —
Nie tak — nie tak panie było!...

Mój pułkownik żołnierz stary,
Nie dzisiejsza nasza drużba,

Tęgi człowiek — zna, co służba,
Cóż — gdy nie ma starej wiary!
Z rekrutami trudna sprawa,
Bo jak cały pułk — sąsiady,
Więc gawęda, rada, wrzawa,
A dwóch tylko nie da rady.

Nieraz wołam: „Ruszać raźno!"
I wyprawiam, gdzie wypada,
A on maże się nieglaźno
I przyzywa wnet sąsiada:
— Słuchaj bracie — hej panowie!
Czyśmy na to tu zjechali?
Niechaj każdy z panów powie —
Byśmy gdzieś na deszczu stali? —
I zastawia się sąsiadem,
Bo ma w pułku szkapę własną.
— Z takiem wojskiem, z takim ładem,
Niech pioruny w pułk ten trzasną! —

Choć posłucha nawet który,
Zajmie pocztę i nie gada —
To jak wymknie z jakiej dziury,
Gdzieś tam kozak — krzyczy: Zdrada!
— Ha — to darmo! Ja inaczej
Stawiać widet już nie umiem,
Ani wojny nie rozumiem
Jak — że jeden zawsze znaczy. —

Biada — młodsi na mnie liczą,
Walą jak na szkapę siwą;
Niby starsi tylko krzyczą:
Nuż Doroszu! dalej — żywo!
Dorosz patrol dziś prowadzi,
I języka się postara,
Dorosz niechaj sobie radzi:
Niema owsa, głodna wiara —
Dorosz! a czy kute konie?
Dorosz — na sąd i do rady!

Dorosz służbę ma w szwadronie,
Dorosz jedzie dziś na zwiady —
Słowem, panie — mówiąc krótko
Hasłem w pułku imię moje!
Brzmi wieczorem, brzmi z pobudką,
Dzień przejeżdżę, noc przestoję:
Bo to mało ważą młodzi,
Że się w służbie wiek strawiło —
Że się starszych poczcić godzi —
Nie tak — nie tak — dawniej było!...
Ciężka służba obozowa —
Ale jeszcze z nią pół biedy;
Jakoś lezie — ale kiedy
Już o boju przyjdzie mowa:
Wolałbym się z babą wadzić,
Albo jeszcze i coś więcej,
Niż do boju poprowadzić
W dobrym szyku pułk panięcy —
Bo tam ogień, a tu — rada;
Koniec końców zawsze jedno,
Na deresza Dorosz siada
I harcuje szkapę biedną —
Jeszczeć siebie nie żałuję,
Choć i moja krew nie woda —
Ależ konia, panie, szkoda!
Bo to koń mi się marnuje.
Wówczas każdy ma wymówki:
Bo ten wrócił od placówki,
A ten chory — a ów ścięty,
A czwartemu koń ustanie,
A piątego źle podpięty,
A niejeden stchórzył, panie;
Wówczas pochlebstw już bez liku:
— Hej! Doroszu — stary ćwiku!
Nasze stopnie to androny!
Waszmość musisz tu zaradzić,

Waszmość — żołnierz doświadczony,
Waszmość musisz poprowadzić! —
No, no, dosyć — dosyć tego,
Już to wstyd dla młodej wiary,
Kiedy chwalić trza starego,
Ale swoje zrobi stary.
A więc ruszam wprzód plutonu!
W pierwszą lepszą wpadam lukę,
I rżnę panie bez pardonu
Po ułańsku swoją sztukę!
Ale ledwo bój ustanie,
Zaraz tracę na walorze —
Wówczas nikt już starych panie
Za stworzenie nie ma Boże —
Wówczas na nas pełno kwasu,
Że my starzy nic nie czujem,
I jakiegoś d u c h a c z a s u
Wyschłym mózgiem nie pojmujem!
Co to znaczy — wiedzą kaci?
Bo to odkąd w świecie żyję,
U mnie d u c h — co dobrze bije!
A c z a s to — co dobrze płaci!
Ale u nich to ten tęgi,
Co gardłuje całą siłą,
A kto schlebia, ten wart wstęgi —
Nie tak — nie tak — dawniej było!...

Ot — niedawno, gdyśmy stali
Z całym pułkiem w przedniej straży,
Tak się panie krucho zdarzy,
Że nas omal nie zabrali;
Moskal prawie nas otoczył,
Ale odciąć nas nie zdołał,
Pan pułkownik przed front skoczył
I do siebie mnie przywołał,
I rzekł do mnie: Ot — wiesz stary,
Że się nie mam kim posłużyć,

Dwóch nas tylko z dawnej wiary —
Dalej trzeba już odurzyć:
Jedź do sztabu — weź papiery,
Zdaj wodzowi raport szczery —
Niech też o nas przecie radzą,
Bo nam dyablą łupnię dadzą. —

Rzekł — a jam się kopnął cwałem,
(A nie byłem nigdy w sztabie).
Wódz! nie żarty — pomyślałem,
Szlify wodza to nie grabie —
Nuż tu ćwika na czem schwyta!
Nuż z nienacka mnie zapyta!
Trzeba mu się odciąć sprawno —
Nuż zapyta: Służysz dawno?
Kiedyś dostał krzyż francuski?
W wojnie pruskiej — czy też ruskiej?
Czyś tam kontent z młodej wiary?
Czy was racya, żołd dochodzi?
Młody żołnierz czy z zapałem?
A pułkownik czy zdrów stary?
Co się święci? — wróg czy godzi?
Czy są działa? — jest piechota?
A po skrzydłach las? czy błota?... —
Zgoła wszystko pomyślałem;
Kontent ruszam — wiatry wieją,
Czasem spojrzę — są depesze?
A mój deresz sobie czesze...
Aż się wszyscy dyabli śmieją!
Więc stanąłem w sztabie rankiem,
A otarłszy czoło z znoju,
Wiążę konia tuż przed gankiem,
I rżnę prosto do pokoju.
Gdzie wódz? pytam. — Czyś zwaryował,
Któż o wodza tak się pyta?
Znać żeś w pułku się wychował. —
Gdzie wódz? rzekłem — mów i kwita!

— To żołdactwo, to natręty!
Wódz śpi jeszcze, bo dzień chmurny. —
A szef sztabu? — Szef zajęty. —
A dyżurny? — Śpi dyżurny —
Wszak mój przyjazd nie wizyta,
Przez noc całą tutaj spieszę,
Tutaj panie są depesze!
Zbudzić służbę — ot i kwita!
Gdy to rzekłem, on się zdziwił,
Stuknął, mruknął — nosem skrzywił
I samego mnie zostawił —
Alem nie źle się ubawił,
Bom stał ze trzy godzin w sieni,
A trzy godzin — to nie mało
Gdy człek głodny po bezseni,
Więc mi się na sen zebrało;
W końcu myślę, po niewoli,
Cóż też wódz tak długo robi?
Pewno jakiś plan sposobi —
Aż tu słyszę — Wódz się goli! —
Niechże goli, kiedy goli,
Bo i naszych panie golą,
I Moskale nie swawolą,
A jak biją, dyablo boli!

Wreszcie dano znak — „Śniadanie!"
W jednej chwili — szastu, prastu —
I wypada do mnie panie
W okularach siedemnastu!
Orszak cale okazały!
Wszyscy smacznie zajadali —
Po francusku rozmawiali
I perfumy zapachniały —
Tu się widzę nie źle dzieje,
Bo tu tylko wino płynie,
A tam krew się polska leje —
Ach! i pułk mój może ginie!...

Żal mi było pułkownika,
O depesze nikt nie pytał,
Nikt mię z panów nie powitał —
Jam nie umiał ich języka;
A więc stałem w kątku cicho,
W końcu myślę — co za licho?
Dla starego rzecz to nowa,
Ej — chybiłem wioskę pono —
Tu po polsku ni pół słowa,
A o sztabie mi mówiono.
W końcum poznał tych Ichmości,
To Francuzi niezawodnie,
Których wódz chce uczcić godnie,
By znał Francuz, że tu gości;
Gdym to myślał — z miną tęgą
Na wiarusa jeden wpada:
— A hultaju! a ciemięgo!
Przydymiona czekolada! —
A więc rzekłem: Niech nam żyją!
Wszak to nasi, nie Francuzi —
Ależ warto im dać buzi!
Znać, że się o wolność biją —
I żal serce mi ucisnął...

Ukończono wreszcie gody,
Jam z raportem się przecisnął,
Wziął go jakiś panicz młody —
Wziął, przeczytał, na stół rzucił,
Potem mruknął. — To źle, panie —
Przez nos jakąś piosnkę nucił,
W końcu rzekł mi niespodzianie:
— Korpus rozkaz tam odbierze —
To pułk panie! rzekłem skromnie;
— To pułk tylko? Wielkie zwierzę!
Lecz i o nim tam się pomnie. —
W końcu do mnie rzekł wspaniale:
— Wiarus wódki się napije,

Bo ja znam to doskonale,
W pułku licho tam się żyje. —

A co tego to za wiele —
A więc panie rzekłem śmiele:
— Nie tak licho — jak niegrzecznie!
W pułku trochę niebezpiecznie!
Co do wódki to i kwita!
Bo mam wódkę od kozaka;
A choć może i nie taka,
Milsza dla mnie, bo zdobyta! —
Tak burknąłem im przez zęby,
Gdyby mi się popadł który —
Toby poznał, jak Mazury
Kpów pytlują na otręby!

I wyszedłem — na spiekocie
Koń mój biedny stał przy płocie
Z głową na dół pochyloną:
— Oj nam obu źle tu pono —
Pójdź mój koniu — źle w tej stronie!
Klątwa kraju na niej leży —
Tutaj piorun w nich uderzy,
Albo ziemia ich pochłonie,
Że tak służą tej ojczyźnie...
Siadłem na koń ledwo żywy;
Ból się wzruszył w każdej bliźnie,
Żem się musiał ująć grzywy —
Chciałbym zginąć, powiem szczerze,
Gdy się sławy wiek przeżyło;
Lecz i kula dziś nie bierze —
Nie tak... nie tak dawniej było!...

POLKA.

A serce, prorok, nie mieści się w łonie...
Sew. Goszczyński.

Do późna wczoraj słyszałam działa,
A przez noc całą psy wyły:
Nad samem ranem, gdym się zdrzemała,
Trzy mi się krzyże przyśniły.

Jeden — na północ wbity daleko,
Drugi — na obcej stał ziemi,
Trzeci — nad grobem i krwawą rzeką,
Niby pomiędzy swojemi.

Pod nim człek jakiś leżał przebity,
Zmarły, czy bolem wybladły;
A gdym westchnęła — pękły błękity,
I perły z nieba upadły. —

Upadły deszczem na moje łoże:
Spojrzałam w okna — dzień był już duży;
Lecz perły... krzyże... o! wielki Boże!
Ten sen niedobrze coś wróży...

Co nocy niebo łunami płonie,
Codziennie słońca wschód krwawy:
Ach! straszno spojrzeć ku tamtej stronie,
Kędy się ważą te sprawy!

Gdy się po bitwach myślami noszę,
Zda się, że w miejscu stoją godziny:
Wówczas ja Boga ze łzami proszę,
By mi dzień ulżył jedyny.

Mija... noc idzie... lecz nie w mej mocy
Usnąć, choć głowa do snu się schyla:
Coś niby chodzi, stuka po nocy,
A zegar staje co chwila.

I bez wytchnienia trwoga jednaka,
Że jej już łono dłużej nie mieści;
Gdyby list jaki — gdyby wieść jaka!
Nie!... nie chcę! nie chcę tych wieści!

Bo choć zwycięstwo naszym dziś służy,
Choć ojciec gani mą trwogę,
Ja się z tych wieści cieszyć nie mogę,
Bo mi coś serce źle wróży!

Już w boju legło tyle tysięcy!
A ile jeszcze nie zginie?!
Ach! czy łez więcej, czy też krwi więcej
Na ziemię naszą wypłynie?

OBRAZ CUDOWNY.

Pośród tatarskiej bitwy znaleziony
Dziwnym trafunkiem przed dawnemi laty,
Stał obraz święty, w framudze złoconej,
W rogu sypialnej komnaty.

Stary pan Miecznik dostał go w spuściźnie
Po swoich przodkach pogłowia męskiego —
A tak go cenił, że już po ojczyźnie
Nadeń nic nie miał świętszego.

Ale nie dziwno — ile bowiem razy
Dom lub ojczyznę klęska dojąć miała,
Twarz Matki Boskiej, twarz Panny bez skazy
Cudowne znaki wydała:

Pobladła Ona, kiedy w Targowicy
— Panie im odpuść! — zdradę uknowali,
I na łup obszar rozległej ziemicy,
A lud na męki wydali.

Pobladła Ona, gdy na polską ziemię
Trzech nieprzyjaciół nastąpiło srodze —
Kiedy przez Pragę, kosząc polskie plemię,
Moskal po krwawej szedł drodze.

Lecz od lat wielu nic już nie słyszano
W domu Miecznika o podobnym cudzie;
Aż wczoraj w nocy — mówią dworscy ludzie —
Nowy cud jakiś ujrzano:

Obraz rozgorzał ogniem błyskawicy,
Ze ściany szabla turecka zleciała,
Posada dworca starego zadrżała,
I lampa zgasła w świetlicy.

A koń zatętnił świtem wśród wąwozu —
Z listem pospieszał goniec od obozu:
I odgadnęli dworscy, co się święci;
Bo list miał czarne pieczęci...

Drżącą go ręką pan Miecznik rozwinął —
Pobladł. — Przez rany Zbawiciela Pana!
Słuchajcie! — Kicki i Kamiński zginął!
Pod Ostrołęką przegrana!

MARODERKA.

Panieneczko! Litwineczko!
Stójże duszko! — stój!
Ja znużony, a spędzony
Kary konik mój.

Dla mnie mleka, dla konika
Proszę owsa snop;
Konik w trawce, ja przy ławce
Spocznę u twych stóp.

My ułani, moja pani
Walczym za kraj nasz:
Ach, nie zgrzeszysz, gdy pocieszysz
I całuska dasz!

Z zorzą ranną, moja panno,
Gość cię rzuci twój;
Ponad Niemnem, w borze ciemnym,
Poczną strzelcy bój.

Nie zjeść z kaszy Koroniarzy,
Byle koń nasz zdrów!
Od tej szabli porwą dyabli
Tych zielonych psów!

A gdy męsko i zwycięsko
Wrócim do swych rzek,
Wśród spoczynku, przy kominku,
Bajać będziem wiek:

O tych krajach, o zwyczajach,
I o puszczach tych,
I o Litwie, i o bitwie,
I o oczkach twych!

PIEŚŃ ZA BUGIEM.

Grzmi trzykrotne „Sława Bogu!"
Już przebyty Bug.
I parsknęły raźno konie;
Radzi będą nam w Koronie!
Pan Różyczki przodem rusza,
Za nim hufiec oczajdusza,
A koń parsknął po raz drugi!
W lewo — w prawo żyzne smugi,
I tysiące dróg.

Czyż nam jeszcze Moskwa grozi?
Czem dla nas ta broń?
Czem nam działa, czworoboki?
Zanim oni z dział wycelą,
Zanim na nas raz wystrzelą,

My tymczasem dwa, trzy skoki,
I ni dział już, ni piechoty,
W krwi moskiewskiej toną groty,
We krwi brodzi koń.

Oj, nie mlekiem zmył się pono
Pod Mołoczką wróg!
Puszczaj cugle! — „Sława Bogu!"
Brzmi raz pierwszy po rozłogu;
I już konie w pełnym skoku,
Już mogiła w czworoboku!
Krwi wyciekło z niej niemało,
Tylko krzyża jej nie stało,
Jako żywy Bóg!

Nie wam to się szarpnąć snadno
Na nasz orli ród!
Wszak tyszyckie znacie pola?
„Sława Bogu!" ścichło hura.
Dziej się, dziej się Boża Wola!
I już z fosy wstaje góra,
I niejeden z nich tam w Słuczy
Podłem ścierwem raki tuczy,
Co chciał uciec w bród.

Hej-ha koniu! hej-ha koniu!
Nuż-że, nuż-że w cwał!
Wszak Lubelskie to nie stepy?
Ponad drogą sroczki skaczą,
Radzi lance te zobaczą,
A na lancach te krwi lepy.
O! jak z Huty ujrzą gościa,
Zabrzmi okrzyk nam z Zamościa,
I uderzą z dział!

SŁAWA BOGU.

Pasą konie po rozłogu,
W niebo bije wrzawa:
„Sława Bogu! Sława Bogu!“
Białym czapkom sława!

Ćma Kozaków migła z dala,
Budziński poskoczył:
„Sława Bogu!“ Na Moskala!
I konika zbroczył.

Ciężko skluty popadł w łapkę,
Kozak z niego szydzi:
A na ziemi białą czapkę
Pan Różycki widzi.

— Hańba bracia! hańba! dalej!
Młoda krew to, młoda!
Tęgi chłopak! — a zabrali —
Szkoda mi go, szkoda!

Nuż Wizowski! — A Wizowski
Ruszył samotrzeci,
Szybko, jako piorun Boski,
Biała czapka świeci.

„Sława Bogu!“ — huknął, strzelił,
Skłuł kilku na przedzie,
Jak mógł kordem ćmę obdzielił,
I rannego wiedzie.

I znów paśli na rozłogu,
W niebo biła wrzawa:
„Sława Bogu! Sława Bogu!“
Białym czapkom sława!

POWRÓT KONIA.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał wszystkiego rozumem dochodzić,
I zginie i nie będzie umiał w to ugodzić.
Jan Kochanowski.

Kurz się drogą bałwani,
Świat tumany ciemią;
Jadą, jadą ułani
Sandomierską ziemią.

Białe na nich wyłogi:
— Dyć to pułk nam znany!
A gdzież Jonek z Ożogi?
Gdzie nasz brat kochany?

Wszyscy Święci i anieli!
Cały pułk już minął!
Gdzieście brata podzieli? —
Zginął! — rzekli — zginął!

A w tem znowu ktoś jedzie:
Dwóch ułanów czesze!
Jeden konia z nich wiedzie,
Drugi ognia krzesze.

Koń się szarpnął przed górką,
Zarżał, urwał wodze,
I poleciał po drodze
Co wyskok w podwórko.

— O! dla Boga! dla Boga!
Skąd-że go to macie?
Wszak to konik z Ożoga,
Konik po mym bracie!

Oj, sierotą już chata,
Kiedy on zabity!
Gdzieżeś podział mi brata
Koniu jabłkowity? —

A obydwa ułani
W podwórko przybyli,
I obydwa stroskani
Na dziewkę patrzyli:

— Zatrzymajcie go sobie!
Nikt go wam nie bierze.
Oj, wasz Jonek już w grobie!
Tu jego szkaplerze.

Jam je zabrał w szczerości,
Bo legł od Moskala,
A tych naszych świętości
Niech Moskal nie kala!

Możeć moje szkaplerze
Da tam kto ojcowi —
No, bywajcie nam zdrowi!
Niech was Bóg tu strzeże!

STARY UŁAN POD BRODNICĄ.

Pod Brodnicą, jak woda,
Stoi wojsko na błoni:
Szkoda Polsko, oj, szkoda
Takiej dziatwy i broni!
Jak ją ludzie zobaczą,
To w Poznańskiem zapłaczą,
Będzie klątwy i żalu
Tam na ciebie, Moskalu.

Nad granicą tuż droga,
Bieży młoda kobiéta,
Zapłakała nieboga,
I ułana zapyta:
— A cóżeście panowie
Najlepszego zrobili?
A cóż na to Bóg powie,
Żeście Polskę rzucili? —

Ale ułan nie słucha,
Krew zapiekła się w oku,
I źrenica tak sucha,
Jak broń jego przy boku.
Cisnął kaszkiet pod nogi,
Wicher rozwiał włos siwy:
— Bądź zdrów koniu poczciwy!
Tu się dzielą już drogi.

Odkąd słońce mi świeci,
Kraj raz trzeci upada,
I ta ręka raz trzeci
Oszczerbioną broń składa!
Nie dostaliśmy kroku,
Źle też płacą nam obu;
Dla cię niema obroku,
Dla mnie niema i grobu! —

I zapłakał na boje,
I o lancę tłukł głową;
Chorągiewkę zdarł w dwoje
I łzy otarł połową,
I zawiązał garść ziemi,
Drugą ranę owinął;
I w świat ruszył z młodszemi,
I jak wszyscy gdzieś zginął...

ŚPIEW Z MOGIŁY.

O! luba Polsko! krwią zbroczona niwo,
Los zajrzał twoim wawrzynom,
Ale im więcej jesteś nieszczęśliwą,
Temeś droższą Twoim synom...
J. U. Niemcewicz.

Leci liście z drzewa,
Co wyrosło wolne;
Z nad mogiły śpiewa
Jakieś ptaszę polne:

Nie było — nie było
Polsko dobrze tobie!
Wszystko się prześniło,
A twe dzieci w grobie.

Popalone sioła,
Rozwalone miasta,
A w polu dokoła
Zawodzi niewiasta.
Wszyscy poszli z domu,
Wzięli z sobą kosy,
Robić niema komu,
W polu giną kłosy.

Kiedy pod Warszawą
Dziatwa się zbierała,
Zdało się, że z sławą
Wyjdzie Polska cała.
Bili zimę całą,
Bili się przez lato;
Lecz w jesieni za to
I dziatwy nie stało.

Skończyły się boje,
Ale pusta praca;
Bo w zagony swoje
Nikt z braci nie wraca.
Jednych ziemia gniecie,
A inni w niewoli,
A inni po świecie
Bez chaty i roli.

Ni pomocy z nieba;
Ani z ludzkiej ręki,
Pusto leży gleba,
Darmo kwitną wdzięki.
O Polska kraino!
Gdyby ci rodacy,
Co za ciebie giną,
Wzięli się do pracy

I po garstce ziemi
Z Ojczyzny zabrali,
Już-by dłońmi swemi
Polskę usypali.
Lecz wybić się siłą
To dla nas już dziwy;
Bo zdrajców przybyło,
A lud zbyt poczciwy.

POŻEGNANIE NA KALWARYI.

Stary zamek Lanckorony
Na wyniosłej górze stoi;
Gdy w Krakowie biją w dzwony,
Dźwięk górala ucho poi...

Widne stamtąd śląskie błonie,
I Krakowa złote wieże;
Gdy człek spojrzy ku ich stronie,
Radość jakaś serce bierze...

Pod zamczyskiem Lanckorony
Kalwaryjskie biją dzwony;
Między zboża, góry, chrusty,
Ciągną ludzie na odpusty.

Płynie drogą tłum Ślązaków,
Aż się człeku w oczach dwoi;
Ale smutny stary Kraków,
Bo w Krakowie Moskwa broi...

MATKA.

Synu! biednaż moja głowa
Na wiek stary! — Gdzieś po świecie,
Aż od puszczy Augustowa,
Idę szukać moje dziecię...
Na tomż' ciebie wychowała
W ciężkiej trosce oczmi memi,

Bym wygnańca dziś szukała —
Sama obca — w obcej ziemi!?
Gdzież cię oczy poprowadzą?
O czem pójdziesz w cudze kraje?
Ludzie tylko sobie radzą —
Serce do nich nie przystaje...

SYN.

Matko! ludzie nie Tatary,
A łez polskich mowa znana;
Wszędzie króle, wszędzie cary,
Wszędzie jedna jątrzy rana —
Łatwiej, matko! nam z obcemi
Żyć od rodzin naszych zdala,
Niż wśród swoich, w własnej ziemi,
Być nękanym od Moskala...

MATKA.

Nie trzymajcie z Francuzami!
Oni wszystkich was wytracą;
Bić się będziesz z Arabami,
Ach! i Bóg wie święty za co!?

SYN.

Łatwiej, matko! z Arabami;
Arab Polski nie rabował,
Nie pomiatał sierotami,
Arab księży nie mordował...

MATKA.

Ależ jakaż korzyść będzie
Stąd dla ciebie, Polsko biedna?
Wiecznie, wiecznie piosnka jedna,
Tylko dobrej krwi ubędzie!
Powróć synu! do twej roli;
Nie to dziecię matce sprzyja,
Co ją kocha w dobrej doli,
Lecz co w biedzie jej nie mija.

Ja cię skryję w nasze bory,
Tam cię Moskal nie wyśledzi:
Co dzień siostra cię odwiedzi,
A co tydzień ksiądz Archory;
A ja sama moje dziecię!
Przy mem sercu cię utulę,
Jeść przyniosę ci o świcie,
A co wieczór dam koszulę.

SYN.

Co? i ja miałbym się chować
Przed Moskalem w puszczę ciemną?
Może i za grzech żałować
Przed tym, który drżał przede mną?
Żal ustąpić musi dumie,
Oczy krwawe łez nie ronią;
Ja kraj kocham tylko bronią,
Tylko śmiercią służyć umię!
Matko! matko pomyśl sobie!
Gdybym słyszał twoje żale,
Gdybym widział, że Moskale
Jaką krzywdę robią tobie,
Gdybym słyszał na uboczu,
Jak moskiewska broń brzęknęła,
Mnieby z serca, mnieby z oczu
Krew kipiątkiem wytrysnęła.

Tu przerwały mowę łkania,
A w kaplicy poszarzało;
Przed obrazem Zmartwychwstania
Jaśniej światło lamp zadrżało...

I nadziei — czy wesela
Promień z oczu Zbawiciela
Blaskiem cudu w duszę strzelił
I upadłą rozweselił.

I już gwiazdy zapadały,
Gdy trzęzlami konik dzwonił,
A na koniu jeździec gonił
Wzdłuż gościńca — a ku Białej.

NOCLEG W CZERSKU.

Dymią w Czersku kominy,
Jadą wozy z pagórka,
Wyszły z chatek rodziny,
Wyszły dziatki z podwórka:
I z odzieży, z postawy
Wnet Krakusów poznali,
I przed wioską wśród wrzawy,
Wszystkie wozy wstrzymali.

— A witamy — witamy!
Gdzie to Pan Bóg prowadzi?
My pogadać-by radzi,
I dziś jechać nie damy.
Hej, panowie Rodacy!
Wszak i w Czersku tu ludzie,
Wszak i my tu Polacy,
Prosim spocząć po trudzie.

Cóż, nie łaska zagościć?
Niemasz wprawdzie wesela;
Lecz nie będziem i pościć,
Bo to dzisiaj niedziela.
Do Francyi daleko,
I tam niemasz swojaków;
Niech i dzieci nam rzeką,
Że widzieli Polaków! —

Tak przemawiał do Wiary
W zaprosinach wójt stary;
Mowa jakoś przypadła,
I starszyzna wysiadła.

Wójci do chat ją biorą,
A za każdym z żołnierzy
Po pacholąt kilkoro
Jak za matką tuż bieży.

Krzyczy dziewcząt gromada:
— My się za was modlili —
A tu chłopak powiada:
— My już kosy nabili. —
Tamten spostrzegł i prosi
Od pałasza rzemyczek,
Ten Orzełka już nosi
I z Pogonią guziczek.

Ów chce kawał podszewki,
Tamten piórko chce pawie,
Starszy słyszeć chce śpiewki
O ojczyźnie i sławie.
Tak w radości, w boleści,
Przez noc całą czuwali;
Starzy, płacząc, powieści,
Młodzi piosnek słuchali.

BELWEDERCZYK.

Już strzał działowy nas nie dostanie,
Jużeśmy w opiece wody,
Na wschodzie błysło świetne zaranie;
Dalej na morskie przygody!

Już mię znudziła przewrotność lądów,
I boleść krzywdy odgłosów;
Znam rozpacz ludów, znam gwałty rządów,
I burze serca i losów.

Tam — tam na lewo droga się bierze,
I płynie w kraj nasz daleki;
Tam ja dziewczynę kochałem szczerze,
Tam ją rzuciłem na wieki.

Lecz kiedym przeżył owe rozstanie,
I stratę świętej ojczyzny,
Kiedym sam patrzył na Jej skonanie,
Niemasz już dla mnie trucizny.

Gdy mię pogańskie szable nie zsiekły,
Nie sięgła zemsta tyranów,
Gdym uszedł szpiegów rzeszy zaciekłej,
Nie strach mi morskich bałwanów.

Miło w rozpaczy będzie spozierać
Na rozhukane płaszczyzny,
Łatwiej na morzu będzie umierać,
Bo stąd nie widać ojczyzny!

Niebo się gniewnie wkoło zachmurzy,
Jak mi się chmurzy lat wiele,
Jak żyłem w burzy, tak zginę w burzy,
Grobem mi będą topiele.

I pamięć po mnie zniknie w mym rodzie,
Jak ślad po szybkim okręcie;
A równo ginąć w bojach, czy w wodzie,
Czy to w rozpaczy odmęcie.

Bo losu zwrócić niema sposobu,
Jak wichru, gdy dmie w przestworze;
Dalej więc, dalej dokoła globu!
I rozpacz szczęściem być może.

PIERWSZA ROCZNICA
29 LISTOPADA, OBCHODZONA W RZESZY NIEMIECKIEJ.

O! nie zginęła jeszcze ojczyzna,
Póki niewiasty tam czują!
Bo z ich to serca płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują.

Jeszcze wykarmią one w zaciszy
Grono olbrzymiej młodzieży,
Od nich pachołę o nas usłyszy,
I jak my w wolność uwierzy.

Wstanie mąż wielki z tych polskich kości,
Wielki, jako sny za młodu!
Z uczuciem krzywdy mego narodu,
A z mieczem całej ludzkości!

A jako niegdyś potopem świata
Ludzkość zalały łzy Boże,
Tak i on mieczem świętego kata
Na ziemię puści krwi morze.

A nad tem morzem, nad tą posoką,
Korab nasz polski wypłynie,
I białe ptaszę wzleci wysoko;
I poda różczkę drużynie.

Otworem staną lochy podziemne,
Gdzie w więzach butwiały kości,
I będą nasze więzienia ciemne
Miejscem odpustu ludzkości.

Pielgrzymką do nich pójdą narody,
Ogniwa kajdan rozbiorą,
I jak relikwie, na cześć swobody,
Całować będą z pokorą.

Kloc on skrwawiony, na którym głowy
Świętych padały z rąk kata,
Będzie ogniskiem świątyni nowej,
Ołtarzem nowego świata!

Z tej ziemi znikną, po wszystkie wieki,
Ludzkości ofiary krwawe;
Bo zbrodnie spłyną krwawemi rzeki,
I rody Carów niesławе.

. . . . . .
. . . . . .

CHATA W PUSZCZY.

Pośród puszczy jodłowej
Nad rojstami dziedzina.
Leśnik poszedł na łowy,
A przy matce chłopczyna.

Polny konik świegoce;
Cienką wstęgą, z łuczywa
Dym błękitny wypływa,
A płomyczek migoce.

— Idź spać dziecię! idź duszko!
Sama ojca powitam...
— No, to idę na łóżko,
Lecz coś jeszcze zapytam:

Czemu, powiedz mi mamo!
Nie strzelają tak samo,
Jak to w lecie strzelali?
Czy już niema Moskali?

— Cyt, maleństwo! mów ciszej!
Bo w pobliżu żołnierze,
Jak cię Czerkies posłyszy,
To cię z sobą zabierze! —

— A ten panicz gdzie mamo!
Coś mu dała śniadanie?
Co to w białej sukmanie
Stał przy koniu za bramą?

Tak się grzecznie uśmiechał,
Dał mi jadąc trzy grosze,
Powiedz mamo mi, proszę!
Gdzie ten panicz pojechał? —

— On pojechał z naszemi,
Siedem Niemnów przebrodził,
I nie wrócił do ziemi,
Gdzie się matce narodził. —

— Może on się tam smuci?
Mamo! może on płacze?
Kiedyż ja go zobaczę?
Mamo! kiedy on wróci?

Na to matka wydała
Z piersi tchnienie żałosne,
A dziecina pytała:
— Kiedy wrócą? — Na wiosnę! —

— Co na wiosnę?! Oj mamo!
I znów będą strzelali?
I zagrają tak samo,
Jak nad ranem raz grali?

— Tak, tak samo — śpij duszko!
Bo już późno — śpij sobie! —
— To już idę na łóżko;
Lecz na wiosnę coś zrobię! —

— Cóż ty zrobisz dziecino?
— Jak tu oni nadpłyną
I znów staną nad lasem,
To się bardzo ucieszę,
I podrosnę tymczasem,
I za nimi pospieszę!...

JEŃCY.

Można gnębić niewinność, okować w kajdany;
Lecz kto pewny w sumieniu, cnocie niezachwiany,
Ten łańcuchem obciążon potrafi być sobą;
Pęta ciężą na zbrodni, cnocie są ozdobą.

K. Brodziński.

Ponad drogą Irpiń płynie,
Za Irpiniem wał wzniesiony,
A za wałem oko ginie,
I Kijowskie słychać dzwony...

Hej! jak wał ten, jak mogiła,
Jak się ciągną tamte lasy,
Polszcza niegdyś słupy biła;
Lepsze były tamte czasy!

Wówczas była cześć i sława!
— Każdy stary człek to powie —
Hetmańszczyzna miała prawa,
A Król polski żył w Krakowie.

Bogdaj przepadł, kto lud mnogi
Oddał Moskwie na pstre kwitki!
Gdzie krzyż dawniej, dziś ostrogi,
A z więźniami mkną kibitki.

Dziś tu jadąc Moskal śpiewa,
Za nim ciągnie lud nawałem;
Pędzą jeńców do Kijewa,
I wstrzymali tu za wałem.

A z Kijowa jedzie pani,
I spojrzała i pobladła:
— Ach! to nasi pokowani! —
Zawołała i wysiadła.

— Cóż ja biedna poczne z wami?
O mój Boże! Boże miły!
Wykupiła-bym was łzami,
Gdyby moje łzy płaciły! —

— Nie płacz pani! — jeniec rzecze —
Chociaż my tu dziś w niewoli,
. . . . . .
. . . . . .

Jak nas trzystu — chciej zapytać —
Wszyscy ranni do jednego;
Bo Polaka wolno schwytać
Tylko na wpół umarłego.

A kto wszystko za kraj stracił,
Kto ojczyźnie służył szczérze,
Ten spokojny i w Sybirze
Bo część długu już odpłacił!

SKON NASZYCH WROGÓW.

O! Boże wszechmocny, i wielki, i święty!
I w Trójcy Najświętszej jedyny!
Ach! kiedyż przestanie car w zemście zacięty
Wytępiać już nasze rodziny?

Przez dziewięć miesięcy trwał pobój zajadły,
Krew polska płynęła potokiem;
W dziesiątym miesiącu, gdy wojska upadły,
Car panem znów w państwie szerokiem.

Bez krzyżów ojczyste mogiły u drogi,
I końmi ruskimi zasute;
Car wali kościoły, buduje ostrogi
I większe, i mocniej okute.

Szczęść Boże! szczęść Boże wam, wilki Sybiru!
Kto święte rozwala ołtarze,
Kto nawet i grobom zazdrości już miru,
Oj! tego nie piekłem Bóg skarze!

Żal księży, pisk sierot, jęk starców, płacz matek,
Do Boga on kiedyś doleci!
Krew nasza, krew mężów i ojców i dziatek,
I w grobach nienawiść roznieci.

Łzy dojdą do nieba — krew groby ocuci —
Z niebiosów pioruny popłyną;
Kość w grobach zbielała padalcem się rzuci,
I wilki od jadu poginą!

A wolno zaszumią narody w kolejach!
Z przekleństwem w mogile legniecie,
Bez chwili wspomnienia wielkiego w swych dziejach
Bez żalu na całym tym świecie.

DO PAMIĘTNIKA

PANNIE SABINIE.

Damy i wieszcze — dawne to przymierze,
Bo go przed wieki świat zawarł za młodu;
Damy i wieszcze, w uroku i wierze,
Plotą przepaskę dokoła narodu.

Ale nasz naród jest jak owe morze,
Co podziemnymi wzburzone wulkany,
Wydać ma z łona kraj jakiś nieznany,
Którego przyszłość skryły sądy Boże.

Dziś na tem morzu chociaż tuczy niema,
Kto perłom na dnie ich „Jutro“ wywróży?
Kto je na wyspę wyniesie po burzy?
Kto rozhukaną grę fali zatrzyma?

A gdy nas ujmie powodzią nieznaną,
Czyż z czucia, z cnoty, choć szczątki ocali?
Z tortur pojmiemy, żeśmy kraj kochali!
Ach! a z łez tylko, że i nas kochano!

DO PAMIĘTNIKA

PANNIE ANTONINIE.

Kto szczęśliwy, smutków nie śni;
Kto wesoły, młody,
Pragnie nuty, pragnie pieśni
Wesołej, jak gody.

A jam uczuł rozkosz w dumie,
I w pieśni żałobnej;
Ja wam tylko śpiewać umię
Żal kraju pogrobny.

Lecz się módlcie moje panie!
By kraj powstał jeszcze,
A tysiące wieszczów wstanie...
Ach! i co za wieszcze!

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

WIECZÓR PRZY KOMINIE.

POLSKA GAWĘDA.

Obrać skibę swoją,
Walczyć ojców zbroją,
Dla ojczyzny złożyć
Ostatnią koszulę,
BOGU się ukorzyć,
Gromić cudze króle
A grozić swojemu:
To mi po dawnemu!
W to Mosanie! w to nam graj
To nasz polski obyczaj!
Przypowieści *Pana Wełdysza.*

No, moi panowie, gdy mowa o wojnie,
Apropo napadu i ja coś opowiem:
I jam to za młodu nie siedział spokojnie?
Z innemi siłami i z innem to zdrowiem
Służyło się niegdyś ojczyźnie wojskowo;
Bo w Polsce bój z Moskwą nie rzeczą to nową.

Nie było tam wprawdzie ni sztabów, ni zborów,
Ni piątki rządowej, ani dyktatorów;

Bo macie to wiedzieć: kto w Polsce dyktował,
Nie długo tam jemu brat szlachcic czapkował,
Nie jemu to było dochować się syna,
I stada i sada i starego wina.

Tam z prawa i z miecza był każdy z nas równy,
A ktoby nie równy, braterstwa wróg główny;
Kraj zwano naonczas Rzeczą Pospolitą,
A człowiek żył jakoś poszyto i syto,
A chociaż nam nieraz wróg zalał i sadła,
Niejedno upadło, a czapka nie spadła.

Stanisław był królem — kiep, odpuść mu Panie!
I takie-to było jego panowanie;
Bo ani do tańca, ani do różańca,
Nie miał też afektu u szlachty, bo z pruska
Miał czuby strojone, a westy z francuska;
Pokaźny to niby na oko, a tchórzył;
Łaskawy to niby, a naród oburzył.

Gdy włożył koronę, wnet szlachta w krzyk panie:
— Król nowy — las goły — to goły kraj stanie! —
I zgasła — bo chociaż zaprzysiągł nam pakta,
Nuż dalej z moskiewską carycą w konszakta;
Ou! burzy się szlachta; bo czyż to słychanie?
Kraj napaść, lud więzić — to, owo mosanie?
I w rządach i w sądach nad szlachtą przewodzić,
A króla tumanić, a panów podchodzić?
— Hej! bracia! — jak huknął Pułaski nam w Barze —
Nuż bronić ojczyzny, bo Pan Bóg nas skarze!
Nuż na koń. — Aż w Polsce się całej rozległo,
I w chwili trzydzieści tysięcy się zbiegło.
Ja byłem już wonczas na mojej zagrodzie,
I żyłem z sąsiedztwem w szczerości i zgodzie,
A była tam, panie, szlachcianka uczciwa,
Ba, dziewka by rzepka, figlarna i żywa!
Więc miałem się żenić: lecz coś mnie ubodło:
Ej! milsza ojczyzna! Wskoczyłem na siodło —

Przyjeżdżam. — Bądź zdrowa! — ha! darmo się smu-
Żal było, lecz umiał człek jakoś to rzucić, [cić;
I dalej na czyste, na tany sierdziste!
Co komu się godzi?! kto kogo pochodzi?!

Ha! różnie bywało, jak zwykle w obozie;
Był człowiek pod wozem, lecz częściej na wozie:
Nie znano naonczas, co to być odciętym
Na koniu, z czetnikiem i zwrokiem napiętym;
Pocięta gadzina i w sztukach się wije,
Więc każdy z nas! panie! gdzie stoi, tam bije;
Tu migniem, tam wpadniem i trwogę rozszerzym.
Ci z tyłu, ci z przodu, w dwa ognie ich bierzem:
Czasami nas zeszli, lecz częściej tak było,
Że gracko się kurtę Kozuniom kroiło;
Bo dzielnie na koniu tatarskim człek zwijał,
I wódkę z manierki kozackiej zapijał;
Na ostro kochano ojczyznę, nie płazem;
Broń tylko składano z żywotem zarazem.

Pamiętam jak dzisiaj: ot, w naszych tu górach
Staliśmy za Sanem pułaskim obozem,
Moskale na Słonnem pokryli się w dziurach,
Ja patrzę, aż jedzie ktoś ku nam wąwozem.
Był panie to szlachcic z poblizkiej dziedziny,
Zsiadł z konia, i prosił hetmana na chrzciny.
Pułaski go szczerze, jak brata, powitał:
— Cóż? synek czy... dziewka? — z umiechem zapy-
— Nadzieja Ojczyzny, syn, Mości Hetmanie! [tał.
Ksiądz czeka na kumy, na gościa śniadanie. —
— Więc służę, bo z bracią pokumać się godzi,
A mogę dom zacny nawiedzić bez szkody;
W obozie spokojnie, upadły z gór wody,
I najmniej do jutra nikt Sanu nie zbrodzi. —
I rzekł im: Czechowski! no, siadaj i Wasze!
A weźmiem go przy chrzcie na krzywe pałasze;
To będzie tam z niego chłopaczek czej dziarski,
Gdy do chrztu go trzymał Konfederat barski. —

I kazał dać konia — a konia miał Turka,
A szablę demeszkę, a człeka Mazurka.
Chce siadać mosanie! a basza się zżyma:
Mazurek go głaszcze, i syka, i trzyma,
Lecz ani weź panie! mój rumak się dąsa
I skacze i forka i wierzga i kąsa.
— Wie dyabeł, co się to z tym koniem dziś święci!
Daj siwkę! bo jeszcze człek karku nakręci. —
A siwka tak samo. To nie bez kozery!
Daj wilczka! — a wilczek uklęknął na cztery.
Ja chciałem mu podać mojego stępaka,
Lecz rzekł mi: Wolałbym twój kord, niż rumaka;
Bo kary — a żaden Pułaski z pradziada
Bez szwanku na konia karego nie wsiada. —
I jakoś tam w końcu już wilczka schwycili,
I wszyscyśmy społem działami ruszyli.

Lecz jeszczem przepomniał. — Nim ruszył Pułaski,
Nadjechał obożny, a zwał się Czerkawski;
Pan hetman mu kiwnął: Ja będę za borem —
Jeżeli tu do was nie wrócę wieczorem —
Rozumiesz? — Rozumiem. — Miej Słonne na oku,
Pistolet na smyczy, a konia przy boku! —
I ruszył — a ruszać on umiał nieszpetnie;
Bo nieraz jak panie w ciasnocie się zetnie,
Nim jeszcze krew pluśnie już on się wyśliznął!
I znowu z szturmaka pomiędzy nich bryznął.

O! wiele to mówić! — Dziś piszą i siedzą,
A jedni o drugich o milę nie wiedzą;
Lecz wonczas bez pisma na ludziach się znano;
A więc nas uczciwie i szczerze witano.
Nuż w kumy... ba, dalej afekta, śniadanie —
A były tam gładkie i panny i panie,
I człowiek był młody, i także nie z lodu,
Bo mówią i dyabeł był piękny za młodu!
Dopieroż Barszczanin przy kitce i z szablą?
Ot, było to jakoś uczciwie a dyablo!

Nasz szlachcic toż samo niezgorzej wystąpił,
Sąsiadów pospraszał, i sreber nie skąpił —
Nie byłó tam wiele wymysłów... cykaty...
Lecz obiad dał panie, uczciwy za katy!
Bo było na łyżce i było za łyżką,
A wino na piękne trąciło już myszką;
Szedł kielich kolejno — a mówią: Przy winie
I miłej drużynie czas jakoś to płynie;
Więc dalej i wieczór. Pod koniec już stoła
Ja patrzę, a szlachcic ciągnie apostoła.
Ba! leje — butelka... i druga bez mała:
— Niech żyje Pułaski! — Krew we mnie zawrzała;
Bo razem na wiwat z moździerzy wypalą!
Wtem patrzę, aż we drzwi... kozacy się walą.
Ou! kręto Mospanie! — strach, popłoch dokoła!
— A wara hultaje!! — Pułaski zawoła,
I odwiódł pistolet, i chwycił za szablę —
Wszak masz mnie już przecie? kozacze czy dyable!
Lecz jam tu w gościnie, a kto się z was ruszy
Przed końcem obiadu, nie zbawi tem duszy!
Nie zbawi — powiadam!! — I nabiegł krwią cały,
Aż nogi ze strachu pod czernią zadrżały.
I cisnął im kiesę. — Tu na ci kozacze!
Kto bierze Pułaskich, nad dolą nie płacze. —
I usiadł, i gości solennie przeprosił,
I zdrowie dziecięcia i matki ogłosił.
Nalano — podano. — Do ciebie kozacze!
Nie czynem, to winem przynajmniej uraczę;
A wypij go duszkiem! bo dziecię zapłacze. —
I podał, jak gdyby nic nigdy nie było,
A przy drzwiach kozactwo na piękne już piło.
I jeden z nich krzyknął: — Na zdrowie carowej!
I wzięcie hetmana! — I wasze tułowy! —
Odkrzyknął Pułaski. — Wszak wiecie jak biję?
Polska krew wrogom wbrew! niech Ojczyzna żyje!
A licho na Moskwę i głowę carycy! —
I palnął dwa razy przez okno z krucicy,

I we drzwi jak szatan demeszką potoczył —
Mnie nie czas już do drzwi, przez oknom wyskoczył:
— Czechowski! nuż plecy! — i rąbiem się młyńca,
Plecyma jak skuci, dokoła dziedzińca.
O! ciasno bój chodził! — wtem utknął Pułaski —
Upada, a w bramie jak huknie Czerkawski!
Jak wpadnie z naszymi! w kapustę nuż siekać!
Sąd Boży! nie było już kędy uciekać...
Kozactwo do nogi z pradziadka wybito;
I zdrowie przybyłych na trupach wypito.
Moździerze zagrzmiały: Niech żyje Pułaski!
A hetman zawołał: Niech żyje Czerkawski!

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

PROROCTWO KAPŁANA POLSKIEGO.

Próżno wołają, żeś w grobie;
Albowiem powiadam Tobie,
Że się Twe rany zagoją,
Że ten grób kolebką Twoją.
W Hymnie do Polski — De Lamennais.

Wytrwaj mój Ludu! Już twój ranek świta!
Powstań do życia! Już się rozjaśniło —
Już z grzechów twoich ziemia twa obmyta,
I będzie w końcu, co w początku było.
Tak... widzę... widzę z nadziemską rozkoszą
Przed duszą moją księgę przyszłych losów,
Tysiące ramion, tysiąc wielkich głosów,
Jako się wiążą i w dziejach unoszą!

O! wszystkim ludom pójdziesz, Polsko, przodem!
Bo wielkie czucie łono twe rozgrzeje,
A twa się cnota po świecie rozleje,

Jak się krew twoja po ziemi rozlała.
Wytrwaj, a staniesz potężna i cała!
Wytrwaj, a staniesz, staniesz ludu dzielny!
Z młodzieńczą siłą, i w szacie weselnej,
W ziemicy ojców od morza do morza!
A duchem Bożym jak słońce płonący,
Między narody jak morze grający,
I płodny, płodny jako ziemia Boża!
Wiecznym pomnikiem twojej polskiej chwały
Będą te Tatry, gdzie twe orły wzrosły;
A Polskie wody będą cześć twą grały,
A twą koroną nieba sklep wyniosły!
Świat się urządzi twojemi prawami,
Ty sam się zdziwisz nad władzą twych cudów:
Bo twoi wieszcze będą prorokami,
A twoja księga Ewangelią ludów!
I krew się twoja Sakramentem stanie
Ludom ginącym z niewoli i głodu!
I wzniosą one po ziemi błaganie:
Przez święte Rany Polskiego Narodu
Wybaw nas Panie!
Amen.

CZĘŚĆ DRUGA.

PIEŚŃ O KRAKUSOWYM GRODZIE.

Tu się jeszcze widzę świeci —
Do mnie, do mnie moje dzieci!
Bo coś dla was mam:
Ot z pielgrzymki wracam właśnie,
Nim w kominie ogień zgaśnie,
Coś powiem i dam!

No — otrzyjcie się o szaty,
I zasiądźcie wkoło chaty —
A teraz mi sza!
Prosto wracam dziś z Krakowa —
Hej! hej, dzieci! niejałowa
Nasza przeszłość ta!

Tutaj niosę wam pamiątki,
Szmat sztandaru, trumien szczątki
I powiastek treść —
I z trzech mogił głośnej sławy
Trzy przygarście ziemi łzawej
I o orłach wieść!

Posłuchajcie: W ranną chwilę
Na Kościuszkim był mogile
Z Bogiem moim sam:
Com widział — to śpiew oziębi;
A com uczuł w serca głębi —
To ja tylko znam!

Na mogile było głucho —
Przyłożyłem do niej ucho,
Słucham — co to tam?
A w mogile coś mówiło —
Ach! i większe serce biło,
Niż na świecie nam!

Nibym ze snu spojrzał górą,
Aż nade mną sterczy pióro —
Pióro z orlich lot!
Radość jakaś przeszła żyły
I pytałem się mogiły:
Skąd ci to ten grot?

A mogiła jękła głucho:
— Przyłóż do mnie, przyłóż ucho,
Wszakżeś ty to swój!
Orzeł siadł tu na spoczynek,
Rzekłam: Daj mu upominek
Młody orle mój! —

A on prawił: Hej mogiło!
Za czem ci się to stęskniło?
I cóż ja ci dam?
Gdyby Polki nie płakały
Po poległych — pierścień mały
Wyprosiłbym sam! —

— Gdyby znowu Lachy moje
Z wrogiem moim szli na boje,
To wiem, cobym dał:
Hej! leciałbym jak najdalej,
Przyniósłbym ci mózg Moskali
I tu bym go ssał! —

— Lecz gdy we rdzy krzywe płachy —
We łzach Laszki, w smutku Lachy,
Dam ci pióro z lot:

A jak pióro znajdzie Laszę
I zrozumie drużby nasze,
To stanie za grot! —

Wziąłem pióro — serce drżało —
Aż tu górą zaszumiało —
Patrzę — orzeł nasz!
Łupnął skrzydły — okiem błysnął!
I nad głową mi zawisnął
Jakby trzymał straż!

I było nas tylko troje —
A duch Polski na nas zdroje
Bożej łaski zlał!
Tu mogiła z tajemnicą,
A tam orzeł z błyskawicą,
A jam w środku stał.

O! kto lubi boje, łowy,
Komu drogim śpiew domowy
Od dziecięcych lat,
Niech tu orłem spojrzy wkoło,
Lub śpiewakiem wzniesie czoło
Nad ten orli świat!

Jak zasięgnę tylko oczy!
Niby rajem świat się toczy
Po przed duszą tu:
Ćmią się sady, dymią góry,
Srebrzą rzeki, grożą mury
Wieżycami stu!

Srebrną wstęgą Wisła płynie,
Przy niej wiankiem na równinie
Stary Kraków nasz!
A olbrzymie trzy mogiły
Gród dokoła ostąpiły
Niby wieków straż!

Hej! hej! pono krew ma w żyłach
Lud — co składa cześć w mogiłach
Sławie z dawnych lat:
W jednej, jako naród wierzy,
Już od wieków Krakus leży,
Wojewodów dziad!

Drugą poczczon, moje dzieci,
Ów naczelnik twardych kmieci —
Trzecią — dziewa dziew:
A śpiew między Krakowskiemi:
„Wanda leży w naszej ziemi...“
Głośny to tam śpiew!

Zdala Tatry świat zaległy,
I ku Wiśle góry zbiegły
Potokami stu!
A jak góry z równinami,
Tak Górale z Polanami
Zetknęli się tu!

Śnieg na Tatrach — maj na dole —
Las na górach— w równiach role —
I zażywny człek!
A wzdłuż Wisły bije zdala
Niby łabędź spław Górala
Pod krakowski brzeg!

Tam to cudnie Wisła bieży!
A nad Wisłą Wawel leży —
Na Wawelu gród:
Odkąd Wisła z gór tych płynie,
Stary Wawel na świat słynie
I ten chrobry ród!

Gdy się szatan pozuchwalił,
Bóg Wawelem go przywalił —
I duch czarny legł!

A Bóg zagrzmiał: Słuchaj Lasze!
Tu siedziby będą wasze
Aż po wieków wiek! —

Lecz na przekor woli Pańskiej
W kilka wieków z krwi szatańskiej
Urosł wielki smok:
I szkód siła ludziom sprawił,
Lackie dzieci co dzień dławił,
I nie jeden rok!

Aż znów Krakus lud wybawił,
Smoka zabił, gród postawił
I na grodzie siadł:
Lecz w mogile Krakus dawno —
A dziedzinę na świat sławną
Ślini znowu gad!

Ale niechno — jeszcze zleci
Łeb, co zjada lackie dzieci
I coroczny plon!
Bo lud wierzy w przepowiedni —
We łzach jedząc chleb powszedni
Nieraz jęknie on!

Hej! pozbędziem tej niewoli,
Jak się dźwignie lud od roli
I Krakusów brat:
A krew czorta, co dziś smoczy
W naszych wrogach, grunt sposoczy
Na wszystek ten świat!

Nieraz starzec w cieniu drzewa,
Powieść ojców znowu zlewa
Na te dziatki swe —
Lub gdy kosa brzęknie rosą,
Nieraz westchnie: Hej — hej, koso!
Gdzież naczelnik, gdzie?

Boć to dzieci naród wierzy,
Że w Krakowskiem skarb gdzieś leży,
Co jak znajdzie się,
Złotem Kraków się pokryje,
A swobodą kraj odżyje,
Grodem staną wsie!

Nieraz kiedy swe obszary,
Pługiem orze oracz stary,
Pług mu skoczy w szerz:
A dobywszy granat rdzawy,
Szuka wkoło Bronisławy —
Lub zamkowych wież.

Bo choć w zamku tylko groby,
Choć to dzisiaj dom żałoby,
Panem on się zna:
Hardo stoją stare mury!
Wiekom — wrogom mówiąc z góry:
Oj dostoję ja! —

— Zbił ten smoka, kto mię wznosił,
Kto mię święcił, wiarę głosił
I zbawienia wieść:
Kto tu władał, czcił swobodę,
A bił w sławę, a mścił szkodę:
Kto tu był — z tym cześć! —

Starsza dzieci Słucka fara,
Niż luterska krzywa wiara!
Lach się panem zna:
Hardo stoją szare mury,
Wiekom — wrogom mówiąc z góry:
— Oj dostoję ja! —

Straż zamkową szczerbiec trzyma,
A u grobów kość olbrzyma
Strzeże progów tych:

Gościem orzeł w ranną chwilę
Siada dumać na mogile
O pradziadach swych!...

Dziewięć wieków polskiej sprawy,
Nieszczęść naszych, czci i sławy
Gra tu dziejów pieśń!
A te dzwony na Wawelu,
Świadki wielkich czynów wielu,
Odzwaniają pieśń!...

Po pod stare te sklepienia
Mnogie przeszły pokolenia —
Jak im świadczy głaz:
Boć pod każdym głazem drzémie
Z dzielnych wieków wielkie imię
Po dzisiejszy czas!

Bohatery i królowie,
Jagiellony i Piastowie
I kapłani ich:
Choć nie z jednej szli dzielnicy,
W jednej leżą tu kostnicy
Na puklerzach swych!

Duch ich widny jeszcze z trumny,
I sen ich tam pono dumny —
Jak był dzielny wiek:
Hej! coś pięknie im się marzy!
Bo coś mówi z każdej twarzy:
— Jam na sprawach legł! —

Znać, że doma sobie legli —
Gdybyśmy ich nie odbiegli,
Gdy w nas krew ta wre:
Hej — hej! możnaby tak pożyć,
I tak dumnie kiedyś złożyć
Tutaj kości swe!

Gdyby przy tej krwi junackiej,
Przy tem mleku z piersi Lackiej
Dzieje Polski ssać:
Jacyż ludzie, jakiej treści,
Jakich czynów i boleści
Poczęliby grać?!

Czy na krwawem rusztowaniu,
Czy na sejmie — na wygnaniu,
Czy z wrogiem na tan:
Każdy biłby jak Różycki —
Stał jak Reytan — legł jak Kicki —
A cierpiał jak Zan!

Ha! dobranoc moje dzieci,
Niech wam śpiewa, niech wam świeci
We śnie piosnka ma!
Niech się marzy wiek swobody!
I słowami wróżki młodej
Niech wam w duszy gra!

Ja com sobie wziął z Krakowa,
To w mem sercu się przechowa —
To ja tylko znam!
Lecz gdy legnę gdzie bez wieści,
Bez łzy bratniej i bez cześci,
Nie będę już sam.

SZAJNE-KATARYNKA.

Książeczka godziwa
Do ludzi i Boga;
Bo polska, poczciwa
I niebardzo droga.
A napisał ją biedaczek
Przed obrazem Matki Boskiej —
Stary żołnierz nieboraczek
Słodząc życia tego troski,
Nad Ojczyzny płacząc losem.

OBRAZEK WSTĘPNY.

Na szkle malowana „Gęsia karczma“ pod Toruniem nad Wisłą — przed nią tańczy dziewczyna w stroju jako opisano niżej — Muzyka gra obertasa — To śpiewa flisakom:

Panowie i panie!
Światowe kochanie —
Witamy, witamy
Prześlicznie u bramy!
A wita was wita
Dziewczynka przykrajna,
I o zdrowie pyta
K a t a r y n k a S z a j n a!

Rodziłam się w szynku
Mamuniu, mamuniu —
Wyrosłam na rynku
W Toruniu, w Toruniu,
Wrocławianki córka
Jak zdrowie, jak zdrowie —
Porosłam ja w piórka
W Krakowie, w Krakowie.

W złocistym czepeczku,
W jedwabnym gorsecie,
Tańczę po niemiecku
Po świecie, po świecie.
Mam oczki jak gwiazdy,
Pysio jak kwiat w raju —
Lubi mię też każdy
W tym kraju, w tym kraju.

Niema nic w tem złego,
Wierzcie państwo temu —
Uśmiech dla każdego;
Lecz serce jednemu!

OBRAZEK I.

Na szkiełku Bóg Ojciec w obłokach — po prawej stronie słońce, po lewej księżyc — naokoło gwiazdy — pod stopami kula ziemska — na niej napis „P o l s k a“ — Muzyka gra:

„Kiedy ranne wstają zorze . . .“

A to są niebieskie gońce —
A to jest miesiąc i słońce!
Jak dokoła Polski chodzą
I za sobą gwiazdy wodzą.

Słońce mówi Panu swemu:
— Nie pokażę twarzy mojej —
Po co każesz świecić złemu?
Po dniu jasnym zły tam broi. —

A Bóg mówi: Świeć ty złotem,
Świeć ty słońce po staremu!
Bo tam wzdycha lud do nieba,
A i chleba mu potrzeba:
Noc gwiazdzistą dam ja potem —
W niej spoczynek dam dobremu.

OBRAZEK II.

Pługi i cztery woły na roli — za pługiem idzie kmieć i orze — obok niego postępuje Anioł-Stróż. W dali zagroda — słońce wschodzi — bocian leci na łąki ponad oraczem — Muzyka gra:

„Śpiewaj śpiewaj skowroneczku,
Dodawaj nadzieje . . .“

Ludzka praca — Boża wola —
Bo kmieć Boży, pług i rola!
Jak po morzu ziemi stało,
Pług zaorał Polskę całą!
Kmieć to polski, co nim orze,
A grunt ojców niejałowy,
A pług wierny, bo Piastowy - -
Więc pomagaj wielki Boże!
Z pługa wyszła bojaźń Boga —
Bo człek sieje, a Bóg rodzi;
Przyjaźń ludzka wyszła z broga:
Bo przy chlebie człek się godzi;
A z poczciwej ojcowizny
Wyszła miłość i ojczyzny,
Miłość światła i Kościoła.
Kiedy w ulu siadła pszczoła —
Z pługa poszło miłościwe,
I co łaskę niebios nieci,
I co w dziejach jest poczciwe,
I co w Polsce z Boga świeci!
Więc jak sądził Pan Bóg w wiecu,
Tako czyń ty Boży kmiecu!
Ty się trzymaj pługa wiecznie:
Bo Bóg — Ojciec, ziemia — matka!
I żywota droga gładka,
Kto na roli siadł statecznie.

OBRAZEK III.

Na szkle wyobrażony duży kraj — po tym płynie siedm wielkich rzek, a po nich idą łodzie, szkuty, galary i inne statki — zdala widać dwa morza, Czarne i Bałtyckie, do których wpadają te rzeki — na morzach mnogo okrętów.

A to w tej naszej krainie
Siedem największych rzek płynie:
Odra i Wisła jednaka
Służą obie dla Polaka,
A zaś Niemen, potem Dźwina
Służą obie dla Litwina:
Dniestr, Boh, Dniepr — wielkie rzeki —
Płyną Rusią w kraj daleki.
Wszystkie siedem wpadły w morze:
A ty po nich płyń nieboże,
Litwinie, Rusinie, Polaku!
W sukmanie, w żupanie, w kubraku:
Bo rzeki na morze jest waga —
Więc niech Bóg Waszmościom pomaga!

OBRAZEK IV.

Na szkiełku góry Krzemionki pod Krakowem — między niemi jedna C a r o w ą zwana z kopcem Krakusa — Widać Wisłę — na niej most — po moście i koło gór mnóstwo ludu — jak to bywa gdy lud z Krakowa na trzeci dzień Wielkiejnocy idzie na Krzemionki na zabawę R ę k a w k a — zwaną — Muzyka gra:

„Ej, sama ja sama,
Jak lipina w polu,
Ej niema mię, niema
Pożałować komu."

Zielona trawa, zielona,
A stara Wisła spieniona!
Hen na Podgórzu R ę k a w k a —
I Wielkanocna zabawka!

A na Rękawkę się sypie
Naród z Krakowa po moście:
Ciesz się narodzie na stypie —
Bywa Wielkanoc po poście!
Niby krzemień chłop krakowski,
Bieda — krzesiwo ze stali;
A jak się próchno podpali,
Znikną z Krakowa i troski!
Zielona trawka, zielona,
Słońce przygrzewa z zachodu,
Na kopcu pełno narodu —
A stara Wisła spieniona...

OBRAZEK VII.

Na obrazku ukazuje się Zamek Krakowski — Muzyka gra starego poloneza.

A to jest Zamek Krakowski!
Pielesz polskich królów dawna,
I katedra starosławna —
Dom odwieczny a bez zmazy,
Który gorzał już trzy razy.
Od Łokietka Władysława
Wszystkie króle w poczciwości,
I świętego Stanisława
Leżą w srebrnej trumnie kości.
Na Wawelu Zamek leży,
A nad Zamkiem bije z wieży
Dzwon ów sławny Zygmuntowski
Tym, co legli w łasce Boskiej:
— Bambałam — bambałam!
Pokój wam! Pokój wam!

OBRAZEK VIII.

Pokazuje się rynek Krakowski — na środku pogański ołtarz zapalony — Święty Wojciech zatyka na ołtarzu krzyż — dokoła lud zdumiony — Muzyka gra pieśń: Boga Rodzica.

To sławny Apostoł czeski
Święty Wojciech pośród grodu —
A do polskiego narodu
Wysłaniec furty niebieskiej!
Co go Prusaki łotrowie
Na Pomorzu zamęczyli,
A nasi polscy królowie
W Gnieźnie poczciwie złożyli.
Przybywa on do Krakowa
Zbawiciela głosić słowa:
Obok niego lud dokoła —
A on z krzyżem w ręku woła:
— W tym znaku — w tym znaku
Zbawienie Polaku! —
Więc się na twarz naród rzucił
I do Boga się nawrócił!

OBRAZEK XI.

W obłokach ukazuje się święty Stanisław, patron polskiej korony, z Piotrowinem — Muzyka gra: Pieśń o św. Stanisławie.

To Stanisław Szczepanowski!
Filar Kościoła Rzymskiego —
Patron Królestwa Polskiego!
Żył za króla Bolesława,
Lecz trudna była z nim sprawa:
Bo i słowom Bożym przeczył,
I ciemiężył i wszetéczył,
Gdy niedobrze król się bawił,

Wzywał biskup w Imię Boga,
Aby żywota poprawił,
I szedł kędy królom droga.
Gdy z nim nie było sposobu,
Bóg cud nawet zdziałać raczył:
Piotrowinę wskrzesił z grobu;
Ale król się nie obaczył —
Więc rzucił klątwę mąż święty,
I król z Kościoła wyklęty.
Gdy to Bolesław usłyszał,
Zemstą i piekłem zadyszał:
Porwał szablę, dopadł Skałki,
Przy ołtarzu ciął biskupa —
I z kościoła wywlókł trupa,
I pociął ciało w kawałki:
I są członki rozrzucone,
Od orłów tylko strzeżone;
Gdy je ptastwo cudem zniosło,
Święte ciało znów się zrosło —
A Stanisław, wielki cudem,
Stoi odtąd między ludem
Jak patron polskiej korony,
Na ołtarze wyniesiony!
I od wielkiej chwili onej
Jak Jego szczątki rozdano
W kościołach polskiej korony,
Łaski w narodzie doznano:
I Bóg począł błogosławić,
I była wielka wspaniałość,
Potężna wiara i stałość,
I naród począł się sławić:
Bo szedł z Maryą na czele,
Szczęśliwie pogan wojował,
Rósł w ojczyźnie i Kościele —
I wolność — pisklę orlęce —
Wziąwszy z miłości na ręce,
Obok ołtarzy wychował.

Lecz odkąd siewierskie księstwo,
Własność biskupów krakowskich,
Na sejmie naród naruszył,
Pan mu odebrał zwycięstwo —
Dał go w niewolę i skruszył.

OBRAZEK XIII.

Widok Wieliczki — a nad nią ukazuje się w obłoku święta Kunegunda, królowa polska, żona Bolesława Wstydliwego. — Na habicie zakonnym płaszcz z gronostajami, na zawiciu korona — niesie na ręku bryłę soli kamiennej. — Muzyka gra: Pieśń o św. Kindze.

To jest krakowska Wieliczka!
A nad nią stoi w obłoku,
Z palmą i berłem przy boku,
Kamiennej soli dziedziczka.
Jest to święta Kinga owa,
Polskiego ludu królowa,
Co to z przejrzenia Bożego
W Wieliczce cudem odkryła
Sól dla narodu polskiego —
I chleb polski posoliła!
Znajże ludu, znajże ludu!
Że to tobie łaską cudu
Bóg przez Kingę wskazał z nieba
Sól do powszedniego chleba!
Na lat tysiąc jest zapasów —
Jest to twoja ludu bania,
I za polskich niegdyś czasów
Była sól dla kmieci tania —
Jako mówią starzy.

OBRAZEK XIV.

Ukazuje się część rynku Krakowskiego z kościołem Panny Maryi — Na wieży kościelnej trębacze grają: Hajnał.

Oto świątynia jest Pańska!
Ucieczka w ciężkiej potrzebie —
A nad nią świeci na niebie
W koronie wieża Maryańska!
I z tej najwyższej wieżycy
Na chwałę Boga-Rodzicy
Grają pieśń ranną trębacze —
A w sercu z cicha coś płacze...

Witaj Królowo przestworza!
Kosztowna perło topieli —
Najczystsza gwiazdo z gwiazd morza
Na jasnej niebios pościeli!

Miesiąc jest Twojem podnóżem!
Gwiazdy niebieskie płaszcz szyją —
Tyś jest nad ziemią i morzem...
Bądź pozdrowiona Maryo!

OBRAZEK XVI.

Pojawia się święty Jacek w szatach dominikańskich — trzymając w prawej ręce monstrancyę, w lewej zaś figurkę, wizerunek Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus na ręce wyobrażającą. Muzyka gra pobożną pieśń o św. Jacku.

Święty Jacek! wielka gwiazda,
Odrowążów niegdyś gniazda!
Sługa Boży wielkiej mocy,
I Maryi wielki czciciel —
I apostoł na Północy —
I zakonu założyciel!
Polska Świętych Pańskich matka,
Dała sobie w Jacku świadka!

Bo te wszystkie ludy, kraje,
Które Jacek Bogu daje,
Które obszedł swemi stopy,
Gdzie podźwignął Panu stropy:
W jeden Kościół — w państwo zlane,
I miłością Bożą grzane,
Cudem niby zrosłe społem
Są narodem i Kościołem!
A przy świętym Jacka grobie
W każdym wieku, w każdej dobie
Pan Bóg wielkie łaski sieje,
Jak Kościoła świadczą dzieje...

OBRAZEK XVII.

Na szkiełku wyobrażenie męża nizkiego wzrostu, okrytego zbroją, mającego na głowie koronę i trzymającego na ramieniu oburącz miecz ogromny prosty — koło niego leżą pobite ludy w strojach kusych, a czarci chwytają dusze, które z nich wychodzą — Muzyka gra melodyę Elsnera z opery Wiśliczanki:

„Przed Krakusem ludzie żyli
Nieznający złota..." itd.

Oto jedzie król Łokietek!
Co to ludzie o nim wierzą,
„Że nie w korzec chłopa mierzą."
Niewielkiego bywał wzrostu,
Lecz Piast z Piastów bił po prostu!
Zarwali się z nim Krzyżaki,
Otóż dał się im we znaki —
Otóż huknął nad szołdrami:
— A bij ....., bo Bóg z nami! —
I jak trzcinę ich wyłożył —
I dyabłowi dusz przysporzył:
— A znaj szołdro, znaj,
Że to Piastów kraj —
W Polskę się nie pchaj!

OBRAZEK XVIII.

Na szkle grobowiec Kazimierza Wielkiego — Muzyka gra: Gorzkie żale.

A to jest Kazimierz Wielki!
Król kochany od narodu,
Sławny w dziejach z czynów wielu,
A ostatni z Piastów rodu,
Jako leży na Wawelu —
Niegdyś królem chłopków zwany,
Sprawiedliwy i kochany —
Bo za prawem rządził,
I sumieniem sądził,
I wziął Polskę budowaną,
A zostawił murowaną:
Więc jak Piast, więc jak pan
Pośród ludu pochowan!

OBRAZEK XX.

Ukazuje się królowa Jadwiga na majestacie, w płaszczu królewskim, z koroną na głowie a berłem w ręku — Nie daleko wznosi się gmach Akademii krakowskiej — Muzyka gra: Hajnał.

Oto Jadwiga królowa!
Wonna róża z Piastów rodu —
A Polska pamięć jej chowa
Jako świętości narodu!
Bo jako anioł ofiary
Ostatnia z rodu na straży
Podparła królów dom stary —
I Litwę z Polską kojarzy!
Gdy przywiodła pod krzyż Pański
Całej Litwy lud pogański,
Pan Bóg przymierze odnowił,
Bo z krzyża do niej przemówił!

Co rzec raczył — tajemnicą,
Ale w łasce Bożej rosła —
I tę starą szkołę wzniosła,
Która światła jest krynicą...
Choć ostatnia z Piastów krzewu,
Przecie sławna jest z posiewu
Wiary, światła i miłości,
Co narodom drogę prości:
To też naród ją najczulej
W wielkim ołtarzu pochował,
I tak ją wielce miłował,
Że tron odtąd naszych króli
Na Jadwidze stawiał grobie —
I korona siadła sobie:
A krucyfiks słynny cudem
Kirem odtąd zapuszczony —
I dziś świadczy między ludem
O tej Polsce bez korony..

OBRAZEK...

Widok starej Jagiellońskiej Akademii w Krakowie — nad nią w obłokach święty Jan Kanty. — Muzyka gra: Pieśń o św. Janie Kantym.

Oto nasza „Alma Mater!"
I Jan Kanty, jej bohater!
Jagiellońska stara szkoła —
Córa królów i Kościoła —
Matka nauk i młodzieży,
W dziejach Polski czysta perła,
Co tak uczy, jako wierzy —
I Krzyżowe trzyma berła!

Almo Mater, perło nasza!
Pięć to wieków już dobiega,
Jak odbija z tego brzega
Sprawa Boża — sprawa łasza!

Jak z Bożego ula roje
Wypuściła dziatki swoje
Na świat Boży — i z tej szkoły
Wyszedł ziemi poczt wesoły —
Wyszli mędrce, zacni, dzielni —
Wielkiej duszy i zawodu,
Służby Bożej i narodu —
I w narodzie nieśmiertelni...
Stąd jak stała — matka stanie,
Bogu zdana na obrony —
Jasna perła tej korony
I narodu ukochanie!

Janie Kanty! nasz patronie!
Co przy Bożym stoisz tronie
Jak zastępca szkoły starej:
Natchnij ogniem świętej Wiary
Serca czyste tej młodzieży;
Niechaj bierze skarb w puściźnie —
Jak wierzyła, niechaj wierzy
I w Kościele i w ojczyźnie!...

OBRAZEK...

Na szkle ukazuje się poczet monarchów z rodu Piasta, pieszo lub konno, wedle spraw ich i żywota — wolno jeden za drugim posuwa się, a każdy ma w ręku znamię, cechujące jego panowanie. — Na czele ich przed Mieczysławem leci orzeł Piastowski — na końcu za Jadwigą unosi się Anioł z palmą w ręku i ze zgaszoną pochodnią. — Muzyka gra:

„Cześć polskiej ziemi..."

A to są wszyscy Piastowie!
Najstarsi polscy królowie —
I tak idą do wieczności,
Jako każdy się ozdobił,
Bo co zrobił, to już zrobił
Dla ojczyzny w poczciwości:

Jak dla pszczoły plaster miodu,
Tak ich pamięć dla narodu.
Każdy niesie do wieczności
To — czem kraj swój przyozdobił,
A co zrobił, to już zrobił
Dla ojczyzny w poczciwości.
W czci zostaną Piastów trony,
Nikt się nie tknie ich korony;
W Bogu legli między swymi
W świętem łonie polskiej ziémi —
Wieczne odpoczywanie
Racz im dać Panie!

OBRAZEK . . .

Ukazuje się Jan Tarnowski z buławą w ręku. Muzyka gra:

„To wielka Leliwa —
Co światłem opływa."

To hetman Tarnowski,
Mąż polski i Boski —
Co bronił ojczyzny
Do później siwizny,
Co sięgnął po sławę
I wielką buławę
Na światów trzech krańce:
I naprzód pohańce
Wojował ze światem,
A potem bułatem
Ciął Moskwę przeklętą
I Wołosz zaciętą —
Mąż dzielnej wymowy,
W obozie surowy,
Śród boju niezłomny,
W zwycięstwie człek skromny,
W pokoju nauki
Pokochał i sztuki.

Gdy srogi — to iskry mu z oczów leciały,
I szyja się trzęsła i włosy wstawały,
I kark się Janowi
Odymał jak lwowi;
Gdy łaskaw, to takie płynęły mu słowa,
Iż rzekłbyś, że anioł, nie człowiek z Tarnowa.
Za króla Olbrachta
Poginęła szlachta,
Co Olbracht po stronie wołoskiej porzucił,
Tarnowski Koronie ze sławą powrócił,
Jak hetman padł krzyżem, Obertyn pamięta,
Nim jeszcze z Wołoszą jest bitwa poczęta:
Stąd kiedy Wołoszę do mogił już wmiesił,
W katedrze krakowskiej chorągiew zawiesił.
I jako w Koronie
O jego patronie,
O świętym Janie
Jest wiara, że żyje:
Tak jest między ludem —
Że pan hetman cudem
Kiedyś jeszcze wstanie
I wrogów pobije.

OBRAZEK . . .

Na szkle obraz królowej Bony, wielkiej tłustej baby, bogato strojnej — a za jej fartuchem ciągnie chmara gachów — Muzyka gra:

„Ej szła, bo ją wiedli,
Miała placek, to jej zjedli."

A to idzie stara Bona
Zygmuntowa żona —
Wszetecznica nie po troszka,
Z piekła rodem Włoszka!
Ci co razem z nią żyli,
Tak to o niej mówili:

— Stroi baba firleje,
Kiedy w czubek naleje. —
Własną zatruła synowę,
Skarb trwoniła na głowę —
Wiele zamków posiadła
I hulała z gaszkami,
Potem Polskę okradła
I uciekła z skarbami.
Gach wziął swoje, bies swoje —
Po jej zamkach dziś straszy —
Panie dyable, weź twoje;
Lecz nie tykaj nam kaszy.

OBRAZEK . . .

Na szkle malowany chleb prądnicki cały, jak koło u wozu, — tak wielki jak gospodarz, który przy nim z nożem stoi. — Muzyka gra Krakowiaka.

A to idzie z łaski Boskiej
Chleb prądnicki, chleb krakowski!
By u wozu przednie koło
Toczy do dom się wesoło:
Święć się Wielki Boże w niebie!
A na ziemi polski chlebie!
Tobą to się kmieć obdzieli
Od niedzieli do niedzieli:
Pierwszy kąsek dla matusi,
Przewybornej wart gębusi —
A dla dziatwy kąsek drugi:
Nuże wkoło stańcie sługi!
Na ci Bartku, łepski chłopie,
A nie poleń się przy snopie!
Na ci Maćku nieboraku —
A pamiętaj o koniaku!
Ba i Kachnie widzę pachnie —
I Marynie — przy kominie —

Na i tobie psie kudłaty,
A breszże mi koło chaty!
Resztę niechaj mać przysporzy,
Jeśli czeladź nie dołoży —
Święć się Wielki Boże w niebie!
A na ziemi polski chlebie!

OBRAZEK . . .

Na szkle ukazuje się Jan Długosz.

A to Jan Długosz!
Jak skała stoi wsławiony —
Kronikarz polskiej korony,
Kanonik krakowski
Arcybiskup lwowski!
Pałał miłością najszczerszą
Polskiej ojczyzny od młodu,
I spisał księgę najpierwszą
Dziejów polskiego narodu.
Chociaż ojczyznę najszerzej
Swem piórem w świecie rozsławił,
Pomnik narodu postawił —
Dziś bez pomnika sam leży!
Za nagrodę prosił sobie,
Aby złożono go w grobie,
Gdzie Bóg łaski zdrój wysączył,
A Stanisław święty skończył;
Więc na Skałce śpi snem wiecznym —
I dopiero wówczas wstanie,
Gdy na Boże powołanie
Już na sądzie ostatecznym
Przyjdzie Polsce dać świadectwo!

OBRAZEK . . .

Wyobrażona jest wieś Wola pod Warszawą — błonie wielkie, na którem widać szlachty zgromadzenie i szopę — sejm elekcyjny — koronacyjny poczt — rzesza ludu — stany zgromadzone itd. Muzyka gra:

„Wezmę ja kontusz,
Szablę przypaszę!"

A to owa sławna Wola,
Kędy naród się gromadził
I o swoim statku radził,
I wybierał Polsce króla.
Taki to był zwyczaj dawny,
I stąd był też naród sławny,
Że prawami sam się rządził,
Sam się bronił i sam sądził:
Stąd swobodny był i zdolny,
A od roli — rolny —
A od pola — polny —
A od woli — wolny!
Więc pamiętaj ludku sobie,
Jeśli dobrze ma być tobie,
Kto szafarzyć ma twą solą —
Kto podatek twój ma liczyć —
I twą miedzę odgraniczyć —
Aby rządził Bożą wolą.

OBRAZEK . . .

Zjawia się ksiądz Piotr Pawęski Skarga z krucyfiksem w ręku na kazalnicy w kościele św. Piotra. — Muzyka gra: Pieśń św. Kazimierza:

„Omni die
Die Mariae" etc.

Rzym kotwica! Bóg nadzieja!
To Piotr Skarga kaznodzieja!

Kazał wiernym i królowi
I rycerstwu i sejmowi!
Bicz kacerstwa — żołnierz Pański!
I w Kościele mąż hetmański!
Wielki słowem, wielki duchem —
I prawd Bożych podniesieniem,
I pokorą i posłuchem,
I doczesnem umartwieniem.
Ci, dla których Skarga czynił
Za świętego Piotra progiem —
Czy rozgrzeszył, czy obwinił,
Stoją dzisiaj już przed Bogiem!
A Piotr Skarga — Piotr więc skała,
I nie umarł i nie zmiera,
Lecz miłością Bożą pała,
I do nieba drzwi otwiera.
Świecznik Boży — świeci ziemi
Słowem Bożem między swymi;
I w Kościele trzyma straże —
I jak kazał — dotąd każe...

OBRAZEK...

Na szkle pokazuje się Jan Kochanowski w cieniu starej lipy siedzący, przed nim stół kamienny, na stole dzban i puhar, w ręku prawem trzyma pióro, na kolanach leży księga, lewą ręką karmi wiewiórkę, która z lipy na stół zbiegła.

A to śpiewak Czarnolasu —
Jan natchniony Kochanowski!
Co dawnego niegdyś czasu
Śpiewał chwałę polskiej wioski!
I najpierwszy w polskiej mowie
Pod tą lipą składał pieśni,
I wtórzyli chórem leśni
Śpiewom jego śpiewakowie.

Wojski niegdyś sandomierski
Nie dbał i o kasztelana —
W pieśni Bożej i rycerskiej
Cała Polska rozkochana
Uwielbiała swego czasu
Wieszcza Jana z Czarnolasu,
Co tak rozsiał po dąbrowie
Skarby ducha w ojców mowie —
Dziś już pono ani szczypy
Z Czarnoleskiej onej lipy;
Ale naród mówi sobie:
— Żywe duchem, żywe w grobie —
I nie zginie śród zapasu!
Większe skarby nam odpisał
Wieszcz natchniony z Czarnolasu,
Co też słodycz z mowy wyssał,
Niż złożyli u przystani
Wielcy króle i hetmani!

OBRAZEK . . .

Na szkle pokazuje się Kopernik w todze akademika krakowskiego z globusem i cyrklem w ręku — w dali widok akademii krakowskiej. — Muzyka gra:

„Cześć polskiej ziemi, cześć!"

Tu w doktorskiej mędrców szacie
Kopernika Waszmość macie!
Jak glob świata w ręku dzierży,
I ład świata myślą mierzy. —
Polska, wielkich duchów ksieni —
To też uczeń Almy Mater
Stanął w dziejach jak bohater
W sferze czasów i przestrzeni. —
Bo odgadnął drogi Boże
I stworzenia tajemnicę:
Starą ziemię pchnął w przestworze,

Słońca wstrzymał jasne lice.
Więc i wyszła na świat cały
Wielka prawda polskiej chwały
Z głębi ducha polskiej ziemi —
I stanęła przed wszystkimi.
Stąd i Polska mówi sobie
Przy swojego mędrca grobie:
— Nasze wydało go plemię —
Wstrzymał słońce — ruszył ziemię!

OBRAZEK . . .

Na szkiełku obraz szlachcica w misiurce, to jest w kolczej zbroi na srokatym koniu — koło niego dworska drużyna, uzbrojona na koniach. — Muzyka gra:

„Pod miasteczkiem Beresteczkiem . . ."

A to jedzie Zaklika!
Srokacz pod nim bryka:
— Pan Zaklika z Wojsławic
Bił Tatary do granic. —
Świtem rzekł mu kmieć stary,
Że kraj naszły Tatary —
Więc do boju się ładzi, —
Dał poczesne czeladzi:
Za Polską, za Matką
Stój ze mną czeladko!
Raźnego, a w taniec,
Bo w kopcach pohaniec!
I wyparł się w pole
Na koniu Sokole
I nim sejm się zgromadził,
Nim król listy przesuszył,
Nim ksiądz kanclerz uradził —
A pan hetman wyruszył:
To Zaklika się sprawił,

I pobił bez rady —
I już ucztę wyprawił
Dla całej gromady —
I pił też z sąsiady.

OBRAZEK . . .

Stefan Czarniecki pokazuje się na tureckim koniu w zbroi — z buławą w ręku.

A to jest Stefan Czarniecki —
Poczciwej blizny,
Pogromca szwedzki —
Zbawca Ojczyzny!
Hetman o chłodzie i głodzie,
Co nie z soli, ani z roli,
Ale z tego co go boli
Urósł w narodzie.

OBRAZEK . . .

Na szkle wymalowany na koniu ksiądz z kordem i bizunem. — Muzyka gra: Marsza polskiego.

W kordzie to obrona — a w Bogu nadzieja —
Oto macie Pocieja, księdza Dobrodzieja!
Był kanonik Pociej, niby drugi Loga,
Bił się za ojczyznę, kochał Pana Boga,
Otóż kędy przyciął święconem żelazem,
To Pan Bóg mu dawał, że dwóch płatnął razem:
A gdy poparł koniem, kiedy miał brać w troki,
To bizun garbował na raz oba boki.
A że to Pocieje byli zuchterowie,
Więc też od Pocieja urosło przysłowie:
— Czem człowiek świat przejdzie? — Koniem i od-
I sztuką krzyżową, Pociejowską plagą! [wagą,

OBRAZEK ...

Święty Andrzej Bobola pokazuje się na szkiełku — zdala słychać śpiew pobożny:

„Chwała Ci Panie wszędzie i bez miary,
Krew męczenników oto ziarno wiary!..."

Następnie poważnym głosem bez muzyki:

To piński apostoł — ów Jędrzej Bobola!
Co poszedł na męki z miłości gorącej,
I ziarno zbawienia z krwią posiał w te pola —
Zbawienia dusz ludzkich żarliwie pragnący.
W znak wiary czystości dom stary Boboli
Szat innych nad białe u siebie nie chował,
Dostatków używał tak miernie jak soli,
A służąc orężno kościoły fundował;
Więc Pan też tem jego zasługi nagrodził,
Że w domu Bobolów mąż Boży się zrodził,
Ostatni męczennik w tej polskiej koronie,
Gdy Waza Kazimierz zasiadał na tronie:
I w Pańskiej winnicy jest Jędrzej Bobola
Tym mężem, co wyszedł ostatni na pola —
A Chrystus mu przecie użyczył tej płacy,
Choć wyszedł ze wszystkich ostatni do pracy;
Stąd jako Stanisław jest w sztuki pocięty,
A ciało się jego znów zrosło miłośnie:
Tak kiedy Rzym powie, że Jędrzej jest święty
I Polska napowrót jak cudem się zrośnie —
A naród szczęśliwy i wierny w ojczyźnie
Jędrzeja Bobolę podejmie kochaniem,
I w miejscu męczeństwa pod jego wezwaniem
I miasto i kościół podniesie w Pińszczyźnie.

OBRAZEK . . .

Na szkle pokazuje się król Jan III na koniu w pancerzu i w koronie na szyszaku, z berłem w ręku, z buławą pod kolanem na siodle, tratujący Turków. — W głębi wre bitwa — w dali widać miasto Wiedeń z wieżą św. Szczepana. — W górze w obłokach Anioł sławy i „J a n i n a“ w gwiazdach. — Muzyka gra:

„Gdy się Jan III pod Wiedniem wsławił,
Głos był powszechny między Niemkami;
Oto król polski! co nas wybawił —
Jakże mu pięknie z tymi wąsami!“

A to Jan Trzeci Sobieski!
Jako tratuje pogany —
Co widać z rady niebieskiej
Królem jest w Polsce obrany!
Syn Kościoła najgorętszy,
Czciciel Trójcy Przenajświętszej —
Uczeń naszej Almy-Mater,
Sława Polski! — król bohater!
Piorun Boży! bicz pogaństwa!
Zbawca Wiednia — chrześcijaństwa!
Pachołęciu w starej szkole
Stary rektor przepowiedział,
Że Jaś ziści Bożą wolę
I na tronie będzie siedział.
Rycerzowi kmieć buławę
Z dawnych mogił gdzieś wypłużył —
I Jan hetman tak jej użył,
Że na krzyża poszła sławę.
Bóg buławę zmienił w berło,
A Jan Trzeci w dziejach perłą!
I „Janina“ z jego państwa
Jest puklerzem chrześcijaństwa!
I jak wielka ona tarcza,
W której krzyża jest obrona,
Co na wszystek świat wystarcza —
Jest na gwiazdach zawieszona!

A Jan Trzeci spoczął sobie
Po rycerskim onym boju
W starych naszych królów grobie —
Gdzie wodzowie śpią w pokoju...

OBRAZEK...

Na szkiełku Pułaski z dobytą szablą krzywą w staropolskim stroju — jedzie na czele hufcu podobnież ubranego — Muzyka gra: Marsz staropolski.

A to jedzie po błoniu
Pułaski na białym koniu!
A tuż za nim jadą chwaty
Te barskie Konfederaty!
Których Pan Bóg cnotę zrodził,
Kiedy Polskę wróg nachodził.
Oj, ostatni to ostatni
Polskiej szlachty poczet bratni!
Co kraj zlała krwią poczciwą,
I walczyła szablą krzywą,
Ufnem sercem w łaskę Boga
Szła za głosem prawdy z nieba —
Nie pobiła ona wroga,
Ale legła jak potrzeba.

OBRAZEK...

Na szkle widać kopiec Kościuszki na górze św. Bronisławy. — Muzyka gra: Poloneza Kościuszki.

Hej! uciszyć puste mowy!
Fajki z gęby, czapki z głowy —
Oto macie kopiec łzawy,
Co to broni polskiej sławy —
Hen na górze Bronisławy!
Pod nim leży człowiek prawy,

Naczelnikiem niegdyś zwany,
A od ludu ukochany:
Bo go wiódł do boju boso,
A ciąć kazał wrogów kosą,
I podźwignął silną dłonią
Tych, co żywią i co bronią —
Prosi — jeśli łaska czyja —
Prosi o Zdrowaś Marya,
A komu wiara nie drwinki,
Prosi o dobre uczynki.

OBRAZEK . . .

Na szkiełku ukazuje się woźnica krakowski — bryczka czterokonna — w poręcz, każdy koń innej maści. — Woźnica jedzie, batożkiem śmiga i śpiewa:

Jechał lasem, jechał polem, hot-hau!
Ukrainą i Podolem, hot-hau!
Miał koniki jabłkowite, hot-hau!
I talary w pasie bite, hot-hau!
Gdy zajechał na Polesie, hot-hau!
Aż tu dyabeł babę niesie, hot-hau!
Z próżnem przeszła baba drogę, hot-hau!
Koń na moście skręcił nogę — a tprrru.

OBRAZEK . . .

Kiliński na szkiełku z dobytym pałaszem — przed nim pierzchają Moskale na Miodowej ulicy — za nim tłum uzbrojony.

A to jedzie pan
Szewc, Kiliński Jan!
Co Moskali bił do szczętu —
I z zasługi a nie z łaski
Radny miejski, szewc warszawski,
I pułkownik regimentu
Najjaśniejszej Rzeczypospolitej!

OBRAZEK...

Warszawa ukazuje się nad Wisłą — dokoła rama z równianki z kwiatów — nad nią wisi korona z ciernia — krzyż widać na górze w obłokach. — Muzyka gra:

„Niemcy mają Amsterdamy, Rotterdamy..."

Wielkie miasto — głośna sława!
A to nasza jest Warszawa!
Druga Ojczyznie stolica,
Co całej Polsce przyświéca:
I z miast wszystkich najludniejsze —
Pałacami panów strojne,
I z miast wszystkich najszumniejsze —
Tysiącami myśli rojne!
Jak zepsute polskie dziecię
Lubi piękne cacka psować,
Umie grzeszyć i miłować —
Więc też głośno o niej w świecie;
Stąd Warszawa dwa ma lica:
Czarodziejka, rozkosznica!
Wdzięczna, zdradna, strojna, wonna
To jak święta męczennica
Krwawa, łzawa i zakonna;
Więc gdy cenne stanie w cenie,
To w narodzie i Kościele
Jako świętej Magdalenie
Przebaczono będzie wiele,
Bo wiele kochała.

OBRAZEK OSTATNI.

Widać wieżę zamku krakowskiego, a na niej dzwon wielki, „Zygmuntem" zwany. — Muzyka ucicha, a następne wiersze mówią się wolno i poważnie.

„Laudo Deum verum, plebem voco, congrego clerum — Defunctos ploro, pestem fugo, festa decoro!...

And. Krzycki, arcyb. gnieź.

A to z wieży — by głos Boski
Bije on dzwon Zygmuntowski!
Dzwon największy w Polsce całej,
Co odzwaniał wieki chwały —
A dziś — raz na rok w żałobie
Dzwoni na tym polskim grobie
W dzień Pańskiego Zmartwychwstania,
Niby słowy zmiłowania...
Dzwoń Zygmuncie! głośno, głośno —
Wolno, wolno i weselno
I grobowo i żałośno —
I poważnie i śmiertelno!
Przemów słowy zmiłowania —
Uderz cudem zmartwychwstania,
Bij tem sercem Zygmuntowem
Ponad Polską, nad Krakowem!
Niech się chmury zakołyszą —
Niech umarli w grobach słyszą!
I co żywe, niech powstanie
Na twe wielkie zawołanie!
O poległych mów do żywych,
O cierpiących do szczęśliwych,
Do twych wiernych — mów o wrogu,
Do upadłych mów o Bogu,
Dzwoń nam dzwonie! dzwonie stary!
Póki głos w piersi twojej,
Póki w naszem sercu wiary,
Póty wrogom pierś dostoi —
I cud cudem — i lud ludem
A Bóg Bogiem po staremu.

HISTORYA

SZEWCA JANA KILIŃSKIEGO

RADNEGO MIASTA WARSZAWY,

PUŁKOWNIKA

NAJJAŚNIEJSZEJ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

DOWÓDCY 20-GO PUŁKU PIECHOTY ZA CZASÓW KOŚCIUSZKI.

A to w Polsce znan
Szewc Kiliński Jan!
Co Moskali bił do szczętu
I z zasługi a nie z łaski
Radny miejski szewc warszawski
I pułkownik regimentu.

Urodził się w Warszawie około roku Pańskiego 1750 — umarł tamże r. 1817.

Żyje w pamięci ludzi poczciwych na zawsze.

„Rolnik pług rzuca, ciska szewc kopyta,
Gdy w niebezpieczeństwie jest Rzeczpospolita."

Konstanty Maciewicz.

I.

Posłuchajcie historyi!
Lat czterdzieści temu prawie,
Jak Kiliński żył w Warszawie,
A był szewskiej profesyi.
Był to dobrze człek osiadły,
Miał dom własny nań przypadły,
Wziął za żoną coś gotowych,
Przy tem dziesięć palców zdrowych.
Że był majstrem, więc miał wreście
Warsztat w domu, a sklep w mieście,
A że był też człek serdeczny,
Słowny, trzeźwy i dostatni,
I bezpieczny i stateczny,
Więc był w mieście nieostatni.

Jakoż czy to kogo zgodzić,
Czy zmiarkować, czy uchodzić,
Czy podźwignąć — czy pobratać,
Czy potrzymać, czy poswatać,
Czy ubóstwem ród podzielić,
Czy pogrzebać, poweselić,
Nigdy Jan się nie usunął,
Ani skrewił, ani skręcił;
Zawsze prawdą w oczy lunął,
Co miał w sercu, w mowie święcił;
A że zawsze prawdą chodził,
Więc rej w całem mieście wodził.

Prym miał między sławetnymi
Na gospodzie w dniu godowym;
Starszy w bractwie różańcowém
Siedział w ławie przed wszystkimi.

Furda wszystkie kasztelany —
Jemu to szedł pokłon z koła,
Kiedy suto rżnął przybrany
W dzień świąteczny do kościoła.

Boć też dyabla była mina!
Wąs do góry, w tył wyloty,
W ręku srebrem kuta trzcina,
But chędogi— a pas złoty.

II.

Dobre były tamte czasy,
Gdy szewc nosił złote pasy!
Kto był czysty, miał prym wszędzie,
Kto pracował, miał co syta,
Człek uczciwy był w urzędzie,
Bo była Rzeczpospolita!
Więc był radnym Jan w stolicy,
I na miejskiej ławie siedział;
Zawsze wypił co w szklanicy,
A co w sercu, wypowiedział.

Lecz już złe się zaczynało,
Nie było się czem weselić,
Już się na to zabierało,
Że się mieli Polską dzielić.

Więc Kościuszko ba w Krakowie
Pal im frykę, co się zowie!
A wnet szum się rozszedł wszędzie
I w Warszawie coś tu będzie.
Bo to wówczas i w Warszawie
Wbrew niemało Moskwy stało.

Król z carową trzymał prawie —
W kraj prusactwa się napchało,
I Ilgiestrom, Moskal jucha,
Na potęgę tępił ducha.

Jak tu począć? — Naród hardy!
Do zgryzienia Polak twardy —
Myślał Moskal — a więc pany,
Więc biskupy, więc hetmany
Umiał jakoś przekabacić,
By powoli lud wytracić.

Działo się Mospanie tedy,
Że pan hetman w czasie, kiedy
Moskal czynność swą podwajał,
Wojsko nasze porozbrajał,
I z biskupy piwo warzył,
Co go ludzie wypić mieli;
Lecz inaczej Pan Bóg zdarzył,
Bo go sami pić musieli.

III.

Od Kościuszki przyszły listy,
Że już z Moskwą rozpoczęli:
— Więc interes bardzo czysty;
Pora, abyśmy się wzięli —
Rzekł Kiliński. — Ale Rada —
Coś i gada — i nie gada —
— Ej mospanie nie czas tchórzyć,
Kiedy naród się przebudzi,
Więc Ojczyźnie można służyć
Za miłością dobrych ludzi. —
I nawarzył — lecz traf zdarzył,
Że go tajnie ktoś oskarżył;
Więc Ilgiestrom chcąc go zdławić,
Jak nie każe go przystawić,

Jak się stanie Moskal biesić,
I wymyślać — łajać srogo;
— A ja każę cię powiesić!
A ty szewcze — kuternogo!
Co — ty będziesz bunty robić?!
Ja cię każę złupić — obić!
Mów — czy prawda, że lud z tobą? —
— Prawda panie, każdą dobą,
A jeśli się chcesz dowiedzieć,
Czy to prawda — każ powiedzieć,
Żeś mnie kazał zamknąć, panie —
A trzydzieści wnet tysięcy
Albo może jeszcze więcej
Samych szewców za mną stanie. —
Widząc Moskal, że nic z groźby —
Że Kiliński mocno stoi —
Nuż na słówka — nuż na prośby —
Czy nie zmaca, nie podstroi?
Ale próżno się mozolił,
Kilińskiego nie zahaczył,
Bo się umiał wytłómaczyć;
Więc go w końcu i wyzwolił —
Lecz go despekt ubodł srogo!
Więc rozmyślał idąc drogą!

IV.

Co za czasy niespokojne!
Moskal broi — . . . . . bredzi —
Król jak lalka z wosku siedzi;
Rozpoczęto niby wojnę,
Niby radzą — niby biją —
Ani bitwy — ani rady —
Bies z panami przędzie zdrady,
A ludowi głowę myją —
Co się dzieje — aż sromota!
Lada psubrat lud znieważa —

Więc lud sobie to uważa —
Więc to wszystko na wąs mota.
— Więc Moskalu — dam ja tobie,
Wszak szewc umie uszyć buty —
A więc bal wam sprawię suty!
Rezolutnie mruknął sobie,
I nuż dalej po Warszawie
Krytym sztychem między cechy,
Między jatki — między miechy,
Powziąć radę w trudnej sprawie:
— Każdy czuje, co go boli —
Nie ma mówić o czem wiele,
Ot nie miło żyć w niewoli. —
Kto na czele? — lud na czele —
A z kim wasze? — A z narodem!
To daj rękę! — Stoi? — Stoi!
A więc jak się lud wyroi,
To z chorągwią majstry przodem!
A z czeladką niespodzianie
Bierzcie żwawo się do skóry.
A jak mrugnę — to mospanie
Patrzaj każdy myszej dziury —
Tylko z wagą i odwagą —
I sumiennie i niezmiennie,
I serdecznie, obosiecznie,
Ostro, żywo a poczciwo:
Kiedy krzykną: Moskwę biją!
Dajcie kija na bestyą!

V.

Byle człowiek a poczciwy,
Łatwo zniesie się z drugimi
Więc Kiliński, bójki chciwy,
Szyje między wojskowymi.
— Źle panowie, jedna rada.
Więc stanęła. — Uradzili:

Bić koniecznie się wypada —
A więc będziem, będziem bili!
— Trzeba im się dać we znaki!
Co wróg, człeku! czesz bez ale,
. . . . . .
. . . . . .
Pod sekretem a bez krzyku
Proszę do mnie dziś wieczorem,
Na Dunaju — do sklepiku —
Tylko każdy swoim dworem. —
Rzekł Kiliński — i wieczorem
Jaki taki — w kabaciku
Czesze sobie swoim dworem
Zatyłkami do sklepiku.
— W Imię Trójcy — Mospanowie!
Ot krucyfiks i dwie świece —
A więc bajki życie — zdrowie —
Proszę przysiądz na szablicę. —
Więc przysięgli w Imię Boże,
W Imię Trójcy — ręka w rękę —
Niech wam Bóg tak dopomoże
Przez niewinną Zbawcy mękę!
Jak krew polska w żyłach płynie,
Bój podniesiem niespodzianie!
A kto w drodze się powinie,
Temu jeszcze Polska stanie
W gardle kością — w chlebie ością —
W moście dziurą — w drodze górą —
Świerszczem w uchu — szydłem w brzuchu,
Pniem na drodze — cierniem w nodze
I piekielną solą w oku —
I śmiertelną kolką w boku.

VI.

Za czem kto się w mieście kręci,
Znajdzie zawsze, choć pobiega —
Szczerszy lud, niż oko szpiega;
Wie Kiliński, co się święci.
Tu Wielkanoc już nadchodzi,
U spowiedzi lud w pokorze,
A tu Moskal na lud godzi,
I na Pradze ostrzy noże —
I chce z ludu robić szynki
Ręką podłą, rozbójnicką,
I krwią polską katolicką
Niby wodą zalać rynki.
A więc kiedy lud się cieszy,
I na rezurekcyę spieszy,
Wy dobraliście sposobu
Po kościołach lud obskoczyć!
Krew serdeczną z nas wytoczyć,
W rezurekcyę kłaść do grobu,
I arsenał uwieść z miasta,
By Warszawa pozostała
Jak sierota, jak niewiasta,
Coby tylko zapłakała!
Niech no panie Ilgiestromie!
Zobaczymy góra czyja?
Czy do stryczka szewska szyja?
Czy szewc może ciebie złomie?
Bo nie bajki polskie chłopię!
Wyrżnąć miasto, rzecz nie lada —
A kto pod kim dołki kopie,
Ten nieboże sam w nie wpada.
A więc pusta to robota —
Pierwej czwartek, niż sobota!
A kto w czwartek bruk zaorze,
Kiedy prochem mu zakadzą,

Temu pewnie się nie zdadzą
Na sobotę ostre noże.
Tylko żwawo, polską sprawą —
Bo czas płaci i czas traci.

VII.

Więc do świtu w Wielki Czwartek
Rozpoczęto w Imię Boże!
Od szlachtuzy sunął Bartek,
Poostrzywszy polskie noże;
Biją w dzwony do obrony!
Rżną w Moskali niby w dzików —
Na odmiany w tarabany,
I w moskiewskich posłanników.
Za Kilińskim rezolutnie
Psem się w oczy naród sadzi —
A gdzie zeprze — kędy utnie,
Gdzie popadnie, gdzie zawadzi,
Jezus Marya nie pomoże,
Nie pomoże święty Boże!
Bij Moskala jak psa w worze!
Niech nie ostrzy na lud noże.
Czego szewcy nie zdołają,
Krawcy między sobą skroją;
Czego kowal nie dokuje,
To już rzeźnik dożyłuje.

— Górą nasi — dalej przodem!
Już i wojsko za narodem,
Już za nami Marszałkowscy,
I królewscy i Mirowscy. —

Więc huk rozszedł się po rynkach:
— Nuż raźnego po tybinkach!
Dołóż smyka, udrzyj łyka!
Niechaj długo się nie biedzim —

On nas gnębił — my dojedziem!
Kwita byka za indyka.

Ptaszkiem on stąd nie wyleci —
Lecz gdzie przytniesz, nie puść płazem!
Bij jak dyabła w gęstej sieci!
A licz raz za każdym razem. —

Co tam będzie o tem potem;
Wal jak cepem, grzmij jak młotem!
Tylko gęsto, tylko rojem,
Każdy pan na śmieciu swojem.

VIII.

Więc jak lud się zabrał szczerze,
Z poza ranku w dobrej wierze,
Więc od noża, więc od młota —
Dobrze poszła nam robota.

Więc też przy pomocy Boskiej
Cechmistrz rzeźnik Sierakowski,
Człek poczciwy, nie ułomek,
Co miał także własny domek,
Rżnie Bauera niby dzika —
A Kiliński po swojemu
Znów z szewcami w oczy ćwika
Moskalowi najstarszemu.

Więc pięć armat Moskwa miała,
Tam na Muranowskiem stojąc,
Lecz jak wiara zaszumiała,
Więc też Moskwy się nie bojąc
I Moskali bez rozkazu
I armaty ma dorazu.

A w Krasińskim lud dziedzińcu
Jak w cierniowym stanął wieńcu,
I trzy razy już się zwarli,
I odparci — znów natarli —

Jednak ludu nie odparli —
Nie stłumili, nie pożarli!

Jak Linowski się rozżalił,
Jak nabili — jak przybili —
Jak wycelił, jak wypalił,
Most z Moskali wymościli —
I nuż dalej wzdłuż Miodowej
Rżną się świdrem przez ich głowy!
Więc Kiliński rykiem piekła
Porwał działa i uwozi —
Za nim naród — a na Koziej
Resztą ludzi Moskwa bekła.

Więc huk powstał na Podwalu:
— Ha! tuś! ptaszku! psie Moskalu!
Gęsta ręka, kusa rada,
Przy tym prawo z kim gromada!

IX.

Armat, jeńców więc nabrawszy,
Serca ludziom też dodawszy,
Szedł do cechów żwawo przodem
Sam Kiliński przed narodem.
Potem huknął: Bram dobywać!
Z arsenału broń rozrywać!
Bo gdy człeku tu potrzeba
Poczciwości między swemi,
Powszedniego kawał chleba,
Przy skonaniu łaski Boga,
A po śmierci jeszcze ziemi —
Więc potrzebna broń na wroga. —

— Bo nie będzie poczciwości,
Ani chleba, ani Boga,
Póki wróg nasz w Polsce gości,
I niewola ciśnie sroga. —

Więc dokoła krew się leje,
Rżną w starszyznę, jak w dziczyznę,
Moskal pada i głupieje —
Bez komendy został wszędy.
Dzwonią szyby i drżą mury,
Świecą szable, grzmią kostury,
Gradem sypią się dachówki,
I łby lecą jak makówki!
Działa piekłem w oczy zieją,
Baby z góry warem leją.
Ten wbrew leci — tamten chylcem —
Więc ów ostrzem — więc ów tylcem,
Więc ów z boku kolnie w skoku —
Więc z pobliża, więc z odwodu —
Z góry, z dołu, z tyłu, z przodu,
Baby — chłopi, młodzi, starzy,
Jaki taki gęsto parzy —
Ogniem pieką, rwą jak rzeką,
Tną jak kosą, w pomieć kładą —
Ludem — cudem — siłą — zdradą —
Cudem — ludem — mocą — sztuką,
Jak niedźwiedzia Moskwę tłuką.

X.

Więc Ilgiestrom pomiarkował,
Gdy go naród tak zamroczył,
Że nie żarty — więc się schował
I wojskami się otoczył.

Pułk Działyńskich mu dojadał —
W tem to miejscu pięć tysięcy
Moskwy było, albo więcej —
Więc nasz żołnierz gęsto padał.

Tam kto w życiu nie znał cudu,
Spojrzeć było na bój ludu!

Bój pod świętym Krzyżem wiedli —
Pułk Działyńskich walczył szczerze;
Lecz ażeby go nie zjedli,
Więc Kiliński tył im bierze,
Saskim kopnął się dziedzińcem,
I otoczył Moskwę wieńcem.

Więc rozjadły lud niemarnie
Z trzech się ulic razem garnie —
Więc jak szatan prosto w oczy
Całem piekłem Moskwie toczy,
Więc i Moskwy też nie stało.
A na poły już stopniały
Pułk Działyńskich, poczerniały
Pod Zygmuntem stanął z chwałą!

Więc i naród wytchnąć raczył,
Bo z południa już też było,
A napewne już osaczył
Resztę Moskwy całą siłą.

A więc bajki proste szyki,
Tarabany i komendy,
Byle szczerze, bez oględy,
Bez taktyki, bez praktyki.
Byle z wagą i odwagą,
I sumiennie i niezmiennie,
I serdecznie, obosiecznie,
Ostro, żywo i poczciwo,
A więc zawsze rzecz się uda,
Bo Bóg jeszcze robi cuda.

XI.

I tak było Bogu dzięki!
Ale głos się ozwał z tłumu:
— Więc do boju trzeba ręki,
A do rady trza rozumu —

Więc na ratusz się udali
I starszyznę wnet obrali.

Bo nic z tego, gdy się zrywa
Człek po jeden ku niezgodzie,
Bo tam tylko rozum bywa,
Kędy zgoda jest w narodzie.
Prawda jedna, jak Bóg jeden —
Lud ratujcie — bo lud bieden!
Więc lud na to wiedzie boje,
Aby miał też prawdę swoję —
Kto ludowi prawdy skąpi,
Ten niech lepiej sam odstąpi.

A więc naród się obliczył
I czuł, kto mu dobrze życzył:
— Pan Zakrzeski niech w pokoju
Rządzi naród i Warszawę;
Mokronowski niech do boju
Pospolitą wiedzie sprawę.
Więc i dobrze! Niech nam żyją!
Niech nam radzą, niech nam biją!
Aż Kościuszkę Bóg sprowadzi. —
Wykrzyknęli wszyscy radzi,
I napowrót znów do dzieła.

Lecz już noc się nasunęła,
Wkoło Moskwy naród czyha,
I wartuje — Moskal wzdycha,
Warty chodzą — nocną porą
Po Warszawie ognie gorą,
Po ulicach ciche jęki,
I skonania ciężkie męki —
Jak bezsennych ócz źrenica
Czuwa polskich ziem stolica —
Chwila boju niedaleka,
Każdy tylko świtu czeka.

XII.

Dobry piątek na początek,
Więc też niezły i do końca —
Huknął lud o wschodzie słońca,
Więc do reszty, jak w kwindecza —
Bo ten tylko, co przy sile
Bije pokój na mogile,
Dobro kraju ubezpiecza.
Więc jak razem wyruszyli,
Jak z kopyta się kopnęli,
Co ubili, to ubili,
A w niewolę resztę wzięli.
Więc Ilgiestrom uszedł skrycie,
Bo u tchórza długie życie.
Ten bez ucha, ów bez ręki —
Po ulicach lud się wodzi
Z niewolnikiem — płacze, jęki!
— Nic to bratku, nic nie szkodzi —
Nikt nie będzie się litował;
Lud czyścowe cierpiał męki,
A tyś ludu nie żałował! —
Więc jak lud się wziął siarczysto
W Wielki Czwartek do roboty,
Całe miasto do soboty
Jak Bóg kazał, wymiótł czysto.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

I wygnali — Orzeł buja
Wśród kościoła — naród woła:
Resurexit, sicut dixit,
Alleluja! Alleluja!

XIII.

Tak Bóg zmieszał gry szatańskie,
Bo lud wierzył jego słowu —
Więc na Zmartwychwstanie Pańskie
Obaczył się wszystek znowu;
I wylegał na świat Boży,
I o sobie się naradzał.

Lecz z Moskalem poszło sporzej,
Niż z rodakiem, co go zdradzał;
Więc słyszane pod niebiosy
Pospolite były głosy:
— Bez wykrętów, bez wymowy;
Ej, najlepsza droga prosta,
Wojewoda, czy cechowy,
Mnich czy dyabeł, czy starosta,
Kto z narodem trzyma szczerze,
Niechaj będzie mu na zdrowie!
A kto sercem za fałsz bierze,
Temu naród na bezgłowie —
Bo sza póty, póki w domu;
Lecz szewc jak się szabli czepi,
Jak mańkutem wlepi komu,
To i dyabeł nie odlepi.
Ej ostrożnie — lud tu sądzi;
Kto hetmanem, niech hetmani,
Kto ma rządzić, niechaj rządzi,
A obwiśnie, kto stumani —
Bo to nie żart, o kraj chodzi,
Więc lud bierze krótko sprawę,
Więc to daje, co się godzi,

Stryczek, krzesło, lub buławę. —
Jak lud prawił, tak się stało.

Nagle w mieście zakipiało:
— Sto kółeczek mam u pasa —
Ludu wola — Boża wola —
Wieszaj króla i prymasa. —
Jeszcześć króla, tam jak króla,
Lecz z tych zdrajców urwij pasa!
Bierz hetmana i prymasa.

XIV.

Więc biskupy, więc hetmany,
Więc nieszczere inne pany
Jak Bóg kazał, podyndali,
I nogami świat żegnali.
Bo przypowieść niesie stara:
Za zdrajcami Boska kara.
A kto twardo i tak szczerze
Za tę polską sprawę bierze,
Tego cnota i w sukmanie
Za buławę ziomkom stanie.

Więc z estymą i z czcią wszelką
Dla człowieka tak zacnego
Rząd przywołał Kilińskiego
I poufał sprawę wielką;
Żeby jechał do Poznania,
Tajnie wszystek lud uzbroił,
I . . . . . bez czekania
Należytą kurtę skroił.

Więc on na to, jak na lato,
I z rozkazu rżnął do razu —
Bo już kiedy kraj się dźwiga,
To nie dosyć by z kieszeni

Gdzieś wylazła jakaś figa;
Niech się dyabeł wszędzie żeni —
Jedna ziemia, jedna zorza,
Niech się dzieje jedno wszędzie,
Rżnij od morza aż do morza,
A nie pytaj, co tam będzie!

Więc pojechał na ochotę —
Lecz choć cnota Bogu miła,
Jednak na nas krzyże zsyła,
Chcąc doświadczać polską cnotę. —

Więc gdy jechał do Poznania,
Tak się stało, że się skradli
Gdzieś Prusaki i napadli,
I porwali bez czekania —
I już w dybach w jednej chwili
Kilińskiego potaszczyli.

XV.

Więc nie wiele trzeba na to,
Aby w szczęściu szumieć światem;
Lecz gdy duszę masz rogatą,
Bądź no w biedzie takim chwatem.
Prusak jął się naigrawać:
— Jak ty śmiałeś z mieczem stawać?
Do pociągla szewcze bury!
Dla szlachetnych tylko miecze —
A do smoły, a do skóry! —
Więc Kiliński na to rzecze:
— Nie szlachetnie, lecz sławetnie
Szewc Warszawski urodzony,
A kto ciekaw, czy ochrzcony,
Niech się z szewcem w szable zetnie!
A więc proszę — a więc pono
Lepiej, że pod Powązkami

Nie pocięglem was krojono,
Gdy się bili z Prusakami;
Bo pocięgiel byłby zbrudził
Nie zaszczytnie grzbiet szlachetny,
A trafunek byłby szpetny,
Że szewc szlachtę opaskudził!
Bo szewc, to nie organista,
Nie przebiera — łeb, czy niecki —
I szlachecki — nie szlachecki —
Łupu, cupu, a do czysta. —
Widząc Prusak, że nie rada,
Ni go zbiję, ni przegada,
Więc go puścił z wolnej ręki
I na carskie wydał męki —
A carowa swym zwyczajem
W głąb go Moskwy potaszczyła,
I nękała i więziła
Za to, że stał za swym krajem.

Tam Kiliński, dobra dusza,
Śpiewał biedak Tadeusza:
„Któryś cierpiał za nas rany,
Chryste zmiłuj się nad nami!“

XVI.

Ale dobre i Bóg lubi,
Więc swej duszy nie zagubi.
Jak Bóg Bogiem, a wróg wrogiem,
Jak od wieków Wisła płynie —
Człek poczciwy nie zaginie.

Więc czy wiecie, kto poczciwy?
Kto katolik na Bóg żywy,
Kto nazywa się Polakiem,
Za świętego krzyża znakiem,

Kto pracuje sam na siebie,
I o polskim żyje chlebie,
Kto kraj kocha — wierzy w Boga,
Kto nie cierpi swego wroga,
Lecz jak Pan Bóg porę zdarzy,
Za ojczyznę wszystko waży,
Choćby zdrowie, choćby szyję,
I po Bogu wrogów bije;
To dopiero człek poczciwy!
I na dobro kraju tkliwy.

Więc Kiliński też nie zginął,
Lecz szczęśliwie się wywinął,
I szczęśliwie powrócony
Do przyjaciół i do żony,
I do dzieci i do kraju,

Co miał własny na Dunaju.
Bo choć cała Moskwa wściekła,
I carowa rodem z piekła,
Jednak babsko go nie zjadło,
Jakoś z kozy się wykręcił,
Co się nabił, to przepadło —
Bodaj taki szewc się święcił!

Niech się takie święcą lata!
Wiwat! wiwat! polska cnota!
Obywatel od warsztata —
Kiliński patryota!

Więc jak hukną: „Moskwę biją!“
Dajcież kija na bestyą!

CZĘŚĆ TRZECIA.

Z PODRÓŻY.

„Pójdźcie a oglądajcie sprawy Pańskie,
jakie uczynił cuda na ziemi . . .“

Psalm XLV.

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.

Goethe.

I.

Kiedy duszę łza opłynie,
Kryje smutek wdzięki świata,
A gdy lekko myśl podlata,
Łza w uśmiechu rzewnym ginie,
I tak mija życie całe,
Z wielkich bolów — pieśni małe.

Nie zawsze niewód po głębiach brodzi,
Jest po połowie chwila pokoju,
Kiedy na poły złożony w łodzi,
Na poły w modrym nurza się zdroju;
I gdzie swobodnych rybek rój bratni
Pod ciepłym brzegiem wesół się zbiera,
Skubiąc bezpiecznie koniuszki matni,
A z śmiechem na nie rybak spoziera . . .
I myśl nie zawsze dnem życia chodzi,
Nie zawsze z żalem do gwiazd przypada,
Jest chwila, w której z życiem się godzi,
I z tem co rade, bawićby rada.

Alboż w kochaniu — choć najłaskawsze,
Co to tam cierni, co tam boleści,
Kiedy w głąb duszy spojrzeć niewieściej!
A i w kochaniu jednak nie zawsze.

Mam ci jak wiecie, mam ja dziewicę,
Sami ją znacie — co za dziewoja!
Oczy jej smutne, jak dwie krynice,
Bo dużo biedna — biedna, bo moja!
Jednak nie zawsze taka mi smutna,
Czasem ją najdzie nawet pustotka;
I niby sroczka, niby szczebiotka,
Już i wesoła i bałamutna.
Nieraz mnie muśnie rączką przez czoło,
I grozi przy tem, a grozi srogo:
— Proszę nie myśleć! patrzeć wesoło!
A tylko zaraz, bo tupnę nogą! —
Lecz kiedy smutków mych nie ubywa,
To mię na piękne potem obśmiewa,
To mię wytwarza, jako się gniewam,
Jak lulkę palę, jako się trzymam,
Jak w dobrą chwilę czasami śpiewam.
W tęskną się smucę, a w złą się zżymam.
— To znów przede mną stanie ze wzgardą,
I małą bródkę podniesie hardo!
I wzrok układa gniewny i kosy!
I wąs pokręca i mruczy z cicha;
Lub garnąc z smutkiem od skroni włosy,
Tak po mojemu patrząc w świat — wzdycha.
I póty grozi, cieszy i smuci,
I przypowiada i bałamuci,
To po mojemu — to po swojemu —
Aż się tam przerwie smutkowi temu —
Aż mię całego w końcu obśmieje,
Aż w końcu spadnie myśli opona
Z czoła swobodną rączką strącona,
A coś tak dziwnie serce rozgrzeje!

Takie to piosnki wam ja dziś niosę,
Jak pani moja przez łzę śmiejące;
Jak ów śpiew wiejski puszczon na rosę
W biegu ocuca krzewy drzemiące —
Niech wam rozbudzi zakąt domowy,
I skona w łąkach między dąbrowy.

Co napotkamy w tym naszym biegu,
Co nas ponęci prawdą, urodą,
Toć już zabierzem do swego brzegu,
I na świat wyrwiem z tego ukrycia,
Miniem mogiły — a wierzchem życia
Pluśniem wesoło, jak ryba wodą!...

W Kleczy 1834.

II.

Co nas wiąże, to i broni,
To i zbliża w pierwszym kroku:
Oto serce masz na dłoni!
Myśl w tych słowach, duszę w oku!

— Ha! jak się macie w hałach gazdowie? —
— Skądże nas znacie? skądże to przecie? —
— Po chrzcie, po chlebie, po ludziej mowie,
Po czem się ludzie znają na świecie. —

— A to witajcie! Skąd Bóg prowadzi?
Pewno idziecie szukać tu złota?
My by go sami wynaleźć radzi,
Ale to płonna dla nas robota —
Bo czarnoksiężnik skarby zamówił,
I błędną ścieżką człowieka wlecze;
Choćbyś to złoto już, już ułowił,
Niby to para z ręki wyciecze.

— Szukam ja wprawdzie — szukam ja złota,
Ale nie tego, co ludzie kopią:

Bo złotem mojem prawda żywota,
I dusza, której dyabły nie stopią. —

— Co tam — ku swoim rzekł góral stary —
Co wy tam znowu człeku bajecie? —
Złoto nie złoto, czary nie czary,
No — kiedy z drogi, to siądźcie przecie . . .

Witajcie w halach! A czy zdaleka?
Pewno że z Lachów? — my Lachów chwalim.
Siądźcie za stołem! Kachno, zwarz mleka,
A my tymczasem lulkę zapalim.

— Nie chcę waszego — ja inny palę!
Chłop tem zuchwalszy, czem więcej bity;
Niemiecki tytuń człeku nie syty,
Więc ja też sobie Basiaka chwalę.

— Gładko się rzekło, co z serca idzie:
Stara przypowieść: Po grosz do miasta,
A już do chłopa po rozum w biédzie —
— Jestem więc w halach z wami — i basta!

— Gładko ja rzekłem, lecz i wy prawo —
Kachno! czy słyszysz? Nie warz już mleka,
Lecz skocz po wódkę — a tylko żwawo!
Trzeba pogościć tego człowieka.

III.

Woda płynie,
Wiater wieje,
Człowiek ginie,
Ale dzieje
Powieść sieje,
A pieśń leje.

Ha! ha! pocieszne i pytanie Wasze!
Skąd się w tych górach wzięło plemię nasze?
Czemuż to człeku nie pytacie o to!
Skąd się w tych Tatrach bierze polskie złoto?

Od wieków wieka, jak lasy i hale,
Osiedli wszystkie te działy górale,
Lecz jako każdy dziś wam jeszcze powie,
A naszym ojcom mawiali ojcowie,
Drzewiej tu u nas inaczej bywało —
Gdzie dziś doliny, tam jezioro stało —
Po „Górzec“ tylko zbierała miód pszczoła —
A Tatry Dunaj oblewał dokoła.
Gdzie dziś Orawa i Dunajec płynie,
Morska się ryba pławiła w głębinie —
I tak to było — aż lud uweselić
I między ojców polany podzielić,
Ściągnął król w góry ze stolicy swojej,
I stanął w „Górcu“, gdzie „święty krzyż“ stoi,
A był to mocarz potężny i dobry,
Dziad wszystkich królów — zwan Bolesław Chrobry.
Stanął na Górcu i spojrzał wokoło,
I zdjął koronę i przygarnął czoło,
Tak to się zdziwił i ludem i światem;
Więc ziemię świętą okrył swym szkarłatem,
I po Bożemu lud pozdrowił wzajem,
I spojrzał w niebo i potoczył krajem,
I patrzy w Tatry — Tatry za Dunajem —
Patrzy na Dunaj — a Dunaj szeroki —
Patrzy na naród — a naród wysoki —
Patrzy na bydło — a bydło dorodne
Patrzy na góry — a góry swobodne —
Patrzy — i zważa to sobie jedynie,
Że już za ciasno ludziom i żywinie;
Więc się sfrasował, bo chciał lud swój zbawić;
Otóż gdzie stanął, kazał krzyż postawić,
Ukląkł i westchnął serdecznie do Boga:

— I w Tatrach będzie miód zbierała pszczoła!
Dobędę złota — złoto dla kościoła —
Dobędę stali — stal zda się na wroga. —

A potem skinął, kędy wodom droga:
— Płyń-no Dunaju, zbierz mi tylko skoro,
Mojej ja ryby napuszczę w jezioro. —
A potem krzyknął na swoje narody:
— Złamać te skały i spuścić te wody! —

Lecz lud stał niemo, choć rozkaz był dany,
Bo nie był naród na posłuch złamany,
A jak tu łamać skały, co Bóg stworzył?
I spuszczać Dunaj nieprzejrzany okiem?
Więc do czakana sam król się przyłożył;
Ciął! przeciął skałę — a łomem szerokim
Zbiegły te wody aż po Tatrów krajec,
I opadł Dunaj — a został: „Dunajec."

IV.

Człek o sobie prawi,
I swem pokoleniu,
A Boga w milczeniu
Świat cały sławi.

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe!
Zdawnaście znane, a wiecznieście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością!
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością,
Bo nie wziąć myślą, co oko zakréśli,
Ani wziąć okiem, co ogarną myśli,
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecić,
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą...

I gdyby nie lud, co dumne te czoła
I te przepaści oplątał ścieżkami,

I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami;
Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie,
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha tchnienie...
A wy strażnice śniegami świecące
Stoicie wiecznie niemo i surowo,
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

V.

Sercem gościa płacą,
I miłe lada co.

— Czy ty mnie kochasz, moja dziewczyno? —
— A jużcić kocham was panie! —
— Ach! jak tu łacno te słowa płyną!
A tam — czekałem tak na nie.

— Czy tutaj biją serca żywiej,
Że tutaj nieba już bliżej?
Czyli tam może biło prawdziwiej,
I chociaż skrycie, lecz szczerzej? —

— I za cóż ty nie kochasz też przecie? —
A jacy, jacy ladaco!
Jeśli bez wstydu pytać będziecie,
Pewnie nie powiem ja za co. —

— Powiedz mi proszę! — No to wam powiem,
Boście na ludzie podobni,
A w sercu jacyś niby żałobni,
A gdy mówicie — to zdrowiem.

Gdyście raz pierwszy mnie tu zastali,
(Choć was to może zadziwi)

To mnie się zdało, gdyście gadali,
Żeście mi pono niekrzywi. —

Ot i myślałam: Gdybym to była
Panią, co w złoto ją stroją —
I jakoś znowum się zasmuciła,
Myśląc, że macie już swoją.

I znowu myślę: Jabym jej dała
Chustkę jedwabną za niego —
Onaby chustkę od święta miała,
A ja już jego, jak swego.

A gdyście poszli, to mi się zdało,
Że mnie już samej ubyło,
A już w duszyczce tak coś płakało,
Jakby się strasznie coś śniło.

Już nie chciałam więcej być panią,
Tylko tą halą zieloną,
Co to tam strzyżki pognali na nią,
Bo lżej byłoby mi pono. —

— Gdybyś ty halą była nad lasem,
Ja byłbym wówczas juhasem,
Strzyżki na halę pognałbym sobie,
I byłbym znowu przy tobie. —

— Gdybyście byli w halach juhasem,
Kozą byłabym tymczasem;
Skacząc bym uszła w turnie przed wami,
I stalibyście znów sami. —

— Choćbyś mi uszła, jabym cię zwabił,
Bo wówczas byłbym myśliwcem;
Lecz jabym ciebie kózko nie zabił,
Tylko pochwyciłbym żywcem. —

— To jabym wówczas chmurą wzleciała,
I stalibyście znów sami —

Jabym myśliwca w turniach wyśmiała,
Stojąc wysoko nad wami —

— Kiedy ty chmurą, ja byłbym słońcem,
I przecież dopadłbym ciebie;
Bo jasny promień wysłałbym gońcem
Za tobą chmurko na niebie!

VI.

Noc i mara,
Ogień i wiara.

Noc jak wróg ciemna! Tu takie mgły duże,
A w turniach wyje wiatr z dzika,
I górskie duchy błądzą po Magórze,
I trwożą snami górnika.

Koło doliny podnoszą się skały,
Strome i czarne milczące,
A nad skałami tumany się zlały,
Niby sklepienia wiszące.

Nie widać nigdzie ni gwiazdy, ni zorzy,
Dołem Dunajec szaleje;
A po pieczarach coś z cicha się sroży,
I dreszczą śmierci coś wieje.

Dolina w nocy jak wnętrze pieczary,
W niej kuźnie ogniem ziejące,
Jak paszcze smoków zaklętych przez czary,
Wieczystych skarbów strzegące.

A w tych tu kuźniach dopiero roboty!
Tam się kowale rozjedli:
Ogniem i wodą, miechami i młoty
Na to żelazo nasiedli.

Niby kowadło twarde ich igrzysko,
A żywot niby żelazo,

Stąd to ponuro patrzą się w ognisko,
A na świat patrzą z urazą.

We dnie i w nocy nie staje robota,
Nie znają zimy, ni wiosny,
Tylko ten ogień, szum wody, huk młota,
I jęk kowadła żałosny...

Uśmiech się nie zna z tą zieloną twarzą,
Tylko gdy głownia zbieleje
W ogniu — a oni żórawiem ją zważą —
Radość szatańska jaśnieje.

Lecz skoro stanie żelazu się zadość,
Chłodnie ich dusza zarazem;
I gasną oczy i stygnie ta radość,
Tępieją równo z żelazem...

Kiedy tam byłem, przyszło ku Młotowi
Ze mną też kilku górali,
Kowale, chociaż to ludzie światowi,
Nie wiele z nami gadali. —

— Strach! — rzekł mi góral. — Tutaj to robota!
Tu się chłop szumny nie leni!
Lecz nam góralom nie wolno jąć młota,
Bo w ogniu wiara się mieni.

A przy ognisku dosłyszał te słowa
Kowal, chłop setny do pracy,
Człowiek ze Świątnik, rodem z pod Krakowa,
I mruknął sobie: — A jacy!

Był to człek tęgi, zaprzysiągł od wódki,
Ludzie i pracę znał cenić,
Bo światem obniósł te świątnickie kłódki,
I miał się doma już żenić.

Lecz z panem rządcą skłócił się we dworze,
Ojcową biedę zdał bratu,

I w imię licha, czy tam w imię Boże,
Puścił się kędyś do światu.

Kiedyś z towarem jeździł aż za morze,
Szyprem za Wisłą w świat pływał;
Był potem strzelcem w kozienickim borze,
A i wojskowo sługiwał!

Zaszedłszy w Tatry znów młota się chwycił --
Słysząc, co góral tam plecie,
Czerwonym drągiem w oczy mu przyświecił:
— Co tam o wierze bajecie?

— Oj! zła to wiara co się w ogniu mieni!
A pono w pocie mam czoło?
Niech człek nie leni, gdy bies się nie leni! —
I wodę puścił na koło.

I już tak drągiem ognisko rozżarzył,
Jakby się piekło rozjadło,
A potem głównie żórawiem wyważył,
Aż pod nią jękło kowadło.

I młot uderzył setnymi ciężary,
I rozgorzało wśród cieni,
Jakby miecz kuto w obronie tej wiary,
Co się i w ogniu nie mieni...

VII.

Te ojczyste progi,
I domowe Bogi,
Toć moje i wasze,
To i skarby nasze!

— Jak mówią chleb, ludzie i obraz nie dziwy!
Czy wyście katolik? — Katolik prawdziwy! —
— A za cóż o święte obrazy pytacie?
Wszak wy też na Lachach obrazy tam macie?

— A mamy i czcimy.
— Więc u nas tak samo,
Gdzie święty pod dachem, tam Bóg już za bramą,
Tak matuś mię uczą. — Bez waszej urazy,
Wiem ja już od dziecka, co święte obrazy —
To święta jest Magda, straszliwie pokutna,
Bo być też to miała grzesznica okrutna,
Gdy Chrystus Pan jeszcze po ziemi tej chodził,
I grzeszne ludziska na dobre nawodził.
— To święty Piotr z Pawłem — co klucze trzymają,
I ludzie poczciwe do nieba wpuszczają.
A potem widzicie ten obraz tu wielki?
To Józef jak uczy Jezusa ciesielki;
Bo ojciec mój także z ciesielki tej żywie,
Więc chowa ich tutaj za szkłami poczciwie:
A tu się pokłońcie. — To świętość najświętsza,
Bo z małym Jezuskiem Panienka Najświętsza! —

Raz śniła się ojcu — a dziwnie się śniła!
I tak się serdecznie przed nimi żaliła,
Że ją tu tak biednie trzymają jak służkę,
I bosą z obrazu wskazała im nóżkę;
Więc ojciec się długo myślami też wodził —
I kiedy za kośbą na Lachy był chodził,
Wziął sobie do serca, co dawno miał w głowie,
I złote trzewiczki zakupił w Krakowie —
I przypiął do nóżek — a po tej już dobie
Najświętsza Panienka nie przykrzy nam sobie.

Ja do Niej się modlę — i gładko też rosnę,
Tak jako widzicie przed sobą mnie wcale!
I Ona Najświętsza śni mi się co wiosnę,
Gdy mają już owce wypędzać na hale.

VIII.

Dla wszystkich słońce po niebiesiech chodzi:
Małe, nie małe, kiedy wielkie rodzi!...

Nad brzegiem zdroju, na urwisku skały,
Obcy wśród Tatrów stał młodzieniec śmiały —
I podniósł dumnie swe wyniosłe czoło,
I wodził wzrokiem po turniach wokoło,
I póty wodził i dzielnie i śmiało,
Aż mu i w duszy w końcu pociemniało...

— Po co my nosim naszą nędzę w góry,
Skąd wracać trzeba z żalem i z tęsknotą?
Bo czy się zmierzyć z ogromem natury,
Czy z górskim ludem i jego prostotą,
I duch i serce miary nie dotrzyma... —
I smutnie wodził po toniach oczyma —
A w lekkim, szybkim poskoku, czy biegu
Śmignęła rybka do cichego brzegu;
Świeża, wesoła, jak życie, jak zdrowie,
Prysła kropelką, stanęła i powie:
— Świat taki piękny, takie czyste wody,
Niebo tak jasne, a tyś taki młody!
Jako mnie z wodą, tobie płynąć z wiekiem —
A ty tu bluźnisz? — szkoda żeś człowiekiem!
Gdy ci ni szczytów, ani głębi dostać,
Kiedy nie zdołasz, biedne chłopię, sprostać
Temu, co proste — i temu, co wielkie,
To zniknij iskrą, lub zlej się w kropelkę,
Albo się spytaj i ziemi i nieba,
Czem to ty jesteś — i czem ci być trzeba?

Biedni wy ludzie! że też wy nie wiecie,
Co to być małym? Gdybyś ty był rybką,
Tak wesołą i lekką i szybką,
I taką małą jako ja na świecie:
Jakby ci dobrze było w słońcu chodzić!
Boć to tak małej nie ma nawet wędki,

Nie tylko wędki, ale nawet chętki
Nie ma tak małej, żeby na mnie godzić...

Źle wielkiej rybie, która wierzchem chodzi,
I źle ptakowi, co strzeli wysoko
Nad gniazdo swoje. — I biedne to oko,
Co w słońce patrzy. — Bo świat zwykle godzi
Na to, co światłe, co z kraja, co lotne,
Na to, co wielkie, wzniosłe i samotne,
Czy to na lądzie, na morzu, czy w niebie,
Albo też ono godzi samo w siebie!

A to, co małe, to bywa i całe,
I niby wieczne i zdrowe i hoże,
Czyste, swobodne i żywe i Boże,
I rade sobie, i rade drugiemu,
I nie zawadza cudzemu, ni swemu,
Boć rade temu, co mu padło w dziele,
A silne liczbą, boć to tego wiele,
A między małem bywa sojusz wierny,
To i Bóg bywa temu miłosierny...

I mrówka mała — a cały świat schodzi!
I pszczółka mała — a życie wam słodzi!
I ziarnko zboża małe — a świat żywi!
I drobny piasek — a skała cię dziwi!
I perły małe — a jakie to cenne!
I krople małe — a co wody w stoku?
I z wód niewielkich to morze bezdenne!
Mała źrenica — a cały świat w oku!
Albož i gwiazda? — a światło jej czyste!
I jakież piękne to niebo gwieździste!
Ledwo widoczny ten pyłek słoneczny.
A niby morze światłości zdrój wieczny!

Więc lepiej zlać się w miłości z drugiemi!
Pyłkiem i kroplą popłynąć wzdłuż ziemi,

Razem z drugimi, bez rachuby wieści,
Bez szumu, gwaru, cześci i boleści!
Więc lepiej pyłkiem a w światłości zginąć,
I niby kropla w morzu życia spłynąć...

IX.

Obmyślano pono wczas,
By do nieba nie wzrósł las;
Znajdzie smutek i weselne,
Ma robaka co i dzielne!...

Co wy chwalicie dzisiejszych górali!
Dzisiaj chłop taki, jak dawniej dziecina —
Zbiedniał lud wszystek! i gorzej, czem dalej —
To nie górale, to sama marnina!
Cesarz wybiera najszumniejsze chłopy,
A doma jeno zostawione czopy,
Że już w kościele nie ma spojrzeć na co,
A z czasem wszystek i naród wytracą.

Jest u nas tutaj, mój ty panku gadka,
Że bujne plemię w tych górach bywało;
Patrzcie gdzie Lubnia, a gdzie Babia-Matka;
Otóż jak na nich dwóch górali stało,
To jak w szałasie do siebie gadali —
I gdy się srodze na topory ścięli,
To topór w topór ognia wykrzesali.
No, gadka gadką! Lecz za mej pamięci
Bywał tu także jeszcze lud nieszpetny.
Pamiętasz Sobku? — O! wy wszyscy Święci!
Pamiętasz gracza? To ni chłop był setny!
Srogi i czysty, a zwał się król Grzela.
Szumny jak jodła — prawdziwy Podhalec,
Na całe góry największy zuchwalec,
A w tańcu wesół, jak święta niedziela!
Siadł na polanie — niby pan na dworku,

A spasał hale po ojcach od wieku;
Siedm miał brzęczących kółek przy toporku,
A jak nim brzęknął, to lęk szedł po człeku!
Czarno obrastał — i pozierał z oka,
I nie znał kierbców, lecz but i ostrogi,
A choćby jaka świetlica wysoka,
Głową zasięgał powały chłop srogi —
A siła jego także nie przelewki —
Chodził też strojno i niby z madziarska,
Ginęły też to za nim wszystkie dziewki,
Bo mu się we łbie postroiło z dziarska!
Jak całe życie duhan z Węgier palił,
A kiedy zasiadł pod wieczór gospodę,
To tak się rozparł — tak się rozzuchwalił,
Że aż na pasie zwykł był wspierać brodę.
Lubił węgierskie, lubił lackie śpiewki,
Lubił też chodzić na kozy z Sobczaki,
I po bacówkach straszyć nocą dziewki;
Lecz się do bójki nie brał lada jakiej.
Po dziś dzień jeszcze Magda po nim śpiewa,
I dziś się jeszcze króle po nim żalą;
Nie wiem jak u was tam na Lachach bywa,
Lecz u nas takich panowie nie chwalą!...
Więc jakiś Niemiec był panu doradził,
By go do Gopli na służbę sprowadził;
Ale król burknął: Niech zawłoki szuka!
Bo to król Grzela nie zrósł na hajduka. —
Więc nad górnictwem starszeństwo mu dali,
Otóż rzekł panu: Tak to wam posłużę!
I miał pod sobą górników górali,
A zwan był w halach: Królem na Magórze.
Dziesięć lat tedy rej górnikom wodził,
A wobec pana za ludźmi obstawał,
Górnikom swoim potuchy nie dawał,
Ale i bajek we dworze nie płodził.

Pan o nim mówił, jak o jakim cudzie,
Pijał też z panem z jednego puhara;
Chociaż nie karał, drżeli przed nim ludzie,
Boć to pocieszna była jego kara.

Raz mu już zbrzydli byli te próżniaki,
Bo im się dzionki wydali za duże;
A więc górnika wsadził w jego taki,
I tłukł nim pędem wkoło po Magórze.
Raz mu się także dwóch hardo stawiło,
Więc wziął każdego z nich niedźwiedzią siłą,
Niby to snopek albo drzewa płachę:
Tego pod pachę, onego pod pachę,
Zbiegł z nimi do wsi, wybrodził po wodzie,
I cisnął w końcu o ziem na gospodzie,
I rzekł im groźno: Tu mi leżeć dudki!
I wypił za nich po garncowi wódki;
Więc go też potem górnicy słuchali.
— W tem królewszczyznę jakoś zaprzedali —
A tu zarządził w naszych Goplach srogo
Człowiek, o którym nie znać, jak się rodził;
Niby to z Węgier, czy z Niemiec pochodził,
A był naprawdę szatańską odnogą!
Podło się nosił, i chudo i spięto,
Niby jaszczurka, bestya zawzięta;
Zwykł był powiadać: Aż po Gople święto,
A w Goplach niema postu ani święta. —

Więc tak się stało, że jednej niedzieli
Ćwiknął też w oczy i naszemu Grzeli:
— Ho, ho panoczku! — Grzela mu powiada:
— Mnie nie zatrwożą lada jakie krzyki;
Kosa na kamień, a na radę rada! —
I w mgnieniu oka rozpuścił górniki:
— Idźcie mi do dom, a jak mi się który
Poważy spuścić do mojej Magóry,
To mu powiadam, aby wcześniej wiedział,
Że po dzień sądny będzie już tam siedział!

Gdy niema święta, niema i roboty. —
I w przepaść cisnął kilofy i młoty;
A to nie żarty wielko-możny panie,
Gdy Gople idą a rudy nie stanie.

Tak zeszła jedna i druga niedziela —
W Goplach się rządcy napróżno szamocą,
A na Magórze kładzie ogień Grzela,
Że aż pod niebo biją łuny nocą;
Więc uprosili też księdza plebana,
By króla Grzelę nakłonił do zgody.
Otóż mu Grzela tęgie sprawił gody,
I trzy dni gościł, od rana do rana.
A w końcu rzekł mu: Jeśli dyable bure
Poczci niedzielę, i za ciężką pracę
Górnikom moim da potrójną płacę,
A mnie przeprosić wyjdzie na Magórę:
To się zagodzę i rudę pozwolę!
Jeśli nie zechce — to i ja mam wolę. —
Więc rządca w hamrach rozjadł się okrutnie,
I klął swą duszę, że mu włosów utnie,
Że go pochwyci i odda w rekruty —
A był to nastał właśnie pobór suty;
Grzela tymczasem gościł na Magórze,
Lecz znał, co radzą tam o jego skórze;
Więc z górnikami już niedługo bawił,
Na dalsze hale juhasów wyprawił,
I przy ognisku leżał już po jeden —
O świcie trochę niby usnął bieden:
Aż tu na niego wpadli niby kruki
Z onym to rządcą węgierskie hajduki!
Ale się zerwał, trzech zaraz powalił,
Pochwycił strzelbę — rządcy w łeb wypalił,
I skoczył w przepaść — zginął w mgnieniu oka —
A po chwileczce zawołał z wysoka:

— Nie na to Sobczak uczył mnie bić kozy,
Nie na to w turniach wiatr mi w uszy dmuchał,
Abym jak baran szedł dzisiaj w powrozy,
I flintę nosił i gdzieś bębna słuchał. —
A potem huknął, gwizdnął w turniach gołych.
Jak dzika koza — i w świat — do w e s o ł y c h!

Zginął bez słychu — nie znać, gdzie przebywa,
Pewno gdzie poległ pod królewską halą;
A stara Magda jeszcze o nim śpiewa,
I dziś się jeszcze króle po nim żalą...

X.

Co małe,
To całe.

Nic ani szaśnie — cichutko wszędzie,
Nalepa wkoło zmieciona,
Słychać jak pająk nitkę swą przędzie,
I serce bije u łona.

A na nalepie jasnym płomieniem
Palą się drewka bukowe,
A święci patrzą ostrem wejrzeniem
Ze ścian na rządy domowe.

W górze na półkach, rzeźbionych drobno,
Kolejno misy pisane,
A rząd dzbanuszków stoi osobno,
A przy nich kubki w rząd szklane.

A jak tu miło, czysto i gładko!
I nic niedłużne nikomu:
— Powiedzcie, proszę, mi moja matko,
To wam tu dobrze w tym domu? —

— A jużciż dobrze nam Bogu dzięki!
Jak możem, statek nasz krasim,
Trzydzieści niedziel żywimy z ręki,
Resztę po halach już pasiem.

A zresztą przędziem i kopiem grzędy;
Skąpo człek sobie pozwala,
Lecz gdy się dobrze zakrząta wszędy,
Stanie na kawał m o s k a l a.

— A gdzieżeście się matko rodzili? —
— A z przeproszeniem w tej budzie!
— A gdzie was matko ojcowie chrzcili? —
— W tym tu kościele, gdzie ludzie. —

— A gdzie tu cmentarz? — A pod kościołem —
— I tam już wszyscy wraz leżą? —
— A jużci wszyscy w Bogu i społem,
Jak razem żyją i wierzą.

XI.

Od wieka do wieka,
Nic niema nad człeka.

Oj c e s t a staremu już nie chce dziś płużyć,
I służyć nie lubię — nie dobrze jest służyć!
Lecz kiedy z Kościelisk tak wam już dziś pilno,
To dziewczę pokaże wam drogę niemylną —
A milej z dziewczęciem, bo coś wam rozplecie,
I śmiechów przymiesza i coś wam przypowie;
Bo pocóżby zresztą człek chował i dziecię,
Żeby to niemiłe być miało człekowi?

XII.

„Czysta jak woda,
Miła, bo młoda,
Jak jagoda słodka,
A pusta i plotka.
Kiedy plecie szczerze,
To się na śmiech bierze,
Gdy serce otwiera,
To się na płacz zbiera."

— Kędyż pójdziemy moja panno miła? —
— Kędy? Oj siła o tem mówić, siła,
Kędyby dziewczę was w górach wywiodło:
Ale pójdziemy cesteczką nie podłą;
Światem — polaną — dalej po chruścinach,
I po pod regle, hen! na one gaje —
Byliście kiedy z dziewą na malinach?
Mówcie-że, mówcie, albo wam nałaję.

— A wszakże mówię — kędyż pójdziem dalej? —
— Co oni dali? — mój ty młody panie!
Ot nic nie dali — i tak pojechali —
Tak u nas mówią na takie pytanie!
Czegoście tacy, czy smutni, czy hardzi!
Wszak ci Bóg, mówią, góralem nie gardzi!
„Na Lachach śpiewki, a po górach dziewki,
„A od Krakowa, jak krzemień człek krewki."
Tak ciotka mówią — a z wami nie rada!
I jak ze skałą człek się nie rozgada —
Przy nich to jeszcze i ja się osmucę,
Toć się poprawcie, albo was porzucę!
Czy wy umiecie też jakie śpiewanki!
Bywają czasem i u nas te panki;
Łońskiego roku zaszło tu człeczysko,
Co się powlokło na Orawską stronę —
Oj biedne jakieś było to panisko!
Przychrome niby i setnie zdręczone —
Ale poczciwe! Nauczył mnie śpiewki;
To też mi bardzo zazdrościły dziewki,

Kiedym im śpiewać poczęła w niedzielę,
I dali za nią mi też cacek wiele.

— A wy to czemu z gołemi rękoma
Przyszliście w góry? — Było siedzieć doma —
O grosz nie proszę. — I my pieniądz mamy;
Ale tam cudne u was mówią kramy!
To przecież trzeba było myśleć w domu,
Że też i w górach przyda się co komu:
Szczerszy był tamten, choć biedny i ranny,
Bo dał mi obraz Częstochowskiej Panny,
Sam z piersi swoich — co go miał od matki.
Cudny to obraz! złocisty i rzadki —
Wszystkim się ludziom jak ołtarz podoba;
Bo niby żywa najświętsza osoba —
Ja też go noszę jedynie od święta,
A gdy go włożę, tom taka kontenta,
Jakbym urosła! Bo to mówi ciotka,
Że jeszcze rosnę... ale ciotka plotka!
Otóż wam powiem, jako to się stało,
Że takie święte do mnie się dostało:
Była to jakoś wojna tam na świecie —
A może także i wy o niej wiecie?
— Ojciec by lepiej wam powiedział o tem —
Otóż po wojnie lud z wielkim kłopotem
W świat się rozsypał. A tu w nasze góry,
Chroniąc o szczudle przyszedł człek ponury —
Lecz nie ponury, jacy się widziało,
Nim się człeczyska na piękne poznało.
Otóż powiadał, że go gdzieś więziono,
A miał na wojnie nogę poranioną;
Więc ojciec mówił: Gdzie im światem chodzić?
Aż się obaczy, człowiek poterany
Niech z nami będzie. — I kazał złagodzić
Łoże w tokarni — a podbiał na rany
Jam mu zbierała. —

Otóż tak się stało,
Że z nami przebył cały rok nie mało;
Jego to było nie żal się popytać
O cuda w świecie. Wyuczył mnie czytać
Różne modlitwy na książce pobożnej,
A choć sam z rodu pono Wielkomożny,
Jak się widziało, choć o tem nie gadał,
Co dzień za ojca do tokarni siadał,
I lepiej toczył, niż ojczysko stary.
O! cudne mam też od niego puhary,
Jak szkło toczone, i z cyny i z kości,
Że się im ledwo wydziwują goście —
Zdjął też swe szaty, a wdział na opaszki
Ojców przyodziew, niby człowiek naszki;
Ludzie mówili, że się będzie żenił
Ze mną w jesieni — lecz Bóg wszystko zmienił!

Raz przybiegł stryjek, a późno już w nocy,
I począł stukać we drzwi z całej mocy;
Ojciec się zdziwił, czego to tak stuka?
A stryjek z cicha: Wyprawcie wy człeka,
Bo to nie żarty, pogoń niedaleka,
A już i po wsi wojsko za nim szuka;
Jam z ciotką mówił na Orawskiej stronie,
Że z nim przyjdziemy, i co tchu tu gonię,
Będzie nas w lesie za pustacią czekać,
Ale co żywo wypada uciekać!
Strażnicy piją i będą się bawić —
Lecz przez granicę trzeba się przeprawić
Jeszcze przed świtem!...
O mój miły Boże!
Cóż było czynić? i płacz nie pomoże!

Ojciec się zebrał i rzecze: Powoli!
Kiedy nie biją, to jeszcze nie boli —
Jeszczeć i oni nie są tu tak blizko,
Kiedy o cudzych nie ostrzega psisko. —

I sam go odział, opatrzył mu nogę,
I z chlebem Bożym wyprawił na drogę;
Stryjek go powiódł — a ja już płacząca
Szłam tuż za nimi. — I szliśmy milczący
Kędyś bez drogi. —
Odniało tymczasem,
Aż tu i pustać, i ciotka pod lasem
Czekała na nas. — I było bezpiecznie,
Ale się przyszło pożegnać już wiecznie!
Ciotka cieszyła — stryjek dobył wódki:
— No, dobry trunek bywa na frasunek,
A kiedy smutno, nie źle zapić smutki. —
Jam pić nie chciała, bo mi było trudno
I płacz ten przełknąć — i na sercu nudno —
On siadł na ziemi, bo nogę zmocował,
I nic nie mówił, jeno się litował;
A potem powstał — i raźno mi powie:
— Wracajcie do dom i ostajcie zdrowi!
Ostajcie zdrowi i w opiece Boskiej! —
I dał mi obraz Panny Częstochowskiej:
— Jeśli Bóg łaskaw, dam ja sobie radę!
I jeszcze z matką to do was przyjadę;
Bóg zapłać za chleb! I za to, co z nieba
Bóg jedno daje, co świętsze od chleba. —
I nie wiem jako już skończył i na czem,
Bom go odeszła zanosząc się płaczem —
Przeszłam granicę załamawszy dłonie,
I spojrzę jeszcze raz ku onej stronie:
Łzy świat zakryły, góry mi się dwoją,
A oni troje w miejscu jeszcze stoją,
Stałam — patrzałam jak przewijał nogę,
Potem się podniósł i ruszył w swą drogę;
A w sercu po nim taka żałość szczera,
Iż co pomyślę, to się na płacz zbiera!...
— Mój miły panie! powiedzcie mi przecie,
Po co to ludzie wojują na świecie?

XIII.

Przyjaciółce od serca
pieśń tę poświęca
Autor.

Postawą i mową
Wydaję myśl zdrową.

Czy wy pan panie? Czy wy swoją drogą
Człowiek wędrowny, chodzicie po światu
Szukając tego, co brat nie da bratu,
Czegoście nigdy nie zgubili pono?
„— — — — — — — — — — — — — — — — —"
— Ja nie ciekawy, choć się wam tak widzi!
Ale żal patrzeć, gdy się człowiek biédzi!
Lecz wyście pono ciekawi, czy biedni,
Kiedy po światu tak chodzicie jedni.
„— — — — — — — — — — — — — — — — —"
— Co wam po górach włóczyć wasze schaby?
Oj! lepiej od was zna górnik te dziury,
A zioła znają lepiej od was baby,
A już najlepiej zna pasterz te góry.
Kto z książki mądry i ma rozum w głowie,
Ten ma znać o tem, „iż dawnemi laty
Jest w starych księgach spisano w Krakowie,
Czem człek szczęśliwy, i w co świat bogaty.

— Nie łatwoć wprawdzie dobyć to tej księgi,
Bo jej tam strzeże zdawna zamek tęgi,
I twarde jakieś pismo do zmacania,
Trudne dzisiejszym ludziom do czytania;
A nadto jeszcze wzięta na łańcuchy,
By ją po światu nie rozniosły duchy;
Boć to tam wiele jest obrazy Boskiej
I czarnoksięstwa różnego bez miary;
Przy złej pomocy pisał ją Twardowski,
I źle byłoby podobno dla wiary,
Gdyby biskupi księgi nie zaklęli,
I nie przykuli byli do kamienia;

Bo to nie zawsze duszę uweseli
I skarb i mądrość. — A wiele zgorszenia
Bywa tam zwykle, kędy prawdy wiele;
To też człek po nią nie sięga tak śmiele.
„— — — — — — — — — — — — — — — —“
— Jak widzę, dziwi was to młody panie,
Skąd się to bierze u górala zdanie?
A skąd to rozum ma na świecie mrówka.

Ha! pańskie dzieci muszą się już z młodu
Uczyć na rozum — chłop ma rozum z rodu!
Oj! bieda panie — bieda i wędrówka
Uczy rozumu. — A góral wędrowny,
A świat szeroki — a różne ludziska,
A człowiek głodny, to bywa i mowny,
I musi prawdy wszędy pytać zblizka,
A co pochwyci, łatwo mu nie przyjdzie;
To też i trzyma, co raz w mózgi bierze —
A zresztą czego w wędrówce i biédzie
Człowiek nie najdzie, to już najdzie w wierze.

U nas tak mówią: Po chrzcie idzie wiara,
Po głowie czeladź — a po grzechu kara;
Po biedzie statek — obyczaj po rodzie,
Po pracy spokój — a już chleb po głodzie;
Kto się bić lubi, tego i pobiją,
Kto często krzyczy, tego nikt nie słucha,
Kto się nie myje, tego nie obmyją;
Gdzie nie w ład okiem, tam już dołóż ucha;
Gdzie nie dołożysz ni ręką, ni okiem,
Tam nadstaw grzbietu — albo dołóż workiem.

XIV.

Gdzie miło, tam człowiek i rad się przysiędzie,
A dobrze, jak mówią, z dobrymi jest wszędzie.

— Czy dobrze powiedzie nas do wsi ta ścieżka? —
— A dobrze powiedzie, przez ławę, na łozy. —
— A gdzie to mój ojcze ów strzelec wasz mieszka,
Co bije po górach te kozy? —

— A już to nie inny, jak pono Junaka;
Pytajcie tam wyżej o Sobka Sobczaka,
Na domu u niego róg będzie jeleni,
A dziewczę powita was w sieni.

I szliśmy przez ławę i szliśmy przez łozy,
Do strzelca śmiałego, co dzikie zna kozy;
I zdala ostrzegł pies swojem szczekaniem,
Że rychło i we wsi już staniem.

Odwieczne jasiony cieniły podwórko,
Pod niemi stał domek ciosany pod górką,
Na domu od wschodu róg sterczał jeleni,
A dziewczę witało nas w sieni.

I wzięło za ręce i wiodło w świetlicę,
A jako słoneczko jaśniało jej lice
Niewinną radością, serdecznem witaniem,
I ludzkiem poczciwem kochaniem.

I wiodła i sadzi na ławie za stołem,
Jak gości po Bogu przyjmować przywykła;
A potem jak fryga skręciła się kołem,
Klasnęła w rączęta i znikła.

Sobczaka nie było — bo poszedł gdzieś z listy —
Przybory myśliwskie wisiały na ścienie;
A cichy był domek, i cichy i czysty,
Jak człeka dobrego sumienie.

Po chwili przybiegła napowrót znów Kasia,
A za nią przybiegła i Polka i Basia,
I wszystkie się społem krzątając, aż rosły,
I Bożych nam darów naniosły.

A mleko aż pachło, a masło majowe,
A sery takroczne aż niby różowe,
A wszystko i białe i raźno zastawne,
A noże w róg kozi oprawne.

— Pozwólcie też sobie, nieskąpo, co chcecie!
Prosimy, co Bóg dał — no bierzcie i krajcie!
Jam do was przypiła — a pijcieże przecie,
A proszę, kęsajcie! kęsajcie! —

— Ja skoczę z dziewkami po gazdach wokoło,
I proszę tu gości i będzie wesoło,
Są ludzie i u nas — nie luźni, choć prości,
I znają jak gościć i gości! —

— Choć ojca mojego nie naszliście w domu,
To będzie tu przecie pogościć was komu,
Bo u nas jest taki obyczaj już z pniaka,
Że miło w gościnie Sobczaka. —

I jakoż przybyło i gazdów po chwili,
I grajków i dzieci i niewiast i dziewek,
I myśmy też naszej baryłki dobyli,
I kubek okrążał wśród śpiewek.

Od kubka i śpiewek, do śmiechów i w tany,
I ciasno już było w tym domku pod górką,
Więc z izby do sieni, a z sieni w podwórko
Wysypał się orszak rumiany.

I stała się radość i wielkie wesele,
I zmienił się dzionek powszedni w niedzielę,
I w całej wsi było pod wieczór już święto,
Choć ludzi nieznanych podjęto.

Poważnie gwarzyli gazdowie, jak piasty,
Wesoło, rozmownie prawiły niewiasty,
Jak wieniec róż polnych zaplotły się wkoło
Wśród tańca dziewczęta wesoło.

Ni sztuki zasługa, że kształtne i zgrabne,
Nie gładkie ich rączki, lecz dusze ogładne,
I lniane koszulki a serca jedwabne,
I słówka nie strojne a ładne.

XV.

W tych chmurach i górach
Chłodno, lecz swobodno.

— Co prędzej, co prędzej wędrowny mój panie!
Bo ku nam mgła prosto się toczy,
A tu na Krywaniu nie dobre posłanie,
Gdy ścieżkę mgła biała zamroczy!
Co prędzej! a patrzcie na kierpce, na moje,
By chociaż się dostać na hale,
Tam znajdziem kosodrzew, toć ognia wystroję,
A śmielszy już człowiek na dole.
— Nie patrzcie na strony, bo zmąci się w głowie,
A tutaj nie sprawisz nic zuchu!
Chadzali tu ze mną już różni panowie,
Lecz tutaj potrzeba posłuchu! —

I skoczył sam przodem, i dalej a dalej,
Od skały do skały w poskoku,
I równo z mgłą białą byliśmy o zmroku
Już sobie bezpieczni na hali,
— Przy mchowem posłaniu i źródła tuż blizko,
I zacisz w skalistym wądole,
I w kosodrzewinach zabłysło ognisko,
Zadęte, jak miesiąc w okole;
Bo mgła się toczyła jak powódź ławami,

Świat w biały się całun przystroił;
A nocny się błękit jak pierścień nad nami
Od mglistej powodzi odkroił...
I niebo zabłysło światami zasiane,
I było gwiazd widać obroty,
A górą, nad mgłami, kolczato-szarpane
Straszyły jak duchy turń szczyty —
— Olbrzymio wyrosły z powodzi obłoków,
Poczwarne — jak widma sumienia,
Samotne wśród ziemi — jak słowa proroków,
A wielkie — jak słowa stworzenia!

O świcie tak samo nad światem mgła stała,
I słońce choć zeszło, nie świeci,
A skała jak wyspa wśród morza pływała,
A na niej żeglarze rozbici —
Lecz łatwo tu sercu znów nabrać otuchy,
Bo wielki „Bóg Ojców" w przestworzu —
Pierś rośnie tu w górach, myśl zrywa łańcuchy,
I lekki znów człowiek na morzu!
Boć wszystkie przepaści, jak niegdyś za młodu,
Przed okiem czarownie zakryte,
A pod tem tam morzem jak wiele narodu!
I jakie tam ziemie rozbite!
Hej łódki! bo serce powiada: „Nie zginiem!"
A orłów to naszych dziedziny!
Hej łódki! A z wiatry jak morzem popłyniem
Po mgle tej — na polskie równiny.

XVI.

Hej wesoło i bogato,
Po przednowku idzie lato,
A niedziela i bez chmiela
Lud poczciwy rozwesela.

Tańczą góralczyki,
Chłopaki jak smyki,

Kobzarz im przegrywa,
A dzieweczka śpiewa.

Po gospodzie krzyki!
Szumią góralczyki,
Toporeczek furczy,
A bas w kącie burczy.

Wkoło, wkoło, wkoło,
Raźno i wesoło!
Drużba przodem skacze:
„A od ucha gracze!“

A hulajże Grzela!
Bo to dziś niedziela —
A dalejże w kółko,
Na święte niedziułko!

XVII.

„Gdy inni skaczą, patrzy, lecz nie skacze,
Gdy inni płaczą, czuje, lecz nie płacze,
Ale gdy sen się nad światem przesuwa
On nie śpi i czuwa!“

Świeci miesiąc, świeci,
I przepływa w dali,
Na srebrzystej wici,
A po drżącej fali.

Lekka mgła w zawoje
Po dolinie suwa,
I tylko ócz dwoje
Wśród tej nocy czuwa.

Nic się ani ruszy,
Tylko źródło pleszcze,
Ale głucho w duszy
Brzmią te śpiewy jeszcze.

Wszystko we śnie leży.
Cicha wieś w padole,
Miesiąc górą bieży,
Woda płynie w dole.

Płyń miesiączku w górze!
Płyń ty wodo dołem!
Nie kryj się w tej chmurze,
Co wisi nad czołem.

Wszak ci to ta nuta,
Co śpiewa i skacze?
— Tylko, że myśl struta,
Tylko, że coś płacze...

Tylko, że coś ziębi,
Co się w serce wjada,
A co jeszcze w głębi,
Tego nie wygada!

Życie pełne trudu
Sądzi sam Bóg w niebie;
O! spoczywaj ludu,
Gdy cierpią za ciebie!

XVIII.

Co rozum rozdwaja,
Wiara ludu spaja;
Kto wierzy,
Ten dzierży!

— Gorąco ojcze i samo południe,
Spocznijmy tutaj, nim trochę ochłódnie. —
— Wnet to przechłódnie, wnet mój panie młody,
Bo Babia w czepcu, miesiąc był w okole.
Rychło grzmot będzie i urosną wody.
Ale nie kładźcie lulki na tym stole!
Nie kładźcie lulki — to stół poświęcony!
Więc połajanie mieć będziem od żony,

Boć to świętości nie ma człowiek krzywić,
A i stół panie, mógłby się sprzeciwić.

Czasem to człeku zarówno się zdaje —
Ale to różne w świecie obyczaje,
Otóż i różne bywają świętości;
U nas stół bywa w wielkiej uczciwości,
I okrom daru Bożego, na stole
Nic już nie kładziem. — Nasz dziad to powiadał,
Jako to czasem Bóg karze swawolę,
I jaką karę raz tu człeku zadał —
Niech nas ochroni Panna Ludzimierska!
— Ot była jakaś to najedź węgierska,
Bo się król polski zagniewał na króla —
Gdy w zwadzie króle, drży zgrzebna koszula!
Węgry szły zbytkiem i stali gazdować,
(Bo pono Węgry to nie katoliki)
Więc bydło grabić, więc ludzi cudować,
Więc budy palić — więc gwałty — więc krzyki!
A w naszym domu starszy zagazdował,
Wprowadził konie — bez waszej urazy —
Bił gad, barany, wśród sieni gotował,
I jął wymyślać na święte obrazy.

Pod wieczór każe na stole słać sobie:
— Mój Wielkomożny! co zrobię, to zrobię,
A słać nie będę! — rzekł dziad mego dziada,
Więc go zbił setnie i sam się układa;
Lecz ledwie światło zagasić uścignął,
Tak nim cisnęło aż o ścianę drugą,
Że, jak to mówią, Węgier ani drygnął!
A dziad się zerwał z macierzą i z sługą,
I aż na halę zbiegli kondratową —
Nazajutrz wojsko stanęło gotowo,
Aż tu zabrakło z starszyzny jednego;
Pobiegli — patrzą — naszli nieżywego.
Gdzie gazda? — gazda! a gazda na hali —
Po chwili patrzy, aż i dom się pali...

Ale jak po tej najeździ węgierskiej
Wszystko się wojsko na Lachy zebrało,
Patrzą po ogniu — aż stół stoi cało,
A na nim obraz Panny Ludzimierskiej!

Mój miły panie! kiedy gore czasem
A stół ten wynieść — zaraz łuny gasną;
I grady ciągną od niego za lasem,
Ani pioruny w domostwo nie trzasną —
Mówią ojcowie, gdy w naszej rodzinie
Bóg śmierć da komu, a skonać nie może,
To mu czeladka w śmiertelnej godzinie
Zwykła wyścielać za tym stołem łoże —
A jak na stole głowę tylko złoży,
I choćby „Zdrowaś“ zmówi z dziatwą społem,
Tak lekko kona, jak na łasce Bożej!
I nam daj Boże skonać za tym stołem...

XIX.

„Gdzie wiara, tam czary,
Bez czarów, ni wiary,
Ni szczęścia, ni cudu,
Ni życia, ni ludu.“

— Gdzie matuś, dziewczę? — Poszli na zioła!
— A to zawołaj ją dziecię!
— Na Giewont poszli, a niech pan woła,
Lecz pono zginie głos w świecie!
Dobrze jeżeli wrócą w niedzielę,
Bo to na Giewont nie w skoku;
A kędy spojrzeć jest tam ziół wiele,
I raz je biorą do roku;
A drogo płacą zioła w Krakowie,
To się człek za nim kłopoce,
Boć to w tych ziołach wszelakie zdrowie,
Na dziwne ludzkie niemoce.
A jest tam zioło i od kochania,
I od gryzienia we wnętrzu,

Jest i od gośćca — jest i od spania,
I suchych bolów i jątrzu!
Jest tam i zioło, co wskaże człeku,
Gdzie złoto w górach tych leży;
I co od niego mleko odbieży,
I co poprawi na mleku —
I jest tam także ziele szalone,
Co ciągnie człeka w swą stronę;
Choćbyś uciekał, to tobą skręci,
I snem ku sobie przynęci —
A jak się po śnie człowiek obudzi,
To czegoś po świecie już szuka,
Chodzi a chodzi, i sobą nudzi,
I nocą po wsi się puka.
Nie spocznie nigdzie, choć mu otworzą,
Tylko rozważa coś z cicha,
I nie pozbędzie się tego licha,
Aż mu już ręce w krzyż złożą!

I tutaj nagle dziewczę zadrżało,
I z trwogą ku drzwiom spojrzało,
Widać, że w myśli coś się tam waży,
Bo niby zbladła na twarzy;
Żywy rumieniec przeleciał po niej,
A potem rzekła: Czy wiecie?
I wami może to zioło goni
Tak bez spoczynku na świecie? —

— Nie bój się dziewczę! Bóg wielki z tobą!
I ze mną — nic ci nie zrobię!
Ja nie pobudzę ludzi złą dobą
Jam tylko ciężki sam sobie!
I u nas rośnie zioło na dołach,
W cichych dąbrowach po niżu,
Przy bojowiskach, starych kościołach,
Zamkach i grobach w pobliżu.
Otóż jak przy niem chłopię cierpliwe
Uśnie — nie przykre nikomu;

Bo we śnie bywa takie szczęśliwe,
Że wnosi szczęście do domu —
Jam spał snem takim doma, u siebie,
A za nagrodę czy karę
Widział Wielkiego Boga na niebie,
Co cudem wzmocnił mą wiarę —
Żyłem wśród ludu, co w słońcu pływał,
I sam się rządził i sądził,
Którego serce sam Bóg rozgrzewał,
Żeby w zakonie nie błądził —
A ziemia jego była mi rajem,
Bo wszędy dobro i zgoda,
W domu i w polu, w kraju, za krajem,
A na niebiesiech pogoda.
I to zabrało mi wszystką duszę,
I to mi cięży, to trudzi!
Bo tego świata i takich ludzi
Do śmierci szukać już muszę!
Lecz kiedy znacie ziele wszelakie,
Co się po górach zrodziło,
Powiedz czy jest tu i ziele takie,
Żeby zapomnieć, co było?

XX.

„Mam i serce — mam i oko,
I po światu mi szeroko!"

Hej turnie moje! Wy hale moje!
Jakież was cudne wychwalą słowa?
Widno z was, widno, widno na dwoje,
Bo i do Spiżu i do Krakowa —
Kiedy nad Spiżem Węgierka świeci,
Orły się nasze w chmurach weselą,
A kiedy mgły się nad Babią ścielą,
To nawet orzeł na gniazdo leci
I tylko góral, co się nie boi
Burzy na niebie, niby Łomnica,

Chłop jak toczony, prosty jak świéca,
On jeden tylko burzy dostoi!
A pod nim szumią dokoła wody,
I biją gromy i deszcze chłodne,
Lecz zanim zbiorą na Lachach brody,
Już nad Tatrami niebo pogodne;
I znów po halach gwiżdżą juhasy,
I wyrządzają dziewczętom psoty,
I grają kobzy i szumią lasy,
A hen podźwiga Dunaju młoty...
Gdy się przed człekiem świat ten rozłoży
I tak wesoło i tak szeroko,
Aż serce skacze, że też Bóg tworzy
I góry takie i w głowie oko!
Kiedy toporkiem człowiek wywinie,
To się aż stracha, żeby nie zmącił
Jasnej chmureczki w orlej dziedzinie,
Albo o samo niebo nie trącił!
Bo odrobina tylko do nieba,
Gdzie z aniołami sam Pan Bóg mieszka —
To jużciż Lachy do was zejść trzeba,
Bo wam za ostra góralska ścieżka!
Niech się wam wszystko po myśli wodzi!
Niechaj wam dziatwa i chleb się rodzi!
Bom to ja nigdy chleba nie prosił,
Kiedym na Lachach bywało kosił.
— Choć u nas niema żytniego chleba,
Przecież czem można pogościć trzeba;
I ufam sobie, żeby nie pościł
Lach — chociaż tutaj ziemia jałowa,
A kto ma rolę, niech Bóg zachowa,
Żeby też chleba komu zazdrościł!

Czasem się do nas zbłąka panisko;
Czasem i kilku — toć z nimi chodzim,
I do Morskiego-Oka ich wodzim,
Do Zakopanej i w Kościelisko —

A gdy ich wiedziem za kozią drogą,
Kędy na górach Bóg chmury złożył,
Tam to wydziwić już się nie mogą,
Jaki góralom Pan Bóg świat stworzył!
Boć srebro, złoto jest w górach naszych
I na świat widno, z halów dokoła,
Tylko nam w Tatrach tych dzwonów laszych
I Panny Maryi brakło kościoła —
I ciągnie człeka coś do Krakowa;
Ale co ciągnie? nie wiedzieć zgoła;
Ludzie nie ludzie, mowa nie mowa;
Jednak coś nęci jak do kościoła!
I miło spojrzeć na Lacką stronę,
I miło wspomnieć one gościnki!
Tam to pod kosą łąki zielone!
Tam to dograbki — tam to wyżynki!
Co to za dziewki szły tam pod wieniec!
Gdyby nie lata i kości stare,
Szedłbym na kośbę, a na gościniec
Zaniósłbym Lachom kwiczołów parę.

XXI.

Młodemu przyjacielowi
Władysławowi Wężykowi
poświęcił pieśń tę Autor.

Serce i potok ostrzegać daremnie.
Mickiewicz.

„O! Dunajcu mój!
Stój szaleńcze, stój!"

I skąd się twe wody, szaleńcze mój, biorą!
I gdzie ci tak spieszno? i po co tak skoro?
Ty bieżysz w równiny, w dalekie zawody,
A ja tu u źródła chcę czerpnąć twej wody!
O! na cóż tak szybko twa woda tam płynie?
Pytają tam wprawdzie o ciebie w równinie,

O wodę, o czystą, pytają tam ludzie,
Bo żyją w odwiecznem pragnieniu i brudzie;
Więc skoro cię ujrzą, wnet do cię pobiegną,
I brzegi zielone wzdłuż wody zalegną,
I będą się pluskać i kąpać w tym zdroju,
I brudnem naczyniem zaczerpną napoju,
I zmącą twe warty i tonie przejrzyste,
I zdepcą twe brzegi i łoże przeczyste,
I krzykną szeroko długiemi zagrody:
— To woda nieczysta! nie pijcie tej wody! --
A ty się odwiniesz, zakipisz aż do dna,
I kał ów nieczysty twem łożem popłynie,
I w biegu zwolnieje twa fala swobodna —
Ty zczyścisz się znowu w rozległej równinie,
I księżyc się skąpie, jak dawniej, w twej fali,
I gwiazda się znowu nad tobą użali
I ujrzysz znów zorzy rumieniec przelotny,
Lecz brzeg twój na zawsze już będzie samotny,
Bez kwiatów i ludzi, a krajem piaszczystym
Po łożu cierniowem nurtami zawiniesz,
Bez słowa pociechy, w milczeniu wieczystym,
Bez winy zbrodniarzem ku morzu popłyniesz...

Więc gdzie ci tak spieszno, szalony góralu!
I po co porzucasz krainę Podhalu?
Prócz fali przejrzystej i biegu w swobodzie,
Prócz słońca na niebie i zorzy na wschodzie,
Prócz brzegu takiego z kwiatami wonnemi,
Prócz rosy na trawie, a gwiazdy w błękicie,
I trochę miłości do gwiazd i do ziemi,
Nic nie ma na świecie — nic nie da ci życie
U źródła, na ujściu, opodal, czy z brzegu,
Nic więcej nie ujrzysz, szaleńcze, w twym biegu.

XXII.

Bez radości powitanie,
A bez żalu pożegnanie!

Żal mi, żem góry i ten lud pochwalił,
I sam na siebie prawiebym się żalił,
Bo jako biją szkodnicy jastrzębie,
Tak uderzycie na stado gołębie!

Zepsute dzieci lubią cacka psować;
A żal się Boże co piękne marnować!
Was nie uleczy ten lud swą prostotą,
Nie dla was mają polskie Tatry złoto.

Was nie rozjaśni ten świat swym uśmiechem,
Ani was natchną góry swym oddechem,
Ani was górskie wody nie obmyją,
Ani w was prawdy ludu nie ożyją!

Bo na to, byście stąd wracali krzepsi
Na duszy waszej, i w ciele wzmocnieni,
Potrzeba, byście tu przybyli lepsi,
A ludzie po was nic byli zgorszeni.

Z ŻYCIA.

I.

„Wam to bracia, wam!
I śpiewam i gram!“

Jeżeli szukasz w ustroni samotnej
Jedynej jeszcze dla siebie pociechy,
Lub jeśli gonisz wdzięk życia ulotny,
I sądzisz może, że mam dla cię śmiechy,
To mnie nie szukaj — ja nie będę bawił!
Ani chcę dumom samotnym przeszkadzać,

I z samotnością nie będę naradzać,
Bom ja się z życiem i z sobą rozprawił.

— Duch ludzki duchem na to, żeby tworzył!
A dla nas pono jedna tylko droga;
Jam w pracy całą nadzieję położył,
A resztę zdałem, jako kmieć, na Boga!

Więc pieśni moje sieję jako ziarna
Pod grudę wieku, pod czasu mozoły,
A jeśli serca nadzieja niemarna,
To ktoś plon siejby zwiezie do stodoły.

Dla was więc, dla was, towarzysze mili!
Nieznani nawet i niepoliczeni,
Coście pod grudę wieku natrafili,
Coście rozsiani po kraju przestrzeni,
Jak ojców naszych modrzewie samotne —
Dla was więc, dla was braci pracowitych,
Znojem hartownych i mądrych, bo bitych,
Niosę w szczerości te pieśni ulotne!
A jak w pamięci starego żołnierza
Cała się przeszłość jak do broni zrywa,
Gdy ucho jego pobudka uderza,
Lub gdy kto piosnkę pułkową zaśpiewa;
Tak niech wam wasze z żywotem zapasy
Chłodna pieśń moja przed oczyma stawi,
Wam, coście mężni i śród nieszczęść prawi,
Wyszli do pracy na pochybne czasy!

Wam to ja śpiewam i wam to ja życzę,
By myśli wasze jak niebiosa były
I nieskażone i wiecznie dziewicze,
I serca wasze by jak źródła biły,
Tego wam życzę za całą nagrodę.

— A gdy się do was pstra czeladź zatrudzi,
I tłumem zbiegnie, jak po czystą wodę,
I myśli zaćmi i czucia zabrudzi,

By już tak silnie serce wasze biło,
Żeby jak źródło i drugich obmyło,
I żeby znowu w tej krynicy czystej
I Bóg się przejrzał — i ów sklep gwiaździsty...

II.

„Aniele, skąd Tobie
Gościna w tym grobie?"

PACHOLĘ.

— Skąd ci ta prawda? skąd ci to wesele?
I skąd się bierzesz? gdzie idziesz, Aniele?

ANIOŁ.

— Do was ja idę, bo kocham to plemię,
Raj wam otworzę i ozłocę ziemię!

PACHOLĘ.

A skądże tyle wzięło się miłości,
Że śród tej nędzy Anioł niebios gości?

ANIOŁ.

— Skąd ziemskim orłom bierze się na loty,
Dziecku na uśmiech, gwiaździe na blask złoty!

PACHOLĘ.

I czy zostaniesz już na zawsze z nami?
Czy znowu będziem i rzewni i sami?

ANIOŁ.

— Pytaj jutrzenki, czy zawsze przyświeca?
I wód, czy zawsze czysta ich krynica?

PACHOLĘ.

A jeśli znikniesz, niebieskie kochanie!
I cóż po tobie na ziemi zostanie?

ANIOŁ.

To, co zostało wam po wieszczem słowie,
Po łzach, po rosie, po pieśni w dąbrowie.

III.

„I z rana i z młodu
Świat piękny od wschodu!"

Majtek ja, majtek — na morzu wyrosłem;
Ale z tej całej żeglugi burzliwej
Jeden dzień tylko w pamięci wyniosłem,
Jak młodość piękny, a jak miłość żywy!

Stałem, jak dzisiaj, na tej łodzi mojej,
Spokojnym rankiem, nad brzegami morza,
Stubarwne flagi statków na ostoi
Witała z piany budząca się zorza!
A i po statkach zbudzeni majtkowie
Witali morską pieśnią to zaranie;
A i od lądów, rozkosznych jak zdrowie,
Dolatywało przerwane wołanie:

— Da Bóg szczęśliwie! Wy tu, my tam płyniem!
Byle w czas Boży znów kotwę zarzucić:
Da Bóg szczęśliwie! nie zginiem! nie zginiem! —
A wszyscy, wszyscy przyrzekali wrócić.

I pierś się żagli wypełniała zwolna,
Z lądów wołanie „W Imię, w Imię Boże!"
Pomknęły statki, a fala swawolna
Niosła je rada na wysokie morze...

I jeden tylko starzec osiwiały
Siedział na brzegu, naprawiając sieci,
I patrzył z smutkiem na te morskie wały,
Jakby im oddał własne swoje dzieci.

I jeden tylko kapłan, w świętej bieli,
Na morskim piasku modlił się w pokorze
Za tych, co dawniej na morzu zginęli,
I tych, co dzisiaj szli znowu na morze...

— Da Bóg szczęśliwie! a z wiatry dobremi! —
Westchnął do nieba. — W Imię, w Imię Boże! —
A wkoło, wkoło, przed nimi, za nimi,
Niby to pieśnią modre grało morze;

I każda fala, co na pełni wzrosła,
Trącąc się z szumem o brzeg piersią ciemną,
Jak nurek perłę, myśl z morza wyniosła,
Świeżą jak piany, jak głębię tajemną.

Słońce paliło szumny świat z wysoka,
A brzeg stał w rosie — w błękicie niebiosa.
Żagle znikały — a z duszy do oka
Tryskała droższa stokroć jeszcze rosa!

— Da Bóg szczęśliwie! — wszystkie morze grało - -
A „w Imię Boże“ po świata krawędzie!
A na dnie duszy tak coś tam płakało:
— Gdy taki ranek, cóż za wieczór będzie?! —

I nadszedł wieczór, a fale płonące
Gasły jak światła po wielkim pogrzebie,
I świat był cichy, i zawisły drżące
Łzy po tej ziemi, a gwiazdy po niebie.

Łzy te płynęły niczem nie otarte,
Ale te oczy, płaczem sierot krwawe,
Patrzyły w niebo szeroko rozwarte,
Bo i po niebie ciekły gwiazdy łzawe.

A ciekły sklepem w tajemnych przezroczach,
Jak gdyby lgnęły do Bożego łona!
Z bijącem sercem, ach! i z łzami w oczach
Do gwiazd na niebie ściągnąłem ramiona!

— Ale nie dosyć gwiazd na niebie było,
Jak dusza w smutku, w tumanach zamierzchły,
Zwiodły się chmury, piorunami biło,
I mnogie żagle w burzy się rozpierzchły.

I ziemia była jak pogorzelisko.
Z gruzów sterczały zgorzałe skorupy,
A świat był cały jak pobojowisko!!
Z falami morza grały tylko trupy.

Więc na dno swoje porwało mię życie!
A w łonie ziemi drzemały klejnoty,
A perły w morzu marzyły ukrycie,
Jak piękność marzy modlitwę tęsknoty.

Wyniosłem klejnot na tę jasność dzienną,
A światłość Boża iskrą w nim zagrała,
Wyniosłem z morza perłę na wpół senną,
A ona patrząc na świat, zapłakała!...

Czy iskrą spłoniesz, czy łzą się rozpłyniesz,
Utul się — utul — ty w niej nie zaginiesz;
Jedno to, jedno, by tylko czysta,
Czy łza perłowa, czy iskra ognista!

IV.

„I cicho, spokojnie,
Po ogniu, po wojnie!"

Strojne w zachodzie słońca leżą góry!
Poważna cisza — w dali szumią wody,
Polany mierzchną — milczy bór ponury,
I dym wieczorny ciągnie przez zagrody,
I noc nadciąga. — Po dziennem igrzysku
Ulżył świat sobie, jak człowiek w westchnieniu,
Pod starym bukiem, przy małem ognisku,
Siedzi staruszek na wielkim kamieniu.

— Skąd dziadek w górach? Pewno że z daleka?
A starzec rzecze: Ot, z całego świata
Nędza na ziemi — a wielki Bóg w niebie! —
I zmierzył okiem obcego człowieka:
— Idę mój panie, po proszonym chlebie. —
— A gdzieżeś ojcze strawił młode lata?
— Wiele to o tem mówić panie miły!
Jam je nie strawił — one mnie strawiły...

Jestem rodziców szlachetnego rodu,
Ojciec nieboszczyk był dziedzicem w Rajskiem,

A jam sługiwał wojskowo za młodu...
— Gdzieś rękę stracił? — W bitwie pod Możajskiem

— I prosisz chleba? — A proszę, bom głodzien!
Znać już lepszegom losu nie był godzien,
Gdy mi tak padło Boże zmiłowanie!
Gdziem lata strawił? Strawiłem, mój panie:
Młodość na wojnie — średni wiek w niewoli —
Starość na żebrach! Krótko to się prawi,
Lecz żywot taki gorzej blizny boli —
Świat mi dokuczył, a śmierć gdzieś się bawi.

— I nie wyrzekasz? — A czego wyrzekać?
Tylem też tylko w życiu miał pociechy,
Żem nie wyrzekał. — Lecz mi nudno czekać
Dłużej już śmierci; wybrałem się w drogę,
Bo myślę sobie, że spotkam niebogę
A życie moje wszak stanie za grzechy?

— Stanie, mój ojcze! jak Bóg żywy, stanie!
Życzę ci śmierci. — Bóg wam zapłać panie! —
Rzekł starzec z cicha, spokojny w sumieniu,
Poprawił ognia, westchnął sobie szczerze,
I czekał śmierci, szeptając pacierze,
Pod starym bukiem, na wielkim kamieniu.

V.

„Mąż kochankiem!
I pieśń z wiankiem."

Tracimy brata — serce go nie traci,
Kiedy mu gwiazda w waszej stronie świeci,
To niechaj idzie — myśl za nim poleci,
A szczęście jego samotnych zapłaci...

Kto silnie wierzy, kto duchem pracuje,
Brzydzi się czczością żywota, jak grzechem,
A w naszym kraju kto myśli i czuje,
Ten nie spogląda po świecie z uśmiechem!

Lecz w tem ponurem, rzewnem zadumaniu,
Leży przyszłości wielka tajemnica,
A mrok żywota wróży o świtaniu,
Co światłem wieku rozpromieni lica.

Gdy człowiek boleść gwałtowną uczuje,
Wszystka krew jego do serca się zbiega,
A gdy myśl jego wróg jadem zatruje,
To ścięte usta milczenie zalega.

I krewby szczęściem nie rozgrzała duszy,
I uśmiech ściętych ust by nie otworzył,
I człek by życie zmarnował w katuszy,
Gdyby Bóg dobrych ludzi nie był stworzył.

Co nam pokrewni i krwią i mową
Jedne boleści dzielą i nadzieje,
I których dusza nam się wówczas śmieje,
Gdy wszystko na nas spogląda surowo.

Dziś, gdy świat cały śmierć dla nas zalega,
Życie w domowych ścianach się zamknęło,
Dziś się krew wszystka do rodziny zbiega,
Niby do serca, skąd się życie wzięło.

I z tego serca ma się rozejść ciepło
Po wszystkiem ciele, gdy boleść przeminie,
I przy tym cichym ojczystym kominie
Ma się znów ogrzać, co w życiu zakrzepło...

Taką ja tobie piosnkę ślę weselną!
Wpleć ją do wianka, Polko! w dniu wesela,
I pojmij w życiu duszę przyjaciela,
Czystą jak serce, a jako myśl dzielną.

Pojmij ją szczerze, jak my ją pojmujem;
Grzeje to w sercu, co na oko ziębi,
I milczą usta, kiedy mocno czujem,
Świat idzie w i e r z c h e m, prawda leży w g ł ę b i.

VI.

„Radzi witamy
U naszej bramy!
Proszę! Proście!
Gość i goście!

Wszak ci to pono trąbkę posłyszałem?
Któż to w mróz taki i przy święcie goni?
Ha! spojrzyj duszo! — jednokonka cwałem!
Dla nas to, dla nas, jego trąbka dzwoni...

O! dzisiaj późno pójdziem na spoczynek;
Podwójne święto: i gość i niedziela.
Hej! każ nałożyć ognia na kominek!
Dziś powitamy z Leszna przyjaciela.

Ileż to, ileż ja przyjaciół miałem!
A dziś na świecie człek sam jeden stoi —
W burzy żywota wszystkich postradałem,
Prócz ciebie duszo i tej myśli mojej...
Jedni zwątpili o mnie — nie wiem czemu?
Inni odstępcy tego, w co ja wierzę,
A jeszcze inni... dajmy pokój temu!
Świat po swojemu i daje i bierze!
Dosyć tych dziejów bez wiary i sromu —
Kiedy gość w domu, to Bóg, mówią, w domu!
A nasz gość, duszo, z gościńcem przybywa,
I jak piastunka, co chce uśpić dziecię
Potulną pieśnią, taką pieśń on śpiewa:
O przeszłych wiekach i dzisiejszym świecie.

Jakże z daleka pieśń ta do nas leci!
A niesie niby od przyjaciół wieści;
Czasem jak słońce w nasze wrótka świeci,
Czasem się ozwie jękami boleści,
Czasem przemówi z starożytnej twarzy
Słowem pokoju i głębokiej wiary:
— Ej krew nie woda! Padnie, co się waży!
Jest Bóg na niebie, a miłość nie czary! —

I tak mi nieraz burknie po staremu,
Szczero, poczciwie, ufno w dobrej wierze:
Jakby się w świecie miało przerwać złemu,
I tak mię dziwnie rozogni, rozbierze,
Żem taki wszystek młody i pijany,
Jak w gronie braci niegdyś, w pośród gaju,
Jakby mię rozgrzał rumak rozhulany,
Albo na godach wino od Tokaju! —
— A pod Beskidem, w samotnej ustroni,
Budzi się taki świat żywy i szumny,
Jakby się ozwał głos dzwonków, szczęk broni,
I stary Zygmunt podźwignął się z trumny.

W wielkiej ojczyźnie, od morza do morza,
Zbrojno i tłumnie staje wiara Boża!
A same dusze szczere i serdeczne,
Serca ich proste, kordy obosieczne,
Ciągną gromadnie na sejmy i boje;
Przodem przed nimi leci słowo Boskie,
Słowem i kordem biją w to, co swoje,
I spać się kładą w trumny zaporoskie.
A jak za światłem, za szczęściem wzdłuż ziemi,
Tak upragniona myśl leci za niemi,
Wiatrem niesiona, na skrzydłach swobody,
Ponad dąbrowy, jeziora i zboża,
Ponad mogiły, ponad stare grody,
I ponad stepy, od morza do morza!

Ojczyste wiatry szumią wkoło skroni,
Myśl, jak orlica, ponad gniazdem krąży,
Ziemie mijają, wiek za wiekiem goni,
A wody płyną i świat przodem dąży.

Z tajemnej toni tych obrazów tłumnych,
Płyną do duszy, jak wiatru powiewy,
Zmarłych czy żywych, westchnienia czy śpiewy,
I jakieś głosy dzielnych i rozumnych.
Czasem coś jęknie, jak Wawelu groby,
Tchnieniem miłości, tęsknoty, żałoby;

To znowu burza zaszumi nad światem,
Obleje ziemię i niebo szkarłatem,
Niby to piorun z Tatrów, czy od morza,
Niby szum puszczy rozdętej wiatrami,
Czy tętent stepów zbitych tabunami...

A wśród obrazów ziemi i przeszłości,
Jak w domu ojców rade serce gości,
I miło nieraz na ich łonie zdrzymie,
A gdy się ocknie, to ożyje w rymie;
Bo jak gdy przepaść chcesz koniem przeskoczyć,
Musisz go najprzód zebrać i osadzić,
Tak kiedy myślą chcesz w przyszłość potoczyć,
Musisz z przeszłością o niej się naradzić.

A ktoby nazwał taką senną jawę,
I w pośród ciszy taką myśli wrzawę
Snem i marzeniem, bez życia i treści,
Temu powiedzcie, że w śnie więcej leży
Prawdy, niż w jego piersi się pomieści,
Bo sen się prawdzi, gdy we sny człek wierzy.

VII.

„Jak człek, tak wiek,
Jak ród, tak lud."

O! czarnoksięski młodych lat uroku!
Cóż dziś mężowi za twe cuda stanie?
Za tę nadzieję i za tę łzę w oku?
Za kwiat tych uczuć i za to kochanie?

Co to za życie wśród rodzinnej wioski
Wiek młody spędzać bez trudu i troski!
Ranki w rozmowach z księgą, lub z kniejami,
W południe zasiąść z ojcem, pod dębami,
A po miesiącu nocą lub wieczorem
Śpiewać piosenki z bracią nad jeziorem,

I lekką myślą iść i śmiałem czołem
Przez pracę wieków i życia zawady,
Rybą, motylem, chmurką czy sokołem,
Bez trwogi, zwłoki, trudu i porady!...

Powiastki starych i tych dziejów karty
Wtórzą piosenką tym porannym zorzom,
A umysł stoi, jak błękit otwarty,
Światłu i walkom, i światom i morzom!
I z ramion niby odrastają skrzydła,
I pierś się śmiało podnosi jak tarcza,
Jak koń stepowy nie zna myśl wędzidła,
Na oddech ledwo powietrza wystarcza!
I prze coś serce w świat obcy, daleki,
I coś je ciągnie za góry, za lasy,
Za góry, lasy, za morza, za rzeki,
Bo w dali tylko rozumie zapasy;
A tu wśród braci, choć czasami rzewny,
Tak sobą władnie i taki jest pewny,
I taki lekki, jakby wypadł z ciała,
Sercem wyniosły, jak anioł zwycięstwa,
Niby miecz Boży, taka mu myśl śmiała,
A pełen cnoty, rozumu i męstwa!

Lecz choć sokołem od gniazda wystrzeli,
Spuszcza się sępem, co własną pierś krwawi,
I nikt go nie zna, bo w ciszy dnie dławi,
I między boleść a trud żywot dzieli...

Nie puści skargi, choć go życie trudzi,
Nie wyda bolu hart ponurej dumy;
Zna, co jest miłość, lecz stroni od ludzi,
Jak spryt kuglarski mierzną mu rozumy!

Zamknął rachubę z światem i z sumieniem,
Oko w badawczym wzroku się wytęża,
Do pracy tylko ramię się naprężа,
I ciągnie pług swój z wielkiem natężeniem!

Jedno po czole poznać jeszcze można,
Że się w tej głowie coś pięknego śniło!
Jedno w westchnieniu, niby myśl pobożna,
Wzniesie na chwilę piersi dawną siłą.

O! gdyby wówczas znów mu anioł Boski
Skrzydła młodości do ramion przyprawił,
Gdyby go zaniósł do rodzinnej wioski,
Możeby jeszcze i on się poprawił.

Gdyby tym kniejom znów się wyspowiadał,
Domowej pieśni znowu się pożalił,
Gdyby z tym dębem jak z ojcem pogadał,
Jeszczeby miłość i wiarę ocalił.

A was to dziwi, kiedy naród cały
Choć pieśnią westchnie do młodości swojej?
I do tych wieków miłości i chwały!
I na myśl ojców swe życie postroi?

Wszak ci to z młodu i dąb rośnie przecie!
Z młodu człek wesół, na starość bogaty;
Wiosną to, wiosną buja wszelkie kwiecie;
Lecz kto niemądry i podepcze kwiaty,
Czyż temu owoc jesienią dojrzeje?
Kwiatem i wiosną są dla ludu dzieje.

Przeszłość jak prorok o przyszłości wróży;
Kto chce przeszłości? Świat się wstecz nie wraca;
Co mu służyło, to mu dziś nie służy!
Lecz dzieje przodków, oto krwawa praca!!!

A kto spuściznę dziadów marnotrawi,
I z grobów rusza w Bogu ległe kości,
Jak ptak, co kala gniazdo, się osławi,
I miasto życia, poczyna w i e k c z c z o ś c i!

Duchem przejść trzeba, co się sercem żyło!
Użycie trawi — lecz pamięć jest siłą,

A gdy jej obraz przesnuje się wstęgą
Przed duszą ludu, jest pamięć potęgą!

Z ducha ma urość to, co chce być dzielném,
W tem tylko życie, co siła przetrawi;
A gdy się w dziejach duch narodu spławi,
Jak anioł świeci blaskiem nieśmiertelnym!

Nam duszę skąpać w Piastowem jeziorze,
Świętym tej ziemi grzechy wyspowiadać,
Nam z mogiłami naddziadów pogadać,
I pieśnią ludu poczcić sądy Boże!

Kiedy człek upadł, anioł się zasmucił;
„Bogu bądź chwała!“ choć przekleństwo gniecie!
Chociaż Bóg w gniewie twarz groźną odwrócił,
W miłości swojej pamięta o świecie...

VIII.

„Boża
Zorza,
Co świat wita,
W duchu świta.“

Nowy rok światu na wschodzie świta,
Starego roku znikają mary,
Ludzkość wesoła przybysza wita,
A dla nas jeszcze rok stary!

Bez wiosny, kwiatów, bez przesilenia,
A wiecznie głuchy, posępny!
Gdzieś tam dni liczbę przynajmniej zmienia,
Dla nas trwa stary, przestępny!

My na miesiące życia nie liczym;
Rok nasz ma inne wymiary —
Gdy inni życzą, my nic nie życzym;
Bo dla nas jeszcze rok stary!

Innym do twarzy szaty godowe,
My strojni w zwoje całunu;
Innym z wawrzynu, innym mirtowe,
Nam padły wieńce z piołunu...

Dla innych wiosna przyniesie kwiaty,
I lato sypnie kłosami,
I jesień złoży owoc bogaty,
Nasz rok pamiętny — łodami...

Lecz jak gra promień słońca wspaniale
Czarowną tęczą wśród lodu,
Tak dzieła sztuki w duchu kryształe
Grają żywotem narodu.

A jak ten promień Boski, co świta
Dziś nam przez całun grobowy,
Wszystkich jasnością słońca powita,
Wówczas nam zejdzie — Rok nowy!

IX.

„Ból się nie śni,
Łzy i pieśni."

Jako świat stary narody dzierżą
Pieśń jest dziecięciem natchnienia;
A od kolebki ludzie w to wierzą,
Że łza opływa cierpienia.

Lecz kędy życie cierpień nie zmieści,
Cierpienie w pieśń się przelewa;
Wieszcze natchnienia rodzą boleści,
I co ma płakać, to śpiewa!

Niechaj więc lecą, kędy łzy padły,
Te pieśni nasze w czas Boży,
Smutnego czoła, twarzy pobladłej
Piosnka się nasza nie strwoży.

My do boleści duszą przymarli,
I serce z nią się tak zlało,
Iż gdyby boleść z serca wydarli,
Toby żywota nie stało...

Bo gdyśmy z Bogiem jedynie sami,
To już nie wiedzieć bez mała,
Czy łza jest pieśnią, czy pieśni łzami,
Tak się łza pieśnią już zlała.

Niechaj więc razem przed wami staną,
Niech was owioną westchnieniem,
Pieśń ma jak naród twarz zapłakaną,
A naród mówi — milczeniem.

ROK 1846.

Pusto tam stoi mój dom pod dębami —
I sam zostałem i oni tam sami!
I w gniazdo moje niby piorun strzelił,
I od serdecznych piskląt mię rozdzielił!

I ja w więzieniu i w koszuli krwawej,
A moi biedni wśród zbójców bez domu,
I bez ogniska, przytułku i strawy,
A nawet ręki nie ma podać komu!

I rany w duszy i rany na ciele!
O Panie! Panie! za coś się odwrócił?
Czy tych boleści nie będzie za wiele,
Żeś nas wśród tylu nieprzyjaciół rzucił?

Czy się świat może ma już dziś do skonu,
Że tak na złości serca rozpasane,
I dziesięcioro starego zakonu
Dziś u stóp krzyża na nowo strzaskane...

Jak potop świata, tak wezbrały zbrodnie,
I bratobójstwo szerzy się bezkarnie,

I złe po słońcu legnie się swobodnie,
A wiernej braci trzeba ginąć marnie.

O! Boże Ojców! o Panie nasz, Panie!
Za coś uczynił z nas takie żałośne?
Czyśmy tak winni za nasze kochanie,
Żeś tak ugodził nam w samo miłośne?

W co się obróci ta polska dziedzina —
I czem się będzie ten lud dalej bawił?
Gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił,
Już w dziejach świata wyrósł na Kaina.

My już nie pieśnią przed Tobą się żalim,
My Cię nie szablą, ani świętą bitwą —
My Ciebie, Panie! dziś już nie modlitwą —
Ale krwią serca naszego Cię chwalim!

Nie chcemy pomsty Twojego ramienia,
Lecz strzeż nas Panie od krwawej odpłaty,
I od krwi Twojej strzeż nas zatracenia,
A kraj od Twego imienia zatraty!

We krwi skąpani prośbę tę zanosim!
I już o jedno, jedno tylko prosim:
Puść w ugór ludzi, bo gdy się krwią bawią,
To już dobrego pewno nic nie sprawią.

Puść w ugór ludzi i nie spiesz się z karą,
A czyste serca pociesz Twoją wiarą —
Bo dziś nie straszno nam się stąd zabierać;
Lecz straszno Panie bez Ciebie umierać!

Z WIĘZIENIA.

WSTĘP.

Mącą się myśli — na pieśń się nie zbiera,
I obraz niknie — słowo zaumiera...
I znowu głucho... w uszach z cicha dzwoni,
I w czczą pustynię duch bez steru goni
Jak opętany za nadzieją, wieścią —
A wiecznie tylko powraca z boleścią.

Gdzież są te skarby, co mi tyle razy
Otworem stały na moje rozkazy?
Gdzie myśli moje — co się same przędły?
I kwiaty serca, co nigdy nie więdły?
Gdzie siła moja i ta wierna rzesza?
Gdzie miłość moja i łaska Mojżesza?

Z pełnem ja sercem, niby z pełną czarą,
Stałem w narodzie — i gdym silną wiarą
Piersiami memi o skałę się cisnął,
To zdrój miłości ze skały wytrysnął:
Mnie było lekko — niby po kąpieli,
A inni napój i kąpiel w nim mieli.

Dni ni spoczynku, ni pracy, ni chleba,
Tylko o krople rosy błagam nieba,
Z błogosławieństwem niech na duszę spłynie,
I przejdzie w serce, a w sercu nie zginie,
I z dawną wiarą ku niebu się rzucę —
I krople rosy zdrojem łez powrócę!...

DZIECI W DZIEDZIŃCACH WIĘZIEŃ.

Jak deszcz majowy, jako oddech rosy,
Padły na duszę mą dziecięce głosy!
Skąd tutaj odgłos niewinnej ochoty?
Jakże odwykło już od tej pieszczoty
Ucho i serce! Jakże mi was trzeba,
O dziatki moje! Wasz głos — to głos z nieba!
Bo brzmi w mej duszy niby pieśń pobożna —
Gdyby was jeszcze i zobaczyć można!

Po głowach wprawdzie znam was rybki moje!
Troje was igra — i moich jest troje!
Mnie na pociechę, co wam na zabawę!
Lecz na tem miejscu jakąż macie sprawę?

Was przecie jeszcze, choć was tu nie więżą,
Ni wam kajdany, ani myśli ciężą —
W dziedzińcach więzień wy igracie sobie!
Tak rosną kwiaty i kwitną na grobie...

Anioł-Stróż święty niech się z wami bawi!
Niech Bóg młodości waszej błogosławi!
Niech wam wesoło Boże słońce świeci,
I w dalszem życiu!...
Ktoś zawołał: „Dzieci!"
I już ucichły te anielskie głosy —
Dzięki i za to — i to kropla rosy!

STRAŻ Z LITOŚCIĄ.

Czy nie dość jeszcze złego ziemię plami?
Ktoś po węgiersku klął pod memi drzwiami:
Zatkałem uszy — ach! bo klątwa boli!
A w tem okienkiem skrzypnął ktoś powoli.
Ujrzałem Węgra, który stał na straży:
Czego chce? pytam — lecz on nic nie gada,

Dziki się ogień w jego oczach żarzy,
I krwią nabiegła twarz dzióbata, śniada.

Dzielnie wyglądał — jakoś mimowoli
Patrząc na niego poprawiłem wąsów,
A on się mojej litował niedoli,
I wkrótce przyszło mu do łez z tych dąsów.
Potem nim wstrzęsło i już się wyżalił;
Wskazał mi niebo — i plunął z pogardą,
I na pociechę pieśń zagwizdał hardą,
I zrobił ognia i lulkę zapalił.

I pyta w końcu: Czy ja lulkę palę?
Bo to rzecz dobra — a gdy mu się żalę,
Że nie mam ognia, wskazując sygara,
On mi powiada, że we drzwiach jest szpara,
A on jest Węgier i człeka kawałek,
To nie daremnie tu na wartę chodzi,
Bo kilka paczek najlepszych zapałek
Zawsze dla panów Polaków złagodzi.

Jakoż po chwili przez szpareczkę małą
Sto zakazanych zapałek wjechało;
Ja dziękowałem za taką życzliwość,
A jego zdjęła jakaś dziwna tkliwość:
— Niech się nie boją! — tak do mnie powiada —
Na Pana Boga! To nie żadna zdrada!
Niech się nie boją! Niech się pozuchwalą!
Niech wąs podkręcą i sygar zapalą! —

Tak czule prosił i z tak dobrą wiarą,
Że zapaliłem, jako chciał — sygaro,
A w piersiach uczuł, że niebieską karmą
Miłość bliźniego — choć w dzikim żołnierzu
Obcego ludu — i że człek niedarmo
O miłość ludzką prosi przy pacierzu!

Abym nie zdradził tak poczciwej wiary,
Oknom uchylił — a dym szedł w niebiosy,
Jakby z ołtarza najczystszej ofiary!
Dzięki i za to — i to kropla rosy!

DO JANA KOCHANOWSKIEGO.

Ni twej sławy, ani wczasu,
Ani myśli twych dziewiczych,
Ani nawet twego lasu,
Ani pieśni twych słowiczych
Nie zazdroszczę tobie Janie —
Boś wziął sławę za kochanie.

Bo już Polską, niby zdroje
Popłynęły myśli twoje...
Boć twa sława i twe słowo
Dziś już perłą narodową!

Boć twym wczasem my wczasujem,
Boć twem sercem my już czujem!
A twój las się zielenieje,
Pokąd pieśń twa miłość sieje...

Ale serce ci zazdrości,
Żeś na piękne trafił żniwo,
Żeś ojczyznę znał szczęśliwą
W czasach sławy i wielkości!

Żeś znał jeszcze Polskę wolną,
I pobożną i orężną —
I poczciwą, prostą, rolną,
Światłą w Bogu i potężną!

O CO CHODZI?

O co tyle walk i krzyków?
Ha! o władzę tylko chodzi!
Żądza siły słabość rodzi —
I stąd tylu niewolników,
I rządzących i rządzonych,
I trujących i otrutych,
I krwawiących i skrwawionych,
I kujących i okutych!...

Gdyby w świecie to chodziło,
Tak o dobre, jak o władzę —
Bóg by podparł ludzi siłą,
I utwierdził ich w powadze!

Gdyby człowiek był od wieka
Nad tem tylko myślał w świecie,
Jak bliźniemu sypnąć kwiecie,
Jakby dobrym zrobić człeka,
Jużby ziemia była rajem!
Lecz, że tu o władzę chodzi,
A więc człowiek piekło rodzi,
I częstujem się nawzajem
Piekłem, męką, ucztą kata;
I po każdym kacie świata
Taka pamięć pozostała,
Że do znanych już katuszy
Dodał nową mękę duszy,
Albo nową mękę ciała!

PSZCZÓŁKA.

Co widzę? pszczoła? i ledwo się rusza!
Toś ty tej nocy żałosnymi brzęki
Tak mię strwożyła — niby więźnia dusza
Tutaj zaklęta na czyścowe męki?

Jakżeś osłabła, o! moja ty biedna!
A to noc pierwsza i dopiero jedna!
Czego się zżymasz? Wszak ja się nie zżymam,
I dającć wolność, chociaż sam jej nie mam.

Nie bój się! — Wiem ja, jak źle, kiedy boli!
Ja cię posadzę na koszu powoli,
Bo tu się dla cię świat już pszczółko kończy,
Tu tylko pająk, co truciznę sączy!

Robak zgryzoty i owad nieczysty
Lęgną się społem w tej ciemnicy mglistej!
Ty leć na pola, w słoneczne ogrody,
W kwieciste łąki i tam zbieraj miody!

Źle temu wprawdzie, moja pszczółko miła!
Co drugim życie swoją pracą słodzi,
Boć do słodyczy leci trutniów siła,
A złe na wszelką pszczołę tylko godzi!

Lecz my oboje pójdziem już tym szlakiem,
I trzeba przyjąć to, co padło komu:
Ty będziesz pszczółką — i ty leć do domu!
A ja zostanę nawet tu śpiewakiem!

RANEK W OGRÓDKU WIĘŹNIÓW.

Ranek się oblókł rumianym uśmiechem,
Niebo tchnie ku mnie czerwcowym oddechem!
Cóż to za zapach w tych murach nieznany?
To z wiejskiej łąki oddech zabłąkany
Kędyś od Zboisk, czy hen od Hołoska!
Boże! mój Boże! gdzie jest nasza wioska?!
I gdzie te czasy, kiedyśmy po łące
Bujali sobie przez trawy szumiące?

O! płyń mój wietrze! niech cię w siebie biorę!
Niechaj odżyją tobą piersi chore!

I chora dusza niech odżyje tobą!
O! gdybyś wiedział, co ty niesiesz z sobą?

Ach! widzę, widzę i łąki skoszone,
I wonne siano w kopy zgromadzone:
To sianokosy — polskie sianokosy!
Dzięki i za to — i to kropla rosy!...

KSIĘGI W WIĘZIENIU.

Mam tedy księgi — a jest i Dant boski,
Tomasz a Kempis — jest i Pismo święte,
I stary Homer — i Jan Kochanowski!
Więc co na ziemi i w niebie poczęte,
Dla wszystkich wieków największe już wzory
Wiary, twórczości i serca prostoty
Dodają siły i dusznej ochoty —
I tak się czuję, jakbym nie był chory.

Cóż to za rozkosz?! Cóż to za wesele!
Dziś wielkie święto, bo się myśli rodzą —
I do więzienia starzy przyjaciele
Odwiedzić więźnia w miłości przychodzą...

Chodź poganinie! coś siedział na radzie
Upadłych bogów i królów potężnych:
Chodź stary ślepcze! Co słychać w Helladzie?
Pociesz me serce widokiem orężnych!

O! źle trafiłem — co na serce padła
Łza Andromachy — i drżenie jej ręki
Czuję w mej dłoni — i widzę jak zbladła
Twarz mej Kornelii, kiedym szedł na męki!...

Pójdź ty mój Dante! Tyś katolik stary!
I co boleści po ziemi pociekło,
Jak Bóg się wcielił — tyś w kielichu wiary
Umiał osłodzić. —

Ha! straszliwe piekło!
Kiedy Pan łaską Swoją natchnąć raczył,
Gdy z mąk rozpaczy dusza się wywlekła,
Gdym się wił wężem i w bolach przebaczył —
Strach mi szatana!
Nie chcę, nie chcę piekła!
Nie chcę i czyśca! Mam już czyśca dosyć!
I znam tę gorycz pokutnego chleba —
A trudno także nieba mi uprosić,
Bo z tą boleścią nie puszczą do nieba!
A więc i Dante mnie już nie zatrzyma,
I w całej księdze wiersza dla mnie niéma!...
Więc pójdź ty wierny Janie z Czarnolasu!
Pójdź Mości Wojski! bo ty i pocieszyć —
Ty nawet może potrafisz rozgrzeszyć,
Boś śpiewał Polsce za dobrego czasu!
Co widzę? Naród „hołd pruski" obchodzi?
O! to nie dla mnie — gdy Pan w pęta rzucił,
I nam się tylko życzyć dzisiaj godzi,
Bo nieprzyjaciół naszych Bóg odwrócił!
Więc wstań Mojżeszu! Ty coś z Panem radził.
Kiedyś w palącym cierniu Go obaczył,
I powiedz, co ci Pan objawić raczył,
Żeś lud z niewoli domu wyprowadził?
Wielcy prorocy Starego Zakonu!
O! wy wybrani wśród wezwanych wiela,
Coście znaczyli drogę Zbawiciela —
Wy mię prowadźcie do Bożego tronu!
I Święci Pańscy Nowego Przymierza!
Ogrzejcie duszę w boleściach wychłudłą —
Abym pod łaską Waszego puklerza
Ujrzał odwieczne miłosierdzia źródło!...
Wielki Tomaszu! tylko twoja księga
Tutaj potrzebna — bo nas z niebem brata,
Bo z krzyża wyszła — i do krzyża sięga,
Z którego poszło odkupienie świata!

ŚWIĘTO-JAŃSKI ROBACZEK.

Otóż i w nieszpór poszła wonna zorza...
Czerwonej nocy wieje oddech czysty —
I już nad oknem stanął wóz gwieździsty;
A mnie nie ciągnie jeszcze nic do łoża.

Cudowna ciszo tej gwieździstej nocy!
Tysiącem świateł niebieskich pobożna...
Póki ku tobie westchnąć jeszcze można,
Póty nie powiem, żem uległ przemocy.

Coś mi mignęło — czy się gwiazdka czyści?
Muszę zamyśleć — może się uiści!
Nie — to nie gwiazda, jakom zrazu sądził —
To Świętojański robaczek tu zbłądził...

Na czem-że siedzisz mój miły robaczku?
O! tu masz kwiaty, co mi dzieci dały —
Świeże i wonne — choć w więzieniu stały,
Toć przysiądź chwilkę na tym małym krzaczku!

Czy ci zabrakło już na łące woni?
Czy nie dość mruku wśród paproci cieniu?
Czy chcesz jak gwiazda świecić w tem więzieniu?
Że aż w te strony twe skrzydełko goni?

Jest stara powieść o kwiecie paproci,
Co kędyś kwitnie niedojrzane oku;
Ty go znasz dobrze, bo w uroczym mroku
Tylko twa gwiazdka chwile jego złoci...

A więc ty pojmiesz także nasze pieśni,
Co rosną w mroku nocą wypłakane,
Jak kwiat paproci tchem grobu owiane —
O których po dniu świat nawet i nie śni.
Jak twoje światło tak mdło duch twój świeci,
A jeśli mroki na chwilkę ozłoci,

I jak promyczek ponad groby wzleci —
To zaraz gaśnie, niby kwiat paproci...

TAJEMNE SĄ SĄDY BOŻE.

Może to może z Bożego przejrzenia
Polskie klasztory zmienione w więzienia?
Może tym znakiem Pan nas ostrzedz raczył,
Ażeby naród z błędu się obaczył —
Ażeby więzień został pokutnikiem,
I na świat wracał tylko zakonnikiem...

Może to dziadów zasługa przed Bogiem,
Co mur ten cichej pobożności wzniosła,
Sprawiła w niebie, by w nas za tym progiem
Palma pokoju dla narodu wzrosła...

Świat krwią odkupić nie jest ludziom dane —
Lecz pozwól Panie! pozwól w to uwierzyć,
Że nam cierpienia nie darmo zesłane,
Że dobrą wolą wolno prawdę szerzyć!

Skrusz nas w boleści i dotknij nas chłostą,
Ale wróć serce, wróć nam duszę prostą,
I stwierdź w nas prawdę Twojego zakonu —
Byśmy w zakonie szli do Twego tronu!...

LEGENDA WIĘŹNIA.

KARTECZKA DO ŻONY.

Kto to zgadnie, co rozgrzeszy,
Lub co człeka w rozpacz rzuci?
Co go strwoży i zasmuci?
Lub jak anioł go pocieszy?

Dzień szczęśliwy miałem wczora
Od świtania do wieczora —

I proś Boga najgoręcej
By dni takich dał mi więcej.

Pewnie spytasz o powody?
Cud pojmujem tylko wiarą —
Więc nie pojmiesz — chyba wprzódy
Opowiem ci powieść starą:

— Pod kądzielą nachylona
Przenajświętsza siadła prządka;
Jezus igrał u wrzeciona —
A zły pająk patrzał z kątka.

I tajemnie zawiść żywił,
Że tak cudnie Marya przędzie,
I Najświętszej się sprzeciwił,
Że prząść od Niej cieniej będzie.

Bóg go za to przeklął w niebie,
Stąd truciznę snuje z siebie,
A Aniele nim się brzydzą,
A ludzie go nienawidzą.

Gdym się ze snu wczoraj cucił
Przy porannej zorzy blasku —
I do Maryi wzrok obrócił,
Siedział pająk na obrazku.

Więc skarciłem jego buty,
Choć się chował, choć się bronił —
Nie spocząłem przecie póty,
Pókim oknem nie wygonił.

A szanując ludu wiarę,
Nie zabiłem go za karę,
Bo mu wiecznie karą będzie,
Że Najświętsza piękniej przędzie.

Gdym siadł znowu na pościeli,
Padł na obraz promień słońca —

A do duszy myśl mi strzeli:
Biedny więzień Twój obrońca!

I cudowne jakieś blaski
Oświeciły twarz najświętszą!
I modlitwą najgorętszą
Dziękowałem za Jej łaski!

I przybyło mi pociechy,
Jak obrońcom Jej zakonu —
Jakbym wszystkie moje grzechy
Był wypłakał u Jej tronu!...

SKOWRONEK I DZWONEK.

Najrańszy śpiewak to nasz skowronek —
I dnia zwiastunem jest mały dzwonek...
Kiedy śpią jeszcze dzwony stolicy,
Ptaszek pieśń nuci Boga-Rodzicy:
I mała rybka budzi się w zdroju,
I w kwietne łąki pospiesza pszczółka,
I wstają ludzie pracy, pokoju,
A dzwonek mały z wieży kościółka
Gdy pozdrowienie Anielskie dzwoni,
To niby łezki po rosie roni...

Kogo Bóg w łasce tak pięknie stworzy,
Że równo z ptaszkiem zrozumie ranek,
I równo z dzwonkiem wita dzień Boży:
Temu się życie złoży jak wianek,
Bo mu i ranek nie będzie marny,
Ni młodość jego będzie daremną,
I dzionek dalszy nie będzie skwarny,
I wieczór piękny i noc nie ciemna:
Bo pojmie ziemię w śpiewie skowronka,
A głosy nieba w odgłosie dzwonka.

Niechaj wam dzieci Bóg błogosławi!
Niechaj Stróż-Anioł waszej młodości
W imię skowronka i dzwonka sprawi,
Byście się znały tutaj za gości;
Jak pieśń skowronka niech życie spłynie —
Miła niech pamięć po was zostanie
Jako po gościu w polskiej dziedzinie,
Ciche niech będzie wasze zaranie,
I każdy dobry czyn wasz zakryty,
Wieczór spokojny, dzień pracowity.

Tego wam życzę z mego więzienia:
Ja tu nie słyszę pieśni skowronka —
Tylko mi głosi pieśń pozdrowienia,
Ten rzewny odgłos rannego dzwonka...

NASZE WIECZORY.

KARTECZKA DO ŻONY.

Pytasz mię, pytasz: jak mi wieczór schodzi!
O! jest tu więzień, co życie nam słodzi;
Odkąd u okien nie mamy już kłódki,
A maj na niebie — każdy wieczór krótki.

Wojskowi więźnie obok nas tu siedzą
Już od lat siedmiu — i jest między nimi
Człowiek, o którym tyle tylko wiedzą,
Że śpiewa pieśni illiryjskich ziemi.

Czy go tak strzegą, czy sam nie chce może,
Dosyć, że nigdy do ściany nie puka,
Ani rozmowy u kraty nie szuka;
Lecz gdy otrąbią wieczorne zorze,
Gdy kajdan, kłódek już brzęk zaumiera,
Gdy odgłos dzwonów i bębnów ustaje —
Wówczas to jego okno się otwiera,
I najprzód cichy brzęk się słyszeć daje

Włoskiej gitary — i jakieś kwilenia
Ozwą się czasem niby od niechcenia,
Niby myśl zbiera, niby piersi stroi,
Niby płacz dziecka tem kwileniem koi.

A gdy już boleść serca ułagodzi,
Wówczas głos wielki — jak rzeka wychodzi,
I płynie... dzielnie, rycersko i śmiało
Z potężnej piersi, narodową chwałą...
I coraz rośnie — i wzbiera jak morze,
Aż się tam trąci gdzieś o gwiazdy Boże!...
Lecz miłość jego — to cierniowy wieniec,
Więc od gwiazd pada niby potępieniec!

Ach! bo też każde głosy narodowe,
Jeśli są wielkie — to głosy czyścowe!...
To też przechodzi w rozstrój tak zawiły,
Iż rozpacz bierze — bo już niema siły,
Ażeby wybrnąć z tej toni rozstroju!
A przecie, przecie tak się z niej wywikła,
Że cudem prawie gdzieś i rozpacz znikła;
I z jasnych niebios, jak anioł pokoju,
Zstępuje znowu nadzieja słoneczna,
I Bóg powraca znów do ziemi żyznej,
A szczęście wraca znowu do ojczyzny —
A świadkiem tego tylko droga mleczna...

I ni rdzy w głosie, ani w duszy skazy,
I ni do świata, ni ludzi urazy —
A przecież, przecież mówi coś w tym głosie
I o ojczystym i o własnym losie,
I o nieszczęściach kochanego kraju —
I w tej boleści straconego raju
Nieraz ku niebu tak w górę wypędzi,
Iż wierzyć trzeba, że to śpiew łabędzi —
Że się z ostatnią nutą życie skończy,
A tu się sznurek pereł z nieba sączy,

Rośnie w kaskadę, i wraca na ziemię
Znowu potężny i wzniosły i czysty,
Tryumfujący jak cherub ognisty,
Co ma podźwignąć całe ludzkie plemię!

Gdy wczoraj skończył pieśń o późnej dobie,
Westchnąłem w niebo i myślałem sobie,
Że pięknej duszy padła dola taka!
Żal mi rycerza i żal mi śpiewaka!
My krwią zbryzgani, toć i kary godni,
Ale ten człowiek — jakiej winien zbrodni?
Wróć go! o Panie! wróć na ziemie żyzne,
Kiedy tak bardzo kocha swą ojczyznę!
Bo szkoda, szkoda, by krew taka bladła,
I taka miłość dla świata przepadła.

DO WRÓBLA.

Śmiali się z Trembeckiego, że rad wróble chował,
A i jam tego nigdy dawniej nie pojmował,
Ale dzisiaj pojmuję — trzeba być samotnym,
To się zbierze na przyjaźń nawet z wróblem trzpiotnym!

Bo i któżby odwiedzał więźnia tak statecznie?
I ktoby jego strawą dzielił się tak grzecznie,
Jako duch ten skrzydlaty — ten wróbel szarawy,
Co tu na koszu siada — siada bez obawy.

Jaskółeczka byłaby więcej poetyczna,
Ale wróbel przyjaciel i sztuka fertyczna,
Niby pauper krakowski — co to kiedy strzeli,
To nie wiedzieć czem serce dziwnie rozweseli.

A i obywatelskie ma także zasługi —
Bo gdy ptastwo nas rzuca w czasie zimy długiej,
On, wierny syn ojczyzny, pozostaje z nami,
I wiernie dzieli losy nawet i z więźniami.

Niechaj więc inni sobie orła loty chwalą,
Niech się razem z słowikiem w ciemnych lasach żalą —
Ja chwalę wśród tych murów wróbla przyjaciela,
Towarzysza, współwięźnia i obywatela.

KARTECZKA DO ŻONY

Z NOWEGO WIĘZIENIA.

Jak mi? pytasz — Jakby w domu —
Szczupło, biało — ład i cisza!
Nie mam wprawdzie towarzysza,
To i bluźnić nie ma komu!

Czasem, kiedy się zapomnę,
To na chwilę nawet miło,
Zda się, jakby mi wróciło
Znów w klasztorze życie skromne.

Ściany białe i chędogie,
Celka mała i samotna,
Do dumania myśl ochotna —
Życie ciche i ubogie.

Umysł skłonny i posłuszny,
Co się wyrzekł woli własnej,
A świat cały w księdze krasnej
I w modlitwie tylko dusznej.

Nie mam myśli, chęci płonnych,
Górą widna smuga nieba,
Niżej parę drzew zielonych —
Czegoż więcej mi potrzeba?

DZIEŃ WIĘŹNIA.

Z rana naklnie dozorca na dobry dzień codzień,
I podzwonią w kajdany zbóje posługacze —
I ledwo, że odejdzie ze zbójami zbrodzień,
A już do mnie przez ściany mój sąsiad kołacze!

I sen mi opowiada i wróżby złowieszcze,
I przeczucia okropne — lecz nim skończy jeszcze,
Słychać jęk w korytarzach — więc do drzwi co żyje,
I tylko przez dwie godzin w kole idą kije.

I więźnie na przemiany wywodzeni z kaźni;
A kogo jeszcze i to nie dosyć podraźni,
Tego biorą na śledztwo lub do krajnej wieży,
Gdzie co ranek przez rózgi puszczają żołnierzy.

Bo to na widok chłosty serce więźnia mięknie,
I co wiedział, nie wiedział, to wyśpiewa pięknie —
Koło południa z śledztwa wracają więźniowie,
I jak ziarnka w klepsydrze tak słowo po słowie
Cedzi się przepukane przez ścianę do duszy —
I do samotnych dumań dodaje katuszy...

Bo ten zdradził, ów kłamie, a ów się zatrwożył,
I całą już nadzieję w pokorze położył;
O innym wieść obiega, że zmysły postradał,
O innym, że na śledztwie od niemocy padał.

Inny zażądał księdza, ktoś inny doktora,
A jakiś ktoś nieznany chciał się wieszać wczora,
Ale go oderżnięto i dano złodzieja,
By do duszy na nowo wróciła nadzieja —
Innym dano kajdany, kogoś wywieziono
Do szpitalu z litości — a ktoś umarł pono.

Gdy kto temi wieściami nie dość jeszcze struty,
To go pewnie dosięgną współwięźniów wyrzuty,

I cedzą się przez ścianę takie słowa wrzące,
Jakby nie dość to piekło było już gorące!

Szczęściem łomot u kłódek przerywa rozmowy,
I nasamprzód na więźnie pada wzrok surowy,
A potem mu na progu kładą jego strawę —
Sześć bagnetów zjeżonych otwartych drzwi strzeże:
Z trwogą zrywa się więzień i swój obiad bierze,
I gdy drzwi się zatrzasną, stawia go na ławę,
Co mu łożem i stołem, krzesłem i klęcznikiem,
Ale sto razy łyżkę przychodzi odłożyć,
Zanim się czego dotknie skolczałym językiem!

Bo gardło już ściśnięte, gorycz przełknąć trudno,
I jeść się niby nie chce, choć od czczości nudno,
I kiedy skrzepłą strawę nareszcie zamąci —
Wstręt bierze, bo to szczurem i stęchlizną trąci.
O! kto ze łzami nie pożywał chleba,
Kto nie przepłakał na swem łożu nocy,
Kto nie przyzywał w więzach łaski nieba —
Ten Cię nie poznał Boże wielkiej mocy!

NIE FRASZKI, LECZ PTASZKI.

Nawet Jan z Czarnolasu pisał dla igraszki
Przeplatane łaciną krotochwilne f r a s z k i —
Lecz że mię nie stać wcale na żarty pocieszne,
Ni koncepta dowcipne, ni ucinki grzeszne,
A gdy przecież co chwila jakaś myśl mi spada,
Podobnie jak ten wróbel, co na koszu siada,
Zaświergoce, podskoczy i znowu odleci —
Rozumiem, że nastawić trzeba na nią sieci.

Bo przecie i ten wróbel coś na świecie znaczy,
Co tu na moim koszu często przysiąść raczy,
A gdy jego świergoty mają już znaczenie,
Nie będzie bez znaczenia i myśli furknienie...

Ni wysoko ja lecieć, ni daleko będę,
A jak wróbel na koszku tylko chwilę siędę —
U starych te podrywki zwały się f r a s z k a m i,
My językiem więzienia zwiemy je p t a s z k a m i.

Bo gdy wróbel przyleci i na koszu siędzie,
Zawsze jakaś myśl nowa z ptaszyną przybędzie,
I obejdzie więzienia przez mur przepukana,
Lub żywem słowem nocą przez kratę podana.

PTASZKI.

Cnota, piękność i sztuka, sama nawet wiara;
Rozum, nagroda, kara — to wszystko jest miara.

Mierność — to rzecz powszednia, lecz miara — rzecz [wielka!
I tylko wielką miarą stoi wielkość wszelka.

Jest męczenników takich na ziemi nie mało,
Dla których w księdze męczeństw miejsca już nie stało!

Kto pobudką świętości zdoła być przejętym —
I kto święte pojmuje — ten zostaje świętym!

Tłum zwykle podły i chodzi bez myśli,
Bo ci, co myślą, już ze tłumu wyszli.

Żal to nie wielki, gdy go stać na słowa:
W żalu największym niemieje wymowa.

Kto cicho w życiu spłacił wszystkie długi,
O tym świat mówi, że był bez zasługi.

Największe prawdy są od wieków znane,
Bo są od wieków przez Boga nam dane —
I człek się darmo na nowe wysila;
Lecz nowe zbrodnie stwarza świat co chwila.

Najlichsza płaca światowa zapłata,
Bo kto już wielką wartość ma u świata,
Temu najlichszą świat płacić zwykł strawą:
Oklaskiem w życiu, a po śmierci sławą.

Łącząc swe losy z ojczyzny losami
Pamiętać trzeba na siebie o tyle,
Że naród może szafować wiekami,
A człek w szafunku dostał tylko chwilę.

Gdy się człek więcej ze światem nie liczy,
Gdy mało kocha, a nic nie dziedziczy:
Na ziemi wówczas ceni pożyteczne —
A wzdycha duszą ku temu — co wieczne.

Kto w niebie, bywa zwykle obojętny
I na swą przyszłość bywa niepamiętny —
Aż go boleśnie świat trąci potrzebą,
A od swych skarbów odepchnie go niebo...

Gdyby świat sławę dał, gdy jej człek pragnie,
I bez pokuty w sumieniu rozgrzeszył —
Toby się może człek sławą pocieszył:
Ale że sławi, gdy do grobu nagnie —

Razem z miłością i sława odpada,
I tego łechce, kto jej nie posiada...

Zwykle owłada duma umysł twardy,
Lecz duma nie jest uczuciem dzielności,
Bo dzielność idzie z poczczenia wielkości,
A źródłem dumy uczucie pogardy.

Co człowiekowi najwięcej pokrewne?
To co jest grzeszne a wdzięcznie ujęte,
Więcej mu obce, co czyste i rzewne,
A już zupełnie nieznane — co święte!

Geniusz by wzleciał archanioła skrzydłem
Prosto ku niebu — skąd mu światło błyska,
Gdyby mu duma nie była wędzidłem,
Co go ciężarem do ziemi przyciska."

Wielka rzecz, wielka, w o l a j a k z e s t a l i —
Ale rzecz większa, kiedy życie boli,
Mieć dobrą wolę — a gdy zemsta pali,
To już największa wyrzec się z ł e j w o l i!

Chociaż świat Krzyża jest ukrzyżowany,
Słowa Bożego tak już nikt nie słucha,
Że już niebawem chrześcijańskiego ducha
Będzie najwięcej pomiędzy pogany!

Niech kto wśród pogan sprawdzi prawdę Bożą:
Kołataj! mówią — a drzwi ci otworzą!

Ha, kołatałem — i modlitwa szczera
Nawet do nieba doszła z mą potrzebą,
Że mi z pociechą przybyło już niebo —
Lecz drzwi i kłódek nikt mi nie otwiera!...

Jeżeli geniusz z dumy się oczyści,
I co wziął z nieba znów niebu odpłaci,
I obietnicę Pańską w sobie ziści —
To już dla siebie cały urok traci,
I nikt go nie zna na obszarze świata,
Skoro się tylko z Świętymi pobrata.

Chwila uniesień duszy nie wysila,
I kto ma skrzydła, temu lekko w locie,
Jako skot łatwa poświęcenia chwila,
I do poświęceń zachęca gwiazd krocie...
Ale na drodze obowiązku ciernie —
I podróż na niej i krwawa i długa!
I po tej drodze pójść do końca wiernie,
To nie u ludzi — ale jest zasługa.

Ani w radzie,
Ni w gromadzie,
Nigdy człeka nie osądzisz —
Bo gromada daje hart —
Lecz chcesz wiedzieć, co jest wart,
Staw samego, a nie zbłądzisz —
Jeśli próby sam dotrzyma,
Ty go wobec wroga staw —
A kto stanie i tam praw,
Dla tego już próby niema!

Łatwiej urość w sławy dymie,
Niż utrzymać sławne imię —

Łatwiej sypnąć światu dary,
Niż zapłacić jest dług stary:
Łatwiej w życiu dojść szczytności,
Łatwiej nawet się poświęcić,
I do cnoty świat zachęcić:
Niż dopełnić powinności —
Stąd ci radzę: nie o chwałę
Ale dbaj o imię całe!

Bóg twoim świadkiem — człowiek twoim bratem —
Przestań na sobie, nie licz się ze światem,
Niech nie wie lewa, co czyni twa prawa —
Taka po Bogu na ziemi ustawa!
Jeśli nią pójdziesz, to pamiętaj o tem,
Że świat zwykł płacić: sławą, krwią i złotem!
Więc strzeż się dłużny pozostać w czem światu,
Bo twoje zginie, coś dał w dobrej wierze —
Ale świat swoje i z grobu odbierze,
A i brat nawet nie przepuści bratu!
Lecz jak się z tobą po swemu obliczy,
To tyle doda do lichwy goryczy,
I z takim gwałtem zmusi do wypicia,
Że nie dosłodzisz niczem więcej życia!

DZBAN STŁUCZONY.

DNIA 7 LIPCA 1846.

Dzień dobry ślę wam! Szczególna przygoda!
Gdym dzisiaj rano sprzątał w kaźni mojej,
Strzelił dzban nagle, co na półce stoi,
I pękł na dwoje, i wyciekła woda...
A kiedy później nadszedł więzień stary,
Co od miesięcy kilku mi tu służy,
Rzekł mi po chwili: To ledwo do wiary,
Że sam pękł dzbanek — lecz to dobrze wróży!

A potem patrzył przed się zadumany:
— Dobry znak, panie — i pociecha duszy —
Gdy się sam z siebie dzban niewoli kruszy,
To się rozstąpią już dla was te ściany!

Wkrótce o! wkrótce wolni już będziecie —
Lecz pamiętajcie tam o mnie na świecie;
Bom ja jak andrus trapił ludzi srogo,
To też na świecie nie mam tam nikogo!

Wy może dzisiaj a jutro najdalej
Będziecie wolni! więc już nie dam wody,
Bo już pragnienie piersi nie przepali —
Gdy Bóg pociechę ześle na ochłody!...

I wziął skorupy i dłużej nie bawił,
I kajdanami podzwonił w swą drogę...
I z niepokojem wróżby mię zostawił —
Bo już o niczem myśleć dziś nie mogę.

DO MOJEGO NASTĘPCY W WIĘZIENIU.

Gdy się zamknięty ujrzysz za tym progiem,
Myśl tylko o tem, byś stał dobrze z Bogiem,
Przebacz, a zstąpi do cię Anioł Boży —
Nie rwij twych kajdan, a Bóg drzwi otworzy.

Jeżeli wina nad tobą zacięży,
Popraw się w sercu — a Bóg cię rozgrzeszy!
Jeśli niewinnie świat cię uciemięży,
To dziękuj niebu, bo Bóg cię pocieszy!

Niewinnie cierpieć i przebaczyć szczerze —
O! tej rozkoszy świat ci nie zabierze;
Więc cierp i miłuj — a reszty nie pytaj,
I codzień z rana słowa te odczytaj!

Zrazu jak wrogom będziesz mi złorzeczyć,
Ale czem dłużej będziesz tutaj bawił,
O! tem mniej zdołasz słowu wiary przeczyć,
A w końcu nawet będziesz błogosławił.

I co złe tylko, to tutaj zostawisz,
I wyjdziesz lepszy i pobłogosławisz
Twemu następcy i tej jego sprawie —
Jako ja dzisiaj tobie błogosławię!

ZAKOŃCZENIE.

Zamykam księgi nieszczęścia i sromu,
W gronie pryjaciół i we własnym domu!
Kończę nie własne, ale więźnia dzieje —
Bo cały naród przeszedł te koleje,
I całe nasze polskie pokolenie
Niby przez czyściec przeszło przez więzienie...
Trzykroć szczęśliwy! kogo czyściec zczyści!
I na kim swoje obietnice ziści
Pan w miłosierdziu! Lecz kto bez poprawy
Z więzienia wyszedł — ten jest bez sumienia,
Ten niech nie tyka Pospolitej sprawy;
Bo Bóg napróżno nie zsyła cierpienia!

GODŁO ŻYCIA.

Wiernie stanąć u przeszłości,
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczcić dzieje,
A w świat przyszły siać miłości.

Ziemię z niebem związać społem,
Serce z Bogiem — myśl z narodem,
Słowem, wzorem iść mu przodem
I przymierza opleść kołem;
Nie poranić, nie podwoić,
Lecz miłością bole koić,
Pracą ducha uszlachetnić,
I uwiecznić i uświetnić:
To zadanie zacnej młodzi —
I ojczyźnie to się godzi...
To zadanie sztuki, śpiewu,
Mężów prawdy i posiewu
Dobrego w ojczyźnie.

OSTATNIA PIEŚŃ JANUSZOWA.

POEMAT

ZNALEZIONY W POŚMIERTNYCH PAPIERACH POETY.

Niech Bóg łaskę Swoją daje!
Gdy przed wami jeszcze staje
Śpiewak pieśni stu!
A gdy koło już dobiega,
To wam jeszcze pieśń u brzega
Trzeba złożyć tu!

Pieśń — i pieśni serce niosło!
W pieśni żyło — w pieśni rosło —
Ot i zbiegło z lat...
Cóż Wam jeszcze będę gadał?
Kiedym duszę wyspowiadał
Na ten polski świat.

Niech nikt lekko nie ocenia
Pieśni ducha i natchnienia,
Kto chce w dziejach żyć!
Bo pieśń z Boga idzie zbożna:
O! a bez niej to nie można
I narodem być!

W erze pieśni pieśnią stojem —
Gdy świat trzeźwy z niepokojem
Wżył się w życia kał!...
I miłości tylko siejem —
Kiedy w ziemi wróg złodziejem
Krew serdeczną lał.

Jeślim jęknął w tej boleści:
To krzyk duszy miejcie w cześci,
Jak Ojczyzny jęk!
Bo krzyż dźwignąć nie tak snadnie!
Kto go nie niósł — ten nie padnie
W on śmiertelny lęk!

Co w Was żyło — to podniosłem —
I wraz z Wami w pieśni rosłem,
Jako wierny druh:
A z zapałów i z miłości
Sercem czyści, duchem prości
Wzięli polski duch!

Co z Bożego było daru —
To Wam dałem jak z puharu:
I wypity jest!
I obeszła pieśń koleją
Sercem, wiarą i nadzieją
Jako krwawy chrzest!

Jam szedł wiernie Piastów niwą —
A me serce trumną żywą
Było przez mój wiek:
By umarłe z grobu wstało
I kochane ukochało
Was na wieczny wiek!

Nie zwątpiłem w żadnej dobie:
Bom na Bogu — nie na sobie
Założył mój grunt!
I do walki powołany
Brałem pęta i kajdany:
Był to Boży bunt!

Była chwila po pogromie,
Gdzie stać mogła na wyłomie
Tylko pieśń jak duch!

Pieśń jak upiór i jak mara:
Aż znów miłość, aż znów wiara
Pchnęła duszę w ruch!

Wskrzeszać zmarłe do żywota —
Owo polska siła, cnota!
To nasz w dziejach prąd!...
Jest krzyżowy rycerz polski —
I jest Zakon Apostolski:
I stąd chwała — stąd!

Nie umiecie dobrej sławy,
Wielkiej myśli, świętej sprawy,
Podjąć — kiedy czas:
Stąd czekamy już od wieka
Wielkich czynów i człowieka...
Próżno pośród nas!...

Inni wielkie myśli rodzą —
Inni wielkie myśli wodzą
I wcielają w czyn:
Lecz tam sztandar i wódz stanie —
Gdzie bez granic miłowanie
Pojmie każdy syn!

Miłość — miłość i ofiara!
To narodu rola stara,
Którą przeszedł pług!
Taką rolę wyoraną —
Polskiej dziatwie w spadku dano
A siał ją sam Bóg!

Dla Was tylko jedna droga:
Ta — co wiedzie wprost do Boga,
Wasz dziejowy szlak!
Kiedy serc tysiące wtórzą —
Myślą wieku, wieku burzą,
Na jedności znak!

„Służby! pracy! ludu! miary!
I miłości i ofiary!“
Woła na nas wiek —
Bożym wzorem kto nie umie
Stać w miłości i w rozumie:
Luźny w ziemi człek!

Miłość z ducha i z tych kości:
Karność pierwszy akt miłości
I tutaj i tam!
Marnie przejdzie, zejdzie marnie,
Kto nie stanie w Bogu karnie
U dziejowych bram!

Stańcie w Bogu — w prawdzie nadzy!
Owo droga jest do władzy
Jaką daje Bóg:
Bez pokory wielkich duchów
Niema władzy, ni posłuchów,
Ani w życiu dróg!

Tajne ścieżki, drogi kręte,
Od niewoli synów wzięte
Rzućcie od się precz!
W nędznej pracy serce stygnie —
Kto padł duchem — ten nie dźwignie
Archanioła miecz!

Archanielskich trzeba mieczy
I mądrości, by w odsieczy
Zdobyć palmę palm!
Gdy do walnej przyjdzie bitwy
Nie czas wtedy na modlitwy
Ani też na psalm!

Czy tak będzie z Wami zawdy,
Że wy nigdy nagiej prawdy
Nie zdołacie znieść?!

Że mieć chcecie w nienawiści
Tych, co dobrzy i co czyści,
Choć im świat niósł cześć?!

Dumaż, chciwość Was w obłędzie
I niezgoda wodzić będzie?
Czy tak będzie zawd?!
Że Wasz obóz bez starszyzny,
Bez karności — i spuścizny
Bożych będzie prawd?

Jam ze światem się nie liczył —
Ale mnie świat pokaléczył,
Gdy mnie liczyć jął!
Krótka liczba: w walce stałem --
I z miłości ziemi dałem,
Com od Boga wziął.

Gdy za lichą losów gwiazdą
Począł kalać polskie gniazdo
Podły z rodu ptak:
Jam umarłych wskrzesił w grobie --
By świadectwo dali tobie:
Że nie było tak!

A pojmiecie? co to trzeba:
Chwycić iskrę życia z nieba
By umarły wstał! —
I o wierze i o wieku,
O narodzie i człowieku
Sam świadectwo dał!!

Gdzież śpiewaki? — Było tylu!
Dziś ostatni już na chylu
Pieśń ostatnią gra! —
Gdzież słuchacze? — Ach! jak wielu
Do jednego biegło celu...
A dziś — kto ich zna?!

Gdzież są tamci, co słuchali
Pierwszych pieśni grania fali,
Co płynęła w świat?...
Gdzież słuchacze moi wcześni?
I kto śledził ciąg mych pieśni?
Kto żyw z onych lat??...

O tyś jeszcze ziemio żywa!
I nadzieją miłościwa!
Jest Bóg tu i tam!
Hej! mogiły — skały — zdroje!
Stepy! orły! dęby moje —
Was ja jeszcze mam!

Bóg skrzętnemu żyzne kraje,
A dzielnemu wolność daje,
W wielkim rządzie swym —
Więc obrońcy ziemi męstwo,
Wiernej duszy da zwycięstwo
Nad ciemnym i złym!

Bądźcie zdrowi! — i szczęśliwsi!
Czulsi, lepsi, radni, żywsi,
Niż nam wolno być —
I daj Boże w starym dworze,
W chacie ludu i w klasztorze
Pieśnią z Wami żyć!

Tą miłością, jakąm witał
I o serca Wasze pytał,
Żegnam dzisiaj Was,
Resztą pieśni niedogranych
I pamiątek ukochanych...
Czas do domu — czas!...

SPIS RZECZY.

Str.

Wincenty Pol V

PIEŚNI JANUSZA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Wstęp.

Śpiew Janusza 1
Dumka 5

Pieśni.

Konfederat 5
Białe orlę 7
Szabla hetmańska 9
Dzwon 12
Obóz moskiewski pod Kownem 13
Pożegnanie 15
Sokół 16
Szlachta na winie 18
Napad 24
Pobojowisko pod Wawrem 26
Gospodyni 27
Pieśń ułanów po zwycięstwie pod Wawrem . . 28
Kłopot pannom z Czwartakami 29
Dziad z Korony 32
Pożajście 37
Proklamacya Chorążego 38
Placówka pod Birutą 43
Matuszewicz w Trokach 45
Niedola 49
Podjazd 49
Patrol 51
Pan Różycki 52
Powstanie litewskie 53
Dumy Widorta 54

Str.

Hetman złotobrody 57
Guldja hetmańska 59
Pieśń do miodu 59
Wachmistrz Dorosz na Litwie 62
Polka 70
Obraz cudowny 71
Maroderka 72
Pieśń za Bugiem 73
Sława Bogu 75
Powrót konia 76
Stary ułan pod Brodnicą 77
Śpiew z mogiły 78
Pożegnanie na Kalwaryi 80
Nocleg w Czersku 83
Belwederczyk 84
Pierwsza rocznica 29 listopada obchodzona w rzeszy niemieckiej 85
Chata w puszczy 87
Jeńcy 88
Skon naszych wrogów 90
Do pamiętnika pannie Sabinie 91
Do pamiętnika pannie Antoninie 91
Wieczór przy kominie 92
Proroctwo kapłana polskiego 97

CZĘŚĆ DRUGA.

Pieśń o Krakusowym grodzie 99
Szajne-katarynka 107
Historya szewca Jana Kilińskiego 137

CZĘŚĆ TRZECIA.

Z podróży 159
Z życia 198
Z więzienia 215
Ostatnia pieśń Januszowa 241

Czcionkami K. Miarki, Sp. z ogr. por., w Mikołowie.

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XXIX.

DZIEŁA
WINCENTEGO POLA.

TOM II.

MIKOŁÓW—CZĘSTOCHOWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI
SP. Z OGR. POR.

Poezye drobne.

WIDZENIE JANUSZA.

Trzykroć pochwalon w każdej potrzebie
Bądź Panie ojców, na niebie!
I ty przed Bogiem czeladzi karna,
I ty święta ziemio czarna!

Narodzie polski! ku twojej cześci
Dziś ja głos wielki podnoszę;
I ducha mego z morza boleści
Puszczam na wieszcze rozkosze.

Bóg mię w boleści skąpał aż na dnie,
Aby miał ze mnie narzędzie,
I oczyszczony, wiem dziś, co padnie,
I widzę jasno, co będzie!

Narodzie polski, jak źródło żywy,
Krwią spotniały, zapoznany,
Jak miłosierdzie Boże cierpliwy,
Niewolą ciężką złamany:

Bóg cię wybawi! — boś w nim ocalał,
Ze krwi wybawi cię ludu!
I będzie język Pana wychwalał,
Pana zbawienia i cudu!

Hańba dzisiejsza ku twojej cześci
I ból ku zdrowiu ci szkodzi,
O więc błogosław twojej boleści,
Bo nowy świat się z niej rodzi...

Dzień ten już blizki! na niebie krwawem
Bóg go swym gniewem obłoży;
Gdy łez nie stanie w żywocie łzawym,
A śmierć głodowa świat zmorzy:

Wówczas zapłoną ducha kagańce,
Trzykroć się zburzą narody,
Wszystkie się zburzą po morza krańce
I pójdą w krwawe zawody.

I piersi ogień rozgrzeje święty,
I będą prawdą potężni!
Z Bogiem i w Bogu bój rozpoczęty
Podniosą w miłość orężni.

I staną w boju jak nieśmiertelni!
I już po bojach skończonych,
Ani zwycięzców, ni zwyciężonych,
Lecz będą wolni i dzielni!

Polska się dźwignie jak trawa w maju!
I naród polski nie marnie
W wielkiej równinie o brzeg Dunaju
Po tym się boju wygarnie.

Z pradziadów kosą ściągną P o l a n i e,
Z strzelbą lud celny, l a s o w y.
Z toporem w ręku g ó r s k i lud stanie,
A konno, z dzidą, s t e p o w y.

I będzie widać mnogie sukmany,
Kędy człek okiem zamierzy;
Nad kmiecą sprawą lud zadumany,
W poważną radę uderzy.

I trzy dni spłynie na rozhoworze
O pospolitej drużynie,
A po raz pierwszy, odkąd kmieć orze,
Prawda dla ludu wypłynie.

Czysta, jak w Tatrach woda źródłowa,
Spokojna, jak dzieje wioski,
Jako nowina polska surowa,
A krótka, jako sąd Boski.

I na dniu czwartym, obejdzie zorze
Witane głosy mnogiemi,
A kmieć najstarszy pługiem oborze
Prawa dokoła tej ziemi.

A potem każdy, poczcić dzień święty,
Bogu przyniesie snop w darze;
A snop ten będzie świeżo użęty
W domu na wolnym obszarze.

I stos się wzniesie setnie wysłany,
Nim dzień się skłoni do zmierzchu;
Jarzmo wołowe, knut i kajdany,
Położy naród na wierzchu.

I stanie wszystek czołem w niebiosy,
I ogień spadnie mu z nieba;
A pospolite ozwą się głosy:
„Boże! swobody i chleba!"

I będzie płonął stos ów wysoki
Na wielki podziw narodu,
A łuna jego skrwawi obłoki
Od wschodu aż do zachodu.

I będzie płonął i wszystek spłonie,
A potem zbroję bogatą
Kmieć na wychłódłym położy trzonie
I krzywą szablę szczerbatą.

Bo tylko pamięć krzywej szablicy
W tysiącu bitwach wsławiona,
Z złotym obrazkiem Bogarodzicy
Będzie z przeszłości poczczona.

Lud tę szablicę poczci mogiłą
I wielką pieśnią na stypie;
I taki kopiec nad nią usypie,
Jakiego w Polsce nie było!

A potem, aby stało się zadość
Pismom i słowom proroczym,
Lud do kościołów sercem ochoczém
Poniesie Bogu swą radość.

I wszystek w ciszy popielgrzymuje
Pod Jasną Górę i rano
Najświętszą Pannę ukoronuje
Koroną z Rzymu przysłaną.

A o ciemiężcach i o tyranach
I o zapasach z tym wrogiem
Wieść pozostanie, jak o szatanach,
Co na bój śmieli iść z Bogiem.

JESZCZE PIEŚŃ JANUSZOWA.

Śpiewak wita wasze strony,
Niechaj będzie pochwalony!
Cóż w Krakowie — co?
Gdy przed wami znowu staję,
To się sercu prawie zdaje,
Że przeszło lat sto!

Hej mogiły, skały, zdroje,
Stepy, orły, dęby moje,
Cóż to o tem rzec?
Kiedyś sprawa szła nam z gracka,
Cóż gdy dzisiaj już z omacka
Przychodzi się wlec!

Kto na ziemi siadł, nie spadnie —
To i dzisiaj pójdzie ładnie
To, co pójść nam ma;
Kiedy serce takie same,
To i witam wchodząc w bramę
I niech lira gra!

Niechaj zagra zdawna snutą
Januszową starą nutą:
Witam, witam was!
Kto tam zmoże, niech grzmi w rymie,
Ja was w Boże witam Imię,
Witam w Boży czas!

Cóż wam powiem?... cóż powiedzieć?...
Darmoż milczkiem tutaj siedzieć,
Kiedym jeszcze żyw.
Ktoś tam spyta: jeszcze śpiéwa?
Jużciż śpiewa, kiedy bywa,
I wszak to nie dziw!

Co ukocha serce z młodu,
Z tem i kończyć wśród narodu
Pono trzeba nam;
Więc na nutę tutaj starą,
Z dawnem sercem, z dawną wiarą
Zanucę ja wam.

Pieśń ostatnia Januszowa
Niech w Krakowie się przechowa,
Skąd i pierwsza szła.
Gdy chowacie, coście mieli,
Niech was strzegą tu Anieli,
A lira niech grą!

Coś powiedzieć tu się godzi
I o starych i o młodzi,
I coś z dawnych lat, —

Coś o złotej sławie laszej
I o starej szkole naszej,
Bom wszystkiemu brat.

A więc podam rapsod stary,
Co przypadnie wam do miary
Dziś tak bardzo już,
Jakby sercem był wysnuty
Z dziś żyjącej dziejów nuty
I z tych polskich dusz.

Dalej, dalej więc z rapsodem,
Z starą szkołą i z narodem
Pójdziem tutaj wraz, —
Bo gdy schodzim się w Krakowie,
Niech świat sobie jeszcze powie,
Że stać na pieśń nas.

Jak stać jeszcze na ofiary
I obronę starej wiary,
Chociaż ciśnie czas.
Lecz uwierzcie tylko temu,
Że opędzim się znów złemu —
Tem pozdrawiam was.

Jest w miłości i w ofierze
To, co trzyma i co bierze
Cały polski ród —
I duch stoi na wyłomie,
Co i w walce i w pogromie
Podjął dziejów trud.

MAZUR.

(OSTATNIA PIEŚŃ Z KULIKU).

Wpadliśwa tu z hukiem, z krzykiem,
Z weseliskiem i kulikiem:
Lecz na radość smutek godzi,
Wstępna Środa już nadchodzi —
Powiedzieć tam wstępnej Środzie,
Niech poczeka na zagrodzie!

W okna bije dzionek biały,
Oczki pannom pomalały:
Zaczeliśwa w Czwartek Tłusty,
Bo też krótkie te zapusty!
Ej panienki! zapust szkoda!
Wszakże to już wstępna Środa?!

Która za mąż się wydała,
Na ostatki już nie skacze,
Która panną pozostała,
Po Popielcu na post płacze:
Ej panienki! krew nie woda!
Wstępna Środa — zapust szkoda!

Czy tam szkoda, czy nie szkoda,
Niech mi która rękę poda!
Bo wam przyjdzie pożałować,
Że nie chciałyście tańcować.
Jak popędzim na wyskoki —
Puszczę sanki do zatoki!

Powiedz Księże kapelanie,
Co też mi się za to stanie —
Żem pokochał dziewczę młodę
I poszalał w wstępną — Środę?
Choćbym gorzał po łopatki,
Muszę hulać na ostatki!

Oj gosposiu nasza droga!
Ksiądz nas straszy gniewem Boga —
Daj nam barszczyk na śniadanie,
Pannom kącik na przespanie:
Bo pojedziem już do Sielec
Z żalem serca na popielec...

PIEŚŃ POLISKA.

Wiatr tumany nocne zwodzi...
Sen dokoła okien chodzi...
A drzymota koło płota...
I sen pyta u drzymoty:
— A gdzie pójdziem na pieszczoty?
Gdzie spoczynek znajdziem złoty! —
A drzymota mu powiada:
— Kędy macierz poukłada
Wkoło siebie te szczebiotki —
Tam to pójdziem na pieszczotki!

PIEŚŃ RUSKA.

Nad brzegiem Dunaju
Wiatr tumany wiedzie...
A po cudzym kraju
Młody Kozak jedzie. —

Jedzie na rumaku,
Z wichrem płynie grzywa...
I nie patrząc szlaku
Dumkę sobie śpiewa:

— Miłe moje ranki,
Lecz milsze wieczory:
Mam ja dwie kochanki
Od pory do pory.

Jedna zbyt daleka,
Druga na mnie czeka,
Tamta za mną płacze,
A z tą się zobaczę!

Do tamtej przypadnę
Jadąc młyńskiem kołem —
A do tej się wkradnę
Dziś jeszcze sokołem!

PIEŚŃ POLISKA.

— Da na ciemny bór
Przez nieznany dwór
Cietrzewka leciała:
A mnie Bóg nie dał
Tego, co mnie znał,
Com go pokochała!...

Marnie ze świata
Zejdą te lata
Ta z tą krasą moją!...
Nie z wieńcem jadą —
Oj! w trumnę kładą
Matko, dońkę twoją!...

Bo mimo płynie
Dola — ta ginie
Na jeziorze czystem...
A tym nielubym
Wiążą mnie ślubem —
Ta szlakiem wieczystym...

PIEŚŃ RUSKA.

Śpiew weselny rozlega się w siole...
Hej w niedzielę przyszły drużki z rana,
W progu młoda stanęła w ich kole —
Lecz w ogródku ruta podeptana...

— Źle to siostry! źle to doli wróży!...
Coś wytłukło dolę na mej grzędzie,
Zbledną lica rozwiniętej róży
W cudzej chacie jak piersi łabędzie...

— Trzy lat, ruto, sadziłam ja ciebie!
Wykochałam cię memi oczyma:
A dziś ruty na wianuszek niéma,
W dzień weselny, żal, jak na pogrzebie!

— Smutnaż moja niedziela nastała!
Kto żal zadał, niech nie ujdzie szkodzie,
Bodaj jemu dola się rozwiała
Jak ta piana na bieżącej wodzie!

— Cyt! cyt! dziewczę; — woła sroczka z płota —
Oj twojego miłego to psota,
Gdy z pokłonem wraz z bojary wczora
Już w noc późną powracał ze dwora:

Ujrzał światełko — skoczył pod okienko,
I nie baczył na rutę zieloną
Bo mu słońcem zeszło twoje łono,
Gdy zeń matka zdjęła chustkę cienką:

Toż to patrzał jak cię ukąpała,
Raz ostatni plotła włos w sześcioro.
Raz ostatni w łożu układała —
I z komory odeszła nieskoro...

WIERSZ POŻEGNANIA

DLA SIOSTRY ZOFII.

Dalej — dalej — coraz dalej
Myśl i serce jak na fali!
Lecz myśl tworzy, serce wróży,
Choć wieczyście żyjem w burzy...

Niby morzem, niby stepem,
Idzie siostro! nasza jazda;
Lecz nie trafem pono ślepym
Ponad nami świeci gwiazda!

Przy jej blasku burza świata
Już się zmienia dla nas w ciszę —
I ta fala, co w grób zmiata,
Nami ledwo zakołysze.

Siostro moja! to dar Boży,
Siła ducha — woli dzielność;
Duch, co walczy i co tworzy,
To na ziemi nieśmiertelność!

Więc choć pójdziem w drogi różne,
Patrzmy w naszą gwiazdę jasną,
Póki serce nie jest próżne,
Jej promienie nam nie zgasną. —

Póki ona się uśmiécha,
Pójdziem stepem, pójdziem morzem,
I gorycze z łez kielicha
W niebo patrząc wypić możem.

Pójdziem — przejdziem życiem skrycie,
Ale zawsze w wielkiej wierze,
Że z tej walki rośnie życie —
Że my siejem — a ktoś zbierze.

Dnia 1 czerwca 1847 roku we Lwowie.

MODLITWA DLA MOICH DZIECI

UŁOŻONA U GROBU ŚW. JANA NEPOMUCENA W PRADZE.

O święty Janie! przy Twoim grobie
Żałosny Ojciec oddał nas Tobie!
I prosił dla nas o dobrą sławę,
O męstwo w walce za słuszną sprawę
I o wytrwałość w trudach cierpienia,
O dar mądrości i dar milczenia.

A o co prosił od nas daleki
U grobu Twego, u Twojej rzeki:
Niech święty Janie! w nas się to ziści:
Abyśmy wyszli od pokus czyści
I z dobrą sławą przez życie przeszli,
I w niebo patrząc w milczeniu zeszli!

Lub, jeśli taka jest Boża wola,
Aby nie jasna padła nam dola,
Jeżeli życie nam się zasępi,
Jeśli niewinnie świat nas potępi:
Wesprzyj nas wówczas! pocieśz w sumieniu!
By krzywdy świata przetrwać w milczeniu.

Niech ta modlitwa, o święty Janie!
Z błogosławieństwem od Ojca zlana,
Na zawsze w uściech naszych zostanie
I w pokoleniu będzie podana,
Jako nauka, prośba, przestroga,
Ku chwale Twojej i ku czci Boga.
Amen.

Z Czeskiej Pragi dnia 15 września 1849.

NA POWITANIE STACHA.

Gdyśmy z wojny powracali,
Smutną duszą spoglądali
Na braterską twarz:
Wówczas bracia, z wargi spiekłej
Pierwsze słowa nam wyciekły:
— A gdzie Stasio nasz?

Ach i serce żal opłynął,
Jakby kraj raz wtóry ginął,
Oręż z ręki padł:
I rzekliśmy: Kraj powstanie,
Zejdzie ludom panowanie —
Nam nie wstanie brat!

Boremelskie pola krwawe!
I wy wieści po nich łzawe
Jak pogrzebu dzwon!
Ta powiedzcie: Czy Stach żyje?
Czy widziały oczy czyje
Może jego zgon?

I rok trzeci każdy pyta:
— Czy też jeszcze Stach zawita
Do ojczystych bram?
Dziś — gdyś wrócon nam z niewoli —
Witaj w szczęsnej dla nas doli,
Witaj Stachu nam!

— Zdrowie każdej Twojej blizny
Przyjmij bracie z rąk ojczyzny
Stachu! zdrowie Twe!
Za dzień każdy Twojej męki
Przyjmij uścisk bratniej ręki
I braterską łzę...

SÓJKA.

Strasznie się sójka zbierała za morze...
— Czemuż — pytano — odlecieć nie może,
Kiedy już ptaszka odleciała wszelka?
— Będzie czas dla mnie — i jest racya wielka,
Czemu aż dotąd do cieplic nie lecę:
Zlecą się sójki — będą wielkie wiece
Przy pełnych szyszkach na sosnowym borze —
A potem razem polecim za morze...

Tak sobie sójka i drugim mawiała,
I w krasnych piórkach po borze furkała...
— Niech się ci spieszą, którym tak potrzeba —
Mnie tu nie braknie w mej ojczyźnie chleba.

W tem gil nadleciał — ptak wcale wspaniały
I bardzo grzeczny, bo podtatusiały:
Więc obok sójki na gałęzi siada,
Więc i z daleka i uprzejmie wita,
I o podróżach swoich opowiada,
A w końcu niby z nienacka zapyta:
— Cóż aśćka czynisz? — Ha, lecę za morze!
— Czyż to podobna? a czy to być może?
A czemże szczycić będą się te laski,
Kiedy nie stanie w tej ziemi już k r a s k i?
I któż tym śpiewem te bory ozdobi,
Jak aśćka sobie odlecisz w cieplice?

Każdy zapyta: A cóż tu gil robi?
Czy chcesz po sobie zostawić tęsknicę?...
— Ha, nie wiedziałam, że pod późną porę
Tak miłe goście przybędą do ziemi —
Więc co Bóg sądził, to w pokorze biorę,
To i przebędziem zimę tu z drugiemi:
Jest z i m o r o d e k, są i k r z y w o n o s y —
To będziem czekać w borach ciepłej rosy,

Bo ja tu jestem z dawna gospodynią
Jak w domu własnym, niech więc Waszmość czynią!
Bo czyż to zresztą zima tak zbyt długa,
Czyż wielki przedział od sani do pługa?
W lutym przylecą już do nas skowronki,
A czy nie miło napić się i z płonki
I skąpać w zaspie, i furknąć do szronu?
I z kmieciem znowu wrócić do zagonu?

Tak zachwalała sójka zimę naszą
Wabiąca gila na gościnę ptaszą —
Lecz sroczka, panna fertyczna, bo dworska,
I bardzo mądra, chociaż nie zamorska,
Kiedy ją doszedł o sójce słuch taki,
Poszła na plotki przez laski i krzaki...
I chcąc rywalce popsuć dobrą sławę,
I obok gilów zimową zabawę,
Zblizka do gila także się przysiada,
I od niechcenia niby opowiada:
— Witam wasana! słyszałam we dworze,
Że sójki mają odlecieć za morze —
A więc przybyłam tu na pożegnanie —
Lecz cóż ty na to mój mościwy Panie?...
. . . . . .
. . . . . .

NA „ŻYWOTACH SKARGI"

OFIAROWANYCH PRZYJACIÓŁCE K. L.

Jak męczenników takich w tej ziemi nie mało,
Dla których w księdze męczeństw miejsca już nie stało —
To niech dusza po Bogu, co żywoty czyta,
O ich imiona w rzewnej modlitwie zapyta!
Bo nie do nich, lecz za nich modlić się potrzeba,
By uprosić dla ziemi miłosierdzia nieba.

Jedni z tych męczenników idą krwawą drogą,
Niby z Bogiem, lecz trafić do Boga nie mogą —
Inni znowu w modlitwie załamawszy dłonie,
Jak wyznawcy niezłomni stoją przy zakonie
W pogardzie rzeczy ziemskich i serca suchości,
Do ojczyzny nie mogą trafić i miłości.

Jest więc człowiek bez Boga i Bóg bez człowieka,
Martwa wiara i miłość jest bez namaszczenia —
I świat poci się we krwi — i krzyż Pański czeka
Żywej wiary, miłości, prawdy i sumienia.

W tym poczcie męczenników są jeszcze i tacy,
Których żywot upływa i w męce i w pracy,
Bo choć czują tę nędzę, nędzy służyć muszą,
Choćby chcieli żyć w Bogu modlitwą i duszą,
Świat im nie da wytchnienia, nie zwolni z roboty,
Ale coraz cięższymi każe im kuć młoty —
Dopóki przy kowadle nie padną w mogiłę...
Tych to winą, że światu służyli nad siłę.
A choć i jawna była i prosta ich droga,
Świat ich pracy nie ceni, i niebo zamknięte
Dla nich, bo chociaż czcili i znali co święte —
Nie mają po tych mękach wracać z czem do Boga.

Są tedy męczennicy nowi z niewybranych
Co się trudzą w męczarniach aż dotąd nieznanych —
Wielka tylko modlitwa podźwignąć ich może,
Zjednać łaskę i ściągnąć miłosierdzie Boże
Dla tej ziemi, co daje nowych męczenników
Pośród natchnień narodu i piekła okrzyków...

NA WIADOMOŚĆ O ŚMIERCI SYROKOMLI.

Jest zła nowina — Syrokomla skończył
I już ostatnią gorzką łzę wysączył...

I już ostatnia kropla krwi się spiekła
W sercu palonem od ziemskiego piekła!
A cóż Wy na to? — Wiecież, co zostawił?
Jaką miłością w tej pieśni się strawił?
Z jaką boleścią po ziemi się nosił?
I co u Boga i ludzi wyprosił?
Proszę przeczytać dzisiaj „Zgon Acerna“ —
Może biograf coś z tego skorzysta,
Albo historyk, albo annalista:
Że marnie ginie w ziemi bracia wierna.
Skończona walka — wyschło wielkie źródło —
I serce zgonem dopiero wychłódło
Z wielkich boleści bez folgi trapiących,
Z gorączki myśli i z uczuć gorących...

Skończona walka — i poszła wieść głucha...
Łzy krokodyla leją gazeciarze —
Lecz gdzież pociecha dla wieszczego ducha,
Co dary nieba złożył na ołtarze?
Wy mu niesiecie po śmierci jałmużnę
Dla jego dzieci — ale za żywota
Żadne mu serce nie znało się dłużne,
Żadne się duszy nie otwarły wrota,
Nikt nie pomyślał, by sam mógł z miłością
Dziatwę przygarnąć do swego ogniska,
Choć był krwi dobrej, z wiernej kości kością
I dał Wam z siebie duchowe igrzyska.

Wy o duchową dziś czuli puściznę,
Jaką zostawił spadkiem dla narodu —
Ha! bo Wy znacie, jak kochał ojczyznę,
Niepomni na to, że ta dusza wierna
Już raz skonała tym „Zgonem Acerna...“
A kiedy tworzył, nikt jego zawodu
Nie śledził w życiu — i owo ohyda,
Nikt jej nie cenił i nie znał prócz żyda!

Dzisiaj nekrolog ogłoszą za duszę
Nikczemne skryby i faryzeusze,
A gazeciarze po swojemu wezwą
Naród do składek na pomnik odezwą —
I stanie pomnik i ktoś wiersz napisze,
Ktoś obok niego i drzewo posadzi,
I w pismach górnie współczesnym podkadzi,
I nad pomnikiem świerk się zakołysze —
I wszystko razem miłe będzie oku;
A więc fotograf odda to w widoku —
A naród powie sobie w zacnej dumie:
Jak swe geniusze wynagradzać umie...

Jam Twej młodości Synu błogosławił,
Gdy mnie doleciał Bracie głos Twój z Litwy!
Dobrześ po duchu i w ziemi się sprawił!
Skończona walka — odbyte gonitwy —
I Ty odpoczniesz biedny Bracie w grobie,
Byś w ziemi ojców duchem wielu ożył —
Boś cenną perłę w starym skarbcu złożył —
Więc tę łzę gorzką ja poświęcam Tobie! —

NA GÓRNYM ŚLĄSKU.

Od pięciu wieków rozeszły się dzieje
Piastowej Polski — a wiara ta sama,
Ta sama mowa, te same nadzieje,
Ta sama wielka do przyszłości brama —
Przez którą przejdzie na pole ludzkości
Krew ze krwi naszej i kość z naszej kości.

Dnia 3 września 1870 roku.

NA KOLUMNIE

POD POPIERSIEM WARSZEWICZA W OGRODZIE BOTANICZNYM W KRAKOWIE.

O święta Litwo! matko Warszewicza!
Jakże Ci pięknie w cieniu Twych wawrzynów!
Jakiegoż blasku Ojczyźnie użycza
Poczciwa chwała Twych wybranych synów!
Uczniu Jundziłła! Obiegłeś dwa światy, —
Aby z zdobyczą wrócić do tych progów!
I jak syn wierny czarownymi kwiaty
Osypać ołtarz tych domowych bogów...

Kwiat — to nie wiele — ale kto dał więcej?
I czy dla Ciebie to, Matko, nie jedno?
Byle Cię tylko kochać najgoręciej —
To Ty nie gardzisz i ofiarą biedną.

To nasza wiara: że nic nie przepada,
Co jak ofiara na ołtarz się składa —
To niech kwiatami pamięć Syna płynie,
Co już port stały znalazł w tej dziedzinie!...

W roku 1869.

Z GŁOSÓW PISMA ŚWIĘTEGO.

.... Czekam i czekam — dzieci mi się morzą,
Czekam i pukam — czy drzwi nie otworzą?
Pukam i proszę... lecz wszystko daremne —
Drzwi nieużyte i sklepienia ciemne
Oddają tylko prośby i pukania...
A jednak żyje coś w tych murach głucho...
I słyszę, słyszę, gdy przyłożę ucho
Jakieś pukanie od samego rania...

Słowo po słowie przez mury się cedzi,
Skostniałą ręką kamieniom podane —
Może wypuka ręka w murach ranę?
A może z nieba czeka odpowiedzi?

Matko Bolesna! Tobie zlecam! Tobie
Boleści moje — niech jeszcze ożyje,
Co dla serc naszych zmarło w tym grobie!
A mnie dopomóż, niech mą boleść skryję —
Bo jeśli puszczą — jeśli nas zobaczy,
Niech mu jak gwiazda oko nasze świeci —
Boby go pewno pchnęły do rozpaczy
I te łzy moje i smutek tych dzieci...

W roku 1864.

Z RAPSODU
O REWERZE POTOCKIM.

. . . . Noc się powoli w mojej duszy robi —
I z dniem już każdym gaśnie promień znany...
Ale się dusza coraz więcej sobi
Ku tej przeszłości w dziejach ukochanej:
I Bóg otwiera dla duszy zmysł inny,
Bo miłosierdzia Jego wielkie źródło —
I duch bez wzroku jest już odtąd czynny,
By kochające serce nie wychłódło!

Na tem stoimy — więc jak niegdyś z młodu
Zaklinam sercem dziejowe postacie!
By w szyk stawały do tego rapsodu
W dziejowej szacie i w świątecznej szacie...

I ciemny pragnie jeszcze się podzielić
Z wami tem sercem — i na smutne czasy
Pociechą dziejów z Wami poweselić,
I wybiedz myślą na pola i lasy...

Bo stara sława spać nie daje duszy,
I może czyjąś tam jeszcze obudzi —
Bo stara sława jak rdza je i kruszy —
I jak zaklęcie wywołuje ludzi,
Co powołani stać w nowem przymierzu
Po starej sprawie i po ludzkiej sprawie...
Więc Tobie niosę Ty młody szermierzu
Od mogił naszych ten rapsod o s ł a w i e.

. . . . Słowo, to piana na bieżącej wodzie...
Lecz gdy w podaniu wielką sprawę streści —
Jak widmo dziejów błądzi po narodzie
Żywiąc miłości i wielkie boleści!...

Widmo to trwoży chłopczynę po mroku —
Zjawia się w ciszy — a ginie w natłoku...
I spać nie daje młodzieńcowi w sile!
I spocząć nie da starcowi w mogile!...
Lecz jako zmora na tej piersi cięży...
I pali serce wieczystem pragnieniem...
Snuje się marą... toczy kłębem węży...
I — jak duch dziejów — budzi swojem tchnieniem!

Czyny — to słońce: lecz jak czyn dziejowy
Przejdzie przez serca i myślące głowy,
Jak się głęboko w podaniu zagrzebie —
Schodzi gwiazdami na tem nocnem niebie!...
I dusza w gwiazdach tych od młodu czyta:
I o los ziemi i swój własny pyta?...
I lgnie do nieba — i w tem niebie ginie...
A rydwan dziejów jak płynął — tak płynie!...

Słowo — to piana... podanie — to mara...
Kto wszystko stracił, ten nic nie utracił —
I temu tylko w narodzie jest wiara:
Kto i sam wierzył i krwią serca płacił! —

W roku 1871.

KRÓLOWA UBOGICH.

W wielkim tłumie ubogich jest uboga jedna,
Nieszczęśliwa nad wszystkie i tak bardzo biedna,
Iż boleje wszystkiemi na ciele ranami,
Kiedy dusza Jej płacze wszystkiemi łzami,
Jakie ludzkość wylała od upadku człeka —
A choć cierpi i milczy, i wierzy i czeka,
I jak Matka Bolesna u stóp krzyża stoi:
Nikt nie niesie Jej ulgi, nic poda pociechy,
I nikt łez Jej nie otrze, nikt ran Jej nie goi,
Lecz boleści ogrojca zwiększą tylko grzechy!

Ta Królowa ubogich jałmużny nie bierze —
Poczcić Ją tylko można w miłości i wierze,
Służyć Jej tylko można żywota ofiarą,
A w ofierze marności ziemskich wyrzeczeniem,
Ulżyć Jej tylko można Bożej prawdy wiarą,
A zbawić tylko własnej duszy wybawieniem!
Do Niej to się odnoszą słowa najłaskawsze
Samego Zbawiciela, niegdyś wyrzeczone,
Gdy Magdalenę świętą brał pod Swą obronę:
„Ubogich mieć będziesz — ale mnie nie zawsze!“

Napisano we Lwowie 3 maja 1862 roku.

NA ZAŁOŻENIE WĘGIELNEGO KAMIENIA DO POMNIKA JANOWI KOCHANOWSKIEMU W KOŚCIELE OO. FRANCISZKANÓW W KRAKOWIE.

„I opatrzył to dawno syn pięknej Latony:
Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony!“
Jan Kochanowski.

Drzwi otwórzcie jak najszerzej!
I co żywo niech tu bieży!
Niech się roi gród!

Bo gdy przeszłość święcić mamy,
Niech w przyszłości płynie bramy,
Wszystek żywy lud!

Kędy ludno, tam i strojno,
Tam poważnie, tam i hojno —
Tam śpi ludzki wróg:
Jak na wiosnę pełno głosów,
Jako latem pełno kłosów —
Tam i z człekiem Bóg!

Ludu, ludu co niemiara,
Bo gdzie naród — tam i wiara
I nadziei kwiat!
Tam i miłość i sumienie,
Tam i wdzięki i natchnienie —
I tam wszystek świat!

A czem święcić — co poczęte?
Jeśli nie tem, co jest święte,
Święte tu i tam!
A więc w imię tej świętości,
Co jak anioł w piersiach gości —
Płyńcie do tych bram!

Boć od wieków w tej świątyni
Stara Polska gospodyni,
Jako Pan Bóg dał —
I z Bożego tu przejrzenia,
Co jest święte z pokolenia —
Tu sam naród zlał!

Tutaj Świętych Pańskich kości
I korony ich miłości,
Tu i ludu śpiéw!
Na buławie tu się wsparły
Przeszłe wieki, — śpi umarły —
A modli się żyw...

Światła blask po grobach ronią,
Grzmią organy — dzwony dzwonią,
I tak z roku w rok:
Pośród modłów i milczenia
Płyną wieki, pokolenia —
A wieczysty mrok...

Polska niby święta ksieni,
Niedojrzana wśród tych cieni...
Strzeże starych bram —
Jedno świętość tutaj gością,
A co było — jest świętością
I tutaj i tam!

Z tą otuchą pośród ludu
Stań tu! dziatwo pieśni — trudu:
Kędy lud jak las —
Ty! coś czystą piersią z młodu
Pieśń święciła dla narodu —
Stań tu z ludem wraz!

A tu — kędy Świętych kości
I buławy cnej przeszłości
Złożył przeszły czas:
Niech się wszystko zacne zbiegnie!
Niech ta polska lira legnie...
Poczczona przez nas!

Janie! Janie z Czarno-lasu!
Coś dawnego niegdyś czasu
Całej Polsce grał;
Coś jak słowik nieuczony,
A jak kapłan namaszczony
Boskie pieśni lał!

Dziś po leciech, leciech wielu —
Dziś cześć Tobie na Wawelu
Składa Piastów ród:

I za rozkosz Twojej chwały
Wznosi Tobie pomnik trwały
Krakusowy gród!

W cieniu ludu, jak w dąbrowie —
A więc w głosy śpiewakowie,
Nieście waszą dań!
I praszczura polskiej pieśni
Czcijcie śpiewem — bracia cześni!
Jak przystało nań!

Jak na wiece — z duchem wolnym,
Jak na ucztę — z kwieciem polném
Zbież się dziatwo cna!
Z lekką myślą — jak młodzieniec,
Z lekkiem sercem pleć ten wieniec
Co grób zdobić ma...

Boć co ziemskie i niewczesne,
W sercu wieszcza — co bolesne,
To już legło z nim:
A co wieczne — świeżą chwałą
Dla narodu świecić miało —
Świeci blaskiem swym!

Kto modlitwą i miłością
Związał naród — i kość z kością
Spoił mową wraz —
Tego, póki staje mowy,
Póki serca — pieśni zdrowej,
Nie płakać śród nas!...

Cześć niech tylko będzie Jemu!
I poczciwość po staremu
W całym ludzie tym:
Jak kadzidło niech pieśń zbieży,
I w świątyni strop uderzy
Niby wonny dym!

Co dziewicze i natchnięte —
I co dzielne i co święte,
To lud stroi rad:
Boć lud wiecznie jak młodzieniec,
Więc na grobie złóżmy wieniec —
Jako chce mieć świat.

Wieniec — jako lud Piastowy
Ma być prosty i surowy —
Nie z laurów i róż:
Ino z liścia tego dębu,
Co sam stoi pośród zrębu
I pośrodku burz...

Co za rozkosz w tej zieleni!
Co tu chłodu wśród tych cieni,
Niema słów, by rzec!
Pod nim lubi spocząć sobie
I bohater w cichej dobie —
I na mchu tym ledz!

W jego chłodzie i dziewice,
I wiewiórki swawolnice
Wyprawiają tan —
A już trudno i powiedzieć
Jako lubił w lesiech siedzieć
Czarnolesia Pan!

W lesiech, w lesiech z słowikami
I z wdzięcznemi też muzami
Lubiał bawić wraz:
Więc z leśnego niechaj drzewa
Świeży wieniec mu powiewa
Już po wszystek czas!

Cóż założym w głaz węgielny?
W pamięć sławy nieśmiertelnej —
W pamięć onych lat?

Cóż innego? — jak to tylko,
Co świeciło w duszy chwilką
A pięknie na świat!

A więc naprzód kawał szczypy
Z czarnoleskiej onej „Lipy“,
Pod którą wieszcz piał —
Której szum mu myśl kołysał,
Z której kwiatu miód wysysał
Co w swe pieśni lał!

O nią ;„Satyr“ tarł swe rogi,
Pod nią spłynął mu wiek błogi,
Pod nią stawał dzban —
A pieśń nucąc obok dzbana,
Nie dbał i o kasztelana
Czarnolesia Pan!

Na co miło duszy żywej
Patrzeć w świecie — to szczęśliwy
Cień tej lipy znał:
Tu proporzec hołdowników,
I pogromca najezdników,
Król Batory stał!

I ta lipa kwitnie, rośnie,
I ocienia dziś miłośnie
Jak przed wieki skroń —
Ponad wszystkie polskie kraje
Dziś się jeszcze krzewić daje,
I roni tę woń!...

Więc owińmy kawał szczypy
Z czarnoleskiej onej Lipy
Dziś w proporca szmat —
Potem rzućmy garść popiołu
Z tej Sobótki, co pospołu
Lud ją pali rad!

Duch — to niby blask Sobótki,
Popiół — żywot wieszcza krótki,
A psalm — niby łza:
Lecz gdy skończył dni w żałobie —
Niech na Jego stanie grobie
I płacznica ta...

Ta płacznica, co zdobiła
Grób „Urszulki“ przez lat siła,
Niech tu legnie wraz!
Treny płyną także z nieba —
Toć i łzy nam poczcić trzeba:
Teraz zróbmy ślub!

Teraz obrząd ukończony,
Głaz węgielny wytoczony,
Jako poczczą nas —
Jako wieńca liść, z ochotą
Niech się nasze ręce splotą
I otoczą grób!

Cześć i miłość i ta wiara
To ratunek, to ofiara
Dla tych wiernych dusz:
To tu społem złóżmy w dani —
A co świętsze — niech kapłani
Niosą w niebo już!

My odbierzem, jako dajem,
Jak kościoła obyczajem
Zdał nam przeszły czas —
Razem — razem na kolana!
I za duszę wieszcza Jana
Zmówmy pacierz wraz!...

DANIEL WTÓRY.

Dwudziesta piąta rocznica nadchodzi,
Odkąd jak prorok czuwasz na rogoży,
Odkąd stanąłeś w tej Piotrowej łodzi
I sieć rzuciłeś jako rybitw Boży!

Wśród bolu czasu i czasów narowu
Sieć wyrzuciłeś dla tych dusz połowu,
Co zabłąkane bez światłości chodzą,
I w błędach ziemi i w ciemnościach brodzą.
Darmo ostrzegał ludzkość głos proroczy,
Darmoś kładł prawdy i błędy na oczy!
Dopustu trzeba Bożego i próby,
Aby ratować wiarę od zguby.
I gdy posłuchu nie miał głos miłości —
Świat krwią opłynął i wylał swe złości,
Noc go obeszła — po omacku broi...
A łódź, jak stała na wodach, tak stoi!
I rybitw Boży stoi w niebo czołem,
Bo jest Duch święty na wieki z Kościołem!...

A kto z żyjących temu nie uwierzy:
Że Chrystus d r o g ą, p r a w d ą i ż y w o t e m —
Ten będzie wierzył, gdy się z piekłem zmierzy,
I gdy go piekło zmiażdży swoim młotem.

Lecz jakie słowo dać tu dla pociechy,
Gdy świat się we krwi topi za swe grzechy?
Co na ochłodę podać wśród klęsk wielu? —
Dam — co nam zakon mówi o Danielu.

Przy łasce Bożej i przy Bożym biczu,
Przed duszą wiernych w rocznicy obliczu
Niech stara powieść dziś przed wami staje,
I Danielowi Wtóremu na ziemi
Jako wśród pogan niech świadectwo daje
W nowem pogaństwie i między wiernymi.

Był Daniel prorok, po Bogu mąż święty,
I siedział w rodzie pomiędzy książęty —
Żywemu Bogu wielki pokłon dawał,
I w prawdzie Bożej jak potężny stawał.

A tedy możni i książęta ziemi,
Co nie chodzili drogami Bożemi,
Jęli i siebie i gmin grzeszny psować,
I pod Danielem wielkie zdrady knować.

Sprawiedliwego zgubić nie tak snadno —
Więc w przewrotności na to w końcu padną:
„Że w mężu Bożym nie znajdziemy winy,
A na Danielu nie będzie przyczyny,
Chyba w zakonie Boga, w którym żyje,
Wtedy go zgubią, gdy się sam odkryje...“

Jakoż od wielkiej władzy majestatu
Takowe prawo jest wydane światu,
Jakiego pełnić nie jest wolno temu,
Co zakon Boży dzierży po staremu...

Daniel nie prawa, co wydali ludzie,
Ale Bożego słuchał przykazania,
I nie trwał na to, co zrobią w obłudzie —
I wobec świata klękał już od rania,
I we trzy czasy modlił się do Boga — —
Więc go wydali przed króla jak wroga:
I stał się winnym i sądu i śmierci,
I lwy go miały poszarpać na ćwierci —
I do lwiej jamy rzucon jest wieczorem,
Co była k' temu trzymana pod dworem —
I założono tę jamę kamieniem...
I król to uczynił z wielkiem serca drżeniem,
Bo znał, że Daniel w Bożej siedzi radzie:
Więc pieczęć własną na tej jamie kładzie,
Nie lwów się bojąc nocą na Daniela,
Ale się bojąc tych złych ludzi wiela,

Co taką radę podali do prawa,
Jakiemu folgi mąż Boży nie dawa.

Toż gdy oświtło, biegł bardzo skwapliwie
Sam do lwiej jamy i wołał płaczliwie:
— Sługo żywego Boga! — Ty Danielu!
Co mniemasz? Bóg ten, co Mu służysz zawdy,
Mógł cię wybawić od lwiego gardzielu?
Czy żyjesz jeszcze Danielu! — doprawdy!?

A Daniel na to: Królu żyj na wieki!
Złych ludzi sprawy obrócił Bóg w przeki,
Bo zesłał swego anioła do dołu,
By Go świat wszystek wychwalał pospołu!
I jest Bóg wielki w świadectwie przed ludem,
Bo sprawiedliwość była naleziona
We mnie przed Panem i jest ocalona —
Chociaż nie byłem królu krzyw i tobie!...
Tedy król dał mu ratunek w tej dobie —
A rzucić kazał do dzikich lwów dołu
Tych, co złe rady knowali pospołu:
Więc i je wszystkie i dzieci i żony
Kazał pociskać do jaskini onej...
A do dna dołu jeszcze nie dolecą,
A już ich kości we lwich paszczach świecą,
I w mgnieniu oka są podruzgotani...
Gdy Daniel cało wyszedł z tej otchłani!

Tedy król Daryusz pisał we wsze strony
Do wszech narodów i języka wszego:
„Pokój niech będzie dla was rozmnożony!
A niech drży każdy na Boga żywego,
Bo tego Boga Daniel prorok chwalił,
Co go w lwiej jamie od śmierci ocalił!
Bo On Bóg żywy, póki świata stanie,
I po wsze wieki Jego panowanie!
I władzy Jego żaden nie obrazi!
Bo czyni znaki na niebie i ziemi
Między pogany i między wiernemi!“

Tyle słów wszystkich Starego Zakonu —
Bierzcie je sobie w czasach dopuszczenia!
A lament wielki do Bożego tronu
I do Pańskiego nieście Przemienienia!

Bo Daniel Wtóry rzucon jest do dołu
I w lwią paszczękę — a my z nim pospołu...
Więc niech Bóg wielki w miłosierdziu swojem
Grzeszne, upadłe, błędne, obciążone
Obejmie światłem i wielkim pokojem
A prawdy swoje weźmie pod obronę.

W czerwcu 1861 roku.

EMISARYUSZ.

Znacie młodziana, co z jasnym włosem,
Z toporem w ręku, w stroju górala
Przebiega ścieżki zarosłe wrzosem.
I nagle stanął, gdzie wzniosła hala,
I bystrym wzrokiem dokoła śledzi.
Przyłożył ucho do matki ziemi,
Poznał krok wojska, pewno się biedzi,
Aby się w drodze nie spotkał z niemi,
Bo szybkim krokiem, nie tracąc czasu,
Przeskoczył parów i już wśród lasu.

A gdy skończyli poszukiwania,
Wtedy ów młodzian wybiega z lasów
I podbiegł w górę do pól Krywania
I ściskał ręce licznych juhasów
I coś im długo i długo prawi.
Oni to płaczą, to znów się śmieją,
Każdy słuchając strzelbą się bawi
I jemu oczy błyszczą nadzieją
I coś im mruknął: „w dzień zmartwychwstania"
I znikł w wąwozie bez pożegnania.

A na Kalwaryi z zwieszoną głową
Starca żebraka — jak gołąb siwy
Śpiewa pieśń dawną: „Polska Królowo!
Módl się za polski lud nieszczęśliwy.“
A głos staruszka tak miły, święty,
Pełen miłości, nadziei, wiary,
Że tłum dokoła czuciem przejęty
Z płaczem powtarza, co śpiewa stary.
I głos jak fala płynie nad niwy:
„Módl się za polski lud nieszczęśliwy.“

Potem im śpiewa: „że jak Syn Boga
Tak dziś lud polski na krzyżu kona;
Że we krwi bratniej ręka ich sroga
Jak w krwi Chrystusa dzisiaj zbroczona.
Lecz On na krzyżu grzechy przebacza.
Szczery żal zmaże najsroższe winy,
Więc niech z was bracia nikt nie rozpacza,
Lecz stara wygnać wroga z krainy,
Kiedy uderzy dzwon zmartwychwstania.“
I starzec zniknął bez pożegnania.

Znacie Morawca, co po Krakowie
Szuka dla siebie jakiejś roboty
To na Kleparzu, na Pędzichowie,
To na Rybakach pomimo słoty,
To na Zwierzyńcu, to wśród Kaźmierza
Prawi coś ludziom; gdy kto narzeka,
Pociechę temu skrytą powierza.
A gdy napotka słabego człeka,
Co już upada w długiem czekaniu,
To mu znów prawi o zmartwychwstaniu.

A gdy na drodze nędzarza jęki
Proszą o litość dla biednych dziatek,
To mówi, dając mu coś do ręki,
„Masz od ojczyzny, najlepszej z matek.“

A za rogatką w niedzielną dobę
Gdy się do karczmy zbiegną wieśniacy,
Opowiadaniem spędza żałobę
I pije: „Do Was bracia Polacy!“
A gdy się sierdzą w opowiadaniu,
To im coś prawi o zmartwychwstaniu.

Znacie Morawca, starca, górala,
Znacie żebraka, kominiarczyka,
Węgra, cygana, Włocha, Moskala,
Co ledwie przyjdzie, natychmiast znika.
Co dziś jak flisak do Gdańska płynie,
Jutro jak handlarz do Węgier zmierza,
Co dziś w Stambule, jutro w Londynie,
Dziś u wieśniaka, znów u Papieża,
Dziś w głębi Litwy, jutro w Poznaniu,
A wszędzie mówi o zmartwychwstaniu.

Znacie człowieka, co zaparł siebie,
Co dla Ojczyzny, braci, wolności,
Przebiegł pół świata o suchym chlebie;
Wyrzekł się żony, dziatek, miłości,
Co mu wiatr zesiekł wychudłe lica —
Chlebem powszednim cierpienia, troski —
Uściskiem stryczek, grób, szubienica,
To emisaryusz Edward Dembowski,
Co za to wszystko w chwili skonania
Chce tylko słyszeć dzwon zmartwychwstania!

DO PAMIĘTNIKA

PANNY HEMILDY SABIŃSKIEJ.

Przyleciało w strony nasze
Jedno, drugie czyste ptaszę,
Jak łabędzia pomusk gładkie,
Jak królewski sokół rzadkie.

Cóż tam w Waszej Ukrainie
Czy tak, jak bywało?
Czy Dniepr płynie — czy Roś płynie
Tak, jak dawniej śmiało?

I czy w stepie tak zielono?
Czy dąbrowy stoją?
I czy zorze ogniem płoną
A mogiły roją? —

Czy tak samo dumy stare
Płyną od kurhanu?
Czy tak samo stada kare
Mkną przez las burzanu?

Czy tak samo kwitną wiosną
Jary i futory?
Czy tak samo serca rosną
I bieleją dwory?

Czy tak samo, czy tak samo
Za tą lacką bramą
Żyją ludzie w obyczaju
I w miłości kraju?...

Lecz nie będę pytał dalej,
Bo serce czumacze,
Kiedy w dumce się rozżali,
To na prawdę płacze...

Hej czumaczył ja, czumaczył,
Bo padło czumacze!!
Tylem w świecie dróg poznaczył! —
Więcej nie poznaczę...

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Lwów 1860.

PISZĄC POEMAT „PACHOLĘ HETMAŃSKIE.“

Smutno mi Boże! — smutno nad tą pracą,
Bo nożem złości świat mi serce kraje.
Nie to mi dają, co ja z duszy daję,
Ale zniewagą stare służby płacą...
Więc gdzie się uciec? ha! niema sposobu,
Z sercem zbolałem uciekam do grobu!
I grób nie tylko nigdy nie zawodzi
I nie z serc żywych żywot mi się rodzi,
Lecz z dawnych mogił, z pobojowisk starych
I z grobów Świętych i z tych duchów jarych,
W krainie wyższej stojących na straży,
Których to służby świat mało co waży.
A praca duchów mozołą wysługi
Spłaca boleścią wielkie gminu długi,
Co grzesznie ciężą u dziejowej truny
Niby zmierzłego żywota kołtuny.

Kto czuł i myślał za naród w niewoli,
Ach! ten wie tylko, jak złość ludzka boli.
Boć z krwi uczucia i myśli duch przędzie
I bez miłości ofiary nie będzie
Miłej dla ludzi, jak mi Pan Bóg miły.
Jakiejże łaski potrzeba i siły,
Aby się odjąć wszystkiemu, co żywe,
I z grobów tylko wskrzeszać miłościwe,
A to wskrzeszenie tak ukochać cało,
Żeby aż żyło i w nas pozostało.

Między grobami są dla mnie dwa groby
Wielkiej miłości i wiecznej żałoby:
A więc za siebie przy nich ja dziś płaczę
Na żywot w bolu i prace tułacze
I pytam Boga w tej duchów zamieci:
Stojąc jak stałem, g d z i e b ę d z i e g r ó b t r z e c i?

Dnia 4 lutego 1861 r. w Przemyślu.

ŚMIERĆ BŁOG. JÓZAFATA, MĘCZENNIKA.
(URYWEK).

I padli słudzy i padli kapłani
A biskup ducha polecając Bogu,
Gdy się zbliżają mordercy wysłani,
Biskup ich wita miłościwie w progu

I mówi do nich: „Synaczkowie moi!
Za co niewinną tę krew przelewacie?
Oto sam biskup tu przed wami stoi —
Jeżeli chcecie, to go w ręku macie.

Jam dobry pasterz i mą duszę kładę
Za owce moje, — a kto nas ciemięży,
Temu Bóg wielki zapłaci złą radę,
Bo Bóg na końcu w narodzie zwycięży.

I będzie pasterz i jedna owczarnia
W wszelkim narodzie i w obrządku wszelkim —
I słońce zejdzie a zgaśnie latarnia,
Bo Pan w Swych rządach i w Kościele wielkim."

SIELANKA.

Czeremchy pachną — i żabki grzechocą...
I błyskawice zdala gdzieś migocą...
Za cóż ja patrzę duszą tak żałosną
Na twoje czasy? I cóż mnie tak smuci?
Co mi świat zabrał — jaskółka nie wróci.

Wśród czarów ziemi i żywego tchnienia
Stoję jak więzień pośrodku więzienia —
I nie wiem, w jakąby się puścić drogę...
Bo zaklęć czarów wymówić nie mogę —
I komuż za to będę się już żalił?
Czyż wiosna wróci to, co piorun spalił?

Pachną czeremchy... i liść młody szumi...
Lecz bolów serca wiosna nie rozumi —
I płynie strumień mrucząc, jak łza czysty...
W gwiazdy się stroi nieba sklep wieczysty...
Za cóż się serce w tym pokoju smuci?
Co mi grób zabrał — wiosna nie powróci.

W maju 1863 roku.

OSTATNI LIRNIK.

...Wiatr wielkim młyńcem po stepach się żeni...
A na zachodzie, słońce bez promieni,
Niby to kula czerwona się żarzy —
Orzeł na niebie pogodnem się waży
I w wielkich kołach okrąża pustkowie...
Zdala huk jakiś idzie po dąbrowie...
I gdy wiatr zmilknie — tylko z cicha szumi
Morze bodiaków... i białe ich puchy
Jak srebrne runo do ziemi przypada —
Grę tę mogiła dla siebie rozumi
I patrząc w stepy o niej opowiada...
A radę dzielą te stepowe duchy...

Pomiędzy morzem bylin i dziewanny
Przycicha nieco ten szum nieustanny —
I tutaj usiadł starzec na mogile:
Znać, dziad wędrowny spoczął tu na chwilę —
Łaskawa koza legła mu przy boku,
I wsparł się na niej — i zagrał na lirze...
Koza uszkami w step daleki strzyże —
A starzec widać światła nie ma w oku...

To ślepy lirnik. — Czy mu przewodnikiem
W życiu tem koza? — A i któż to zgadnie,
Jakim do siebie mawiają językiem?
Lecz znać się zdają, bo legła układnie

I za lirnika patrzy koza w stepy
Mądrze i czujnie – i jest jemu okiem:
Bezpieczny zna się starzec pod jej bokiem
I gra spokojnie, choć i sam i ślepy.

Stepowe susły lubią dziwnie granie:
Więc naprzód jeden podbiegł jak na szpiega,
A potem drugi i trzeci podbiega,
I całe gniazdo susłów niemo stanie —
I graniu liry dziwi się zdumione...
Wie o tem lirnik, bo się ku nim zwrócił,
I garść okruchów z torby im wyrzucił —
Pierzchnęły zrazu... lecz się znowu nęcą
I coraz większem stadkiem wkoło kręcą
I jak chowane idą na okruchy...
A starca cieszą te stepowe duchy!
A mądra koza, co legła pod bokiem,
Ani się ruszy, ani mrugnie okiem,
Aby nie spłoszyć takich gości miłych
Na ucztę dziada i liry przybyłych.

Słońce stanęło teraz na zachodzie —
Więc i ostatni promień tego słońca
Wysłany w stepy do mogiły w gońca
Rozlał blask złoty po lirnika czole,
Po siwych włosach i srebrzystej brodzie...
I twarz poważna, miedzią ogorzała,
Już sama jedna w stepie tylko pała,
Jakby złożona na złocistem kole...

Wtem ktoś się zbliża przyspieszonym chodem...
I pierzchły susły... starzec się ocucił —
Więc i oblicze ku tej stronie zwrócił —
Koza beknęła — koźlę biegnie przodem,

A za niem chłopak ze dzbanuszkiem mleka:
I starzec ściągnął rękę do napoju,
A koza leży jak dotąd w spokoju
A małe koźlę z chłopakiem się tryka...
. . . . . .
. . . . . .

W roku 1871.

23 LUTEGO.

„ . . . Galilee, vicisti!" —
„Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło."

Drży harfa Dawida — i struna trącona
Po wiekach tak wielu — na wieki znów kona,
Duch słowa wielkiego i hasła:
Co dan był, jak rosa,
Uleciał w niebiosa —
I gwiazda dla ziemi zgasła...

Z przymierza kapłanów — po duchu rycerzy
I lutnia w ojczyźnie i oręż się dzierży,
Więc z chwałą w pokoju duch staje,
I świadkiem dom stary
Miłości — ofiary,
Co z ziemi się bierze i daje.

I świadkiem jest naród — bo pękło ogniwo,
Co pieśnią serdeczną wiązało nas żywo
Z tajemnic duchowych poczętą!
Bezbrzeżną — bezmierną,
Proroczą — eterną,
Jak drżenie gwiazd Bożych — tak świętą!

Drży harfa królewska — bo pokój wieczysty
Już zamknął te usta nowego psalmisty,
I zwłoki już jego grób kryje:
O duchu w przymierzu!
O wieszczu — rycerzu!
I wieluż ja jeszcze przeżyję?...

Zamknęły się usta — lecz pieśń się powtórzy
Żywotem narodu w wiekowej podróży —
I pójdzie jak mściciel w świat dalej:
Bo skoro zaboli
Świat męką niewoli,
To Twoją się pieśnią rozżali.

Po wielkim żywocie cierpienia i chwały
Gdy duchem się dzielim, — nam tylko zostały
Puścizną Twe szaty podróżne,
I imię Twe z chwałą,
I miejsce zostało
Jak przestrzeń eteru tak próżne!

W sieroctwie po duchu i w serca żałobie
Czem poczcim my Ciebie? — Na grobie
Krzyż — arfę i szablę położem:
Boś śpiewak był Pański,
I rycerz kapłański,
Co brzydził się hańbą i nożem.

Boś z piekła ziemskiego, z Bożego kochania,
I z męczeństw narodu, z Cherubów śpiewania
Do pieśni brał perły i przędzę:
I z góry niebieskiej
Płaszcz opadł królewski,
Co okrył zgorszenie i nędzę.

Pieśń Twoja nad ziemią, to niebo szkarłatu,
Na wielkie świadectwo i ziemi i światu —
Pieśń wieku — za naród — na czasy:
Jak rycerz orężna,
Jak Cherub potężna —
I poszła z zapasu — w zapasy!

Z pomiędzy wybranych raz jeszcze wybrany!
Twe imię w narodzie to balsam na rany,

Szermierzu wielkiego zawodu!
Nie wielom tak padło
Na dziejów zwierciadło
Wypłynąć jak „łabędź“ narodu.

Po wiernym żywocie Bożego przymierza,
Po męce śpiewaka i walce rycerza —
I dreszczach proroczej boleści:
Spoczywaj w pokoju
W światłości tej zdroju —
Od której ponawiasz nam wieści!

Spoczywaj w pokoju — po próbie za wielu!
Spoczywaj w pokoju! — boś stanął u celu —
Jak żołnierz Chrystusów ochotny:
Spoczywaj w pokoju!
Po Bożym tym znoju —
O wielki! natchniony, samotny! —

WIERSZ

NAPISANY Z OKOLICZNOŚCI OTWORZENIA W UNIWERSYTECIE PRASKIM FIZYOLOGICZNEGO ZAKŁADU PRZEZ J. N. PURKINIE.

Były dwie siostry — w jednym czasie rosły
I pracę ziemi, serce Bogu niosły
Jak gdyby w niebo wzięte Anielice,
Cichej zasługi, światła miłośnice!

Bo co już było na ziemi i niebie,
Co krzepić mogło Ojczyznę w potrzebie,
Albo ją podnieść i zacnie przystroić,
Albo jej rany poczciwie zagoić,
Wszystko to, wszystko niosły one wiernie,
Podając kwiaty, obierając ciernie,
A za ich pracą kraj się okrył sławą —
I jedna z sióstr tych wzrosła nad Weltawą,

Druga nad Wisłą — a choć świat obszerny
Rozdzielił obie już na żywot cały,
Przecież je łączył taki sojusz wierny,
Jakby u jednej matki się chowały —
I różne losy przeszły siostry obie
I dziś po wiekach patrzą znów ku sobie —
A choć je wawrzyn ziemski nie uwieńcza,
Znają obiedwie, co im świat zawdzięcza,
Bo jak krew matki, tak siostrzyce bliźnie
Rozlały światło po wielkiej ojczyźnie —
I obie napis chowały u progu:
„Cześć rozumowi, co nie bluźnił Bogu“ —
I jak przed wieki patrzą dziś ku sobie
I stara nasza Jagiellońska szkoła
„Daj Boże szczęście“ — praskiej siostrze woła,
A Praga mówi: „Szczęść Boże i Tobie!“

— Z tem samem godłem, które im wystarczy,
Na wszystkie wieki stoją dziś na straży
Córy Minerwy, oparte na tarczy,
A Bóg ich losy na swej szali waży.

Siostrzyco praska! My nie zajrzym tobie,
Bo z wieka pragniem tylko prace dzielić;
Lecz gdy tak pięknie dziś radzisz o sobie,
To szczęściem Twojem chcemy się weselić —
My ci winszujem, że wstąpił w Twe progi
Mąż twórczej siły, potężnego ducha,
A sercom naszym tak od dawna drogi,
Jak gdyby wspólna była nam pielucha —
Głos jego znany — ale z twego domu
To po raz pierwszy tu do nas dochodzi,
A choć nas prawdą wita po znajomu
Jakby głos nowy nadzieję w nas rodzi.
Janie Nestorze! gdyś do Pragi jechał,
To każdy drodze twojej błogosławił
I cichem szczęściem w sercu się uśmiechał,
Że Bóg cię w domu ojców znów postawił.

Pono zaledwo że dwa lata zbiegły,
A tyś gmach dźwignął od najpierwszej cegły,
I Pradześ owoc twojej pracy złożył
I do świątyni podwoje otworzył.

Jak Jowisz stary, gdy błyśnie śród cieni,
Tak wzrok twój strzelił z pod tych brwi krzaczystych
I znów sypnąłeś garść jasnych promieni,
By się świat przejrzał w prawdach wiekuistych —
I znowu widniej — i znów serce wierzy
W pomyślne wróżby, gdy się światło szerzy.

Jako Minerwa z czaszki Jowiszowej
Wynikła cała i do razu zbrojna —
Tak umiejętność nowa z twojej głowy
Wyszła i stoi jak posąg spokojna.

I świat się zdziwił — przyklasnęli swoi,
A nasz Jan Nestor jako Krywań stoi
Pośrodku wielkiej i sławnej ojczyzny,
Jaśniejąc blaskiem natchnionej siwizny.

Sercem wyniosły, jak anioł natchnienia —
Jasny i czysty jak promień słoneczny,
Duchem potężny, jak oddech stworzenia,
A w życiu prosty, jak światła ład wieczny.

A wierna nasza Jagiellońska szkoła
— Daj Boże szczęście starej Pradze — woła!
Ciesząc się w sercu, że jej rówiennica
Własnem swem światłem ojczyźnie przyświéca.

Bo własne światło takie miłościwe,
Że jako słońce wskrzesza duszę skrzepłą,
A prawdy wówczas, jak natchnienie żywe —
Gdy je ogrzewa wielkiej duszy ciepło.

Janie Nestorze! Nie nam Ciebie sławić,
Lecz nam siwiźnie Twojej błogosławić,
Co jako jesień, w owoce bogata,
Sieje nasiona dla przyszłego świata.

Nie nam cię sławić, bo cóż Tobie sława?
Gdyś to pokochał, co ludzkości święte,
Co niebo ze krwią synom ziemi dawa,
Co tam na tronie Boga jest poczęte,
A tu w płomiennych duszach się ukrywa
I najzacniejszych tylko cząstką bywa.

Janie! czyś w radzie siedział tam u góry,
Żeś odgadł wielkie tajniki natury?
Bo jakbyś patrzał przez słoneczne wrota,
Dojrzałeś związku ziemskiego żywota
I z tym dobytkiem wróciłeś do Boga —
Bo wielka mądrość nie pobluźni Panu,
Lecz wielbi Stwórcę z ojczyzny kurhanu,
Skąd dla niej prosta do samych gwiazd droga,
Bo wielkiej sprawy wiecznie miłość źródło —
Bo z świętej woli praca pochop bierze —
A jeśli serce w walkach nie wychłódło,
Spaja mądrości i wiary przymierze.

Takim Ty wieszczem w swym rodzinnym domu!
A w Twoje prawdy, jak i w Ciebie wierzem —
Szczęśliwi, w sercu, że jak cześć dać komu,
Żeś nam miłości i prawdy rycerzem.

A cześć i Tobie, Mężu dobrej woli,
Co siejesz światło po poczciwej roli —
Cześć Ci oddają obie szkoły bliźnie,
Czeska i nasza, żeś wrócił ojczyźnie
Wielkiego Męża, jako klejnot jasny —
A jemu rozkosz służyć ziemi własnej.

Co zacne, w dziejach nie przejdzie bez śladu,
Lecz ziarnem Bożem strzeli w pokoleniu —
I siędą kiedyś ludzie w tych drzew cieniu —
I zerwą kiedyś owoc tego sadu.

W Krakowie d. 1 marca 1852.

DO TRENÓW.

Panie! zwątpienie ogarnęło duszę
I cały żywot zaciężył i grzechy —
Myśl bez natchnienia — serce bez pociechy!
I jak mur stary w kawałki się kruszę...

Czym ludzką może pogrzeszył miłością?
Czy zbytnią wiarą, czy ziemską nadzieją?
Że cały żywot tak mi staje kością,
Że mi zwątpienia chwasty w dusze sieją?...

O był Stróż Anioł, co nade mną czuwał
I chmury z nieba i z czoła odsuwał!
I łódź żywota kierował na strugi —
Dziś niema portu, niema i żeglugi!

Nie przez me Panie, lecz przez Jej cierpienie
Daj prostą drogę i życia streszczenie —
Niechaj nie ginę już pod koniec bitwy!
I od zwątpienia oczyść — przez modlitwy.

W Krakowie d. 28 grudnia 1855 r.

DO
NAJŚW. MARYI PANNY CZĘSTOCHOWSKIEJ
OFIAROWANIE.

Królowo Nieba! Pani dobrej wieści!
Matko miłości i Matko boleści!
Oto się ciskam do stóp Twoich w prochu,
Przyjm moją żałość i mą miłość w szlochu!
I niech to wdzięczna będzie Ci ofiara,
Co na mnie padło jak łaska i kara,
Oboje składam na Twoje ołtarze. —
Coś dać raczyła, racz to przyjąć w darze —

Oboje składam Tobie jako jeniec
To polskie pióro i ślubny pierścieniec!
Tu — gdzie królowie składali koronę,
Tu — gdzie hetmani składali buławę,
Ja się uciekam pod Twoją obronę
Życiem złamany i boleścią krwawy...
Przyjmij moje pióro i pierścionek żony
I niech po stracie łaska Twa posili
I silna wiara: Że pod Twe obrony
Przyjmiesz mnie Pani w tej skonania
Długom się błąkał za sprawą bez ceny — [chwili!
Dziś w mej boleści — dziś pojmuję Ciebie
A więc i modły i żałosne treny,
Pióro i pierścień składam w mej potrzebie!

Niechaj tu świadczą nieszczęściu i wierze
Onej niebieskiej i ziemskiej miłości!
A kto odmawiać tu będzie pacierze
Niech za nas westchnie — bo kość idzie z kości!

I wiara z wiary — z nadziei nadzieje —
Miłość z kochania — i co się posiało
Od zwiastowania, niechaj stoi cało
I z pokolenia w narodzie się sieje!...

Gloria in excelsis Deo!

W Krakowie d. 9 stycznia 1856 r.

Z PODRÓŻY PO BURZY.

I.

WIELE — MAŁO

PRZEBOLAŁO.

Gdzieżeś? gdzieżeś wieku młody!
Gdzie podziały się te czasy?
Gdzie przejrzyste moje wody?
I zielone moje lasy?!

Gdzież są owe ludzkie twarze?
I dusz czystych Boskie dary?
Ach! i święte te ołtarze,
Kędym pierwsze niósł ofiary?

Gdyby jeszcze taka chwilka
Zawitała z ranną zorzą,
Gdyby takich uczuć kilka
Padło w duszę rosą Bożą?

Gdyby takie głosy wieszcze
Pan do duszy zesłać raczył?
To nie tylko, żem przebaczył,
Ale mógłbym kochać jeszcze!

Boć bogate niby wiano
Było życia mego rano,
Czyste, ciche i szczęśliwe,
A jak ziemia miłościwe.

I.

Stary dworzec modrzewiowy
Stał na kępie — wkoło wody
Były sady i ogrody,
W dali łąki i dąbrowy.

Smukłe świerki nad sadami
Były widne już z daleka,
A za sadem i lipami
Był tam futor i pasieka.

W niej to miałem przyjaciela
W starym naszym pasieczniku,
I radości tam bez liku,
W dniach dziecięctwa i wesela.

Był to starzec tak życzliwy,
I jak słońce tak pogodny,
Jako dziecko tak łagodny,
A jak ziemia miłościwy!

On mnie szczepić uczył drzewa,
On poznawać uczył zioła;
Co się zbiera, co się siewa,
I jak żyje w ulu pszczoła...

Z nim na mannę i na grzyby
Biegłem w łąki i w dąbrowy,
I w dzień postny z nim na ryby,
I na kwiaty w dzień godowy.

A w południe, gdy wesoła
Na świat cały grała pszczoła,
Utrudzony wśród pszczół brzęku,
Usypiałem mu na ręku.

Jak pustelnik albo Święty,
Pracowity i modlący,
Wiecznie skrętny i zajęty,
I zabiegły a milczący.

Tak poczciwie się zachodził,
Jak staranne jego pszczółki,
Zbierał zioła, wonne smółki,
Wkoło sadu nocą chodził.

I gromadził i hodował,
Co być mogło pożyteczne,
Lecz dla siebie w sercu chował
To jedynie, co jest wieczne...

Więc w prostocie i w pokorze
Miłosierdzie wielbił Boże,
Co nam dało łąki, gaje,
I owoce i ruczaje,
I bliźniego twarz w uśmiechu,
I tę pszczołę, co bez grzechu,
A największą słodycz daje!

Jak Bóg Ojciec gospodarzy,
Sypiąc dary w Swej dobroci,
I bez zasług ziemię darzy,
I pociechą życie złoci, —
Tak i on tam gospodarzył
W swej pasiece miłościwie,
I darami ziemi darzył,
I oświecał mię życzliwie. —

Wszystko było tam do składu:
Gdzieś w króbeczce i jagoda,
I najźralszy owoc sadu,
I kryniczna zawsze woda.

Tam też biegłem na przysmaki; —
I ochotnie były dane
Plastry miodu i łuszczaki,
Z pod wiewiórki podebrane.

Wiosną słowik tam zawodził,
Kiedy kwilił do gniazdeczka;
Latem chruściel tam podchodził,
I wabiła przepióreczka.

I już takich dni słonecznych,
Dni miodowych i dni mlecznych,
Gdzie pierś matki ziemi ssałem,
Nigdy więcej nie zaznałem!...
I po dziś dzień duszę jeszcze
Tem wspomnieniem tylko pieszczę...
Kiedy wstąpię w gniazdo węży,
Kiedy żywot mi zacięży,
Kiedy upał pierś wysuszy,
Tęskno w sercu, — czarno w duszy.
Ciężko dźwigać i daremno:
Staje futor ów przede mną,
I pasieka z swoim chłodem,
I krynica z swoją wodą,
Ach i ziemia z tą swobodą,
Co płynęła mlekiem, miodem.

A gdy duszę ukołyszę,
To wyraźnie niby słyszę
Głos mi znany, choć daleki,
Jak od łąki czy dąbrowy:
— Porzuć, porzuć świat jałowy,
A powracaj do pasieki! —

Gdzieżeś? gdzieżeś przyjacielu?!
Mój ty stary pasieczniku,
Pierwszy mój nauczycielu,
Bogobojny pustelniku? —

II.

W starym zamku króla Jana
Był tam pokój w narożniku,
W okna biła zorza rana,
I stoliczek stał w kąciku.

Na nim pióro, kałamarzyk,
Kilką skryptów, książek parę,
A nad łóżkiem relikwiarzyk,
A przy łóżku krzesło stare...
Wielki komin marmurowy
Płonął nocą w drugim rogu,
Nad nim hetman stał surowy,
Co ojczyznę zlecił Bogu...
A na środku tej komnaty
Stał stół duży, a na stole
Stał krucyfiks strojny w kwiaty.
W tym to domu, w takiej szkole
Uczył mentor mnie miłości
Przy porannej owej zorzy;
I pierwiastki mej młodości
Jam bojaźni święcił Bożej...

Ksiądz Bazylian, starzec siwy,
I zakonnik miłościwy,
Był podówczas mym mentorem,
I za jegom stąpał wzorem. —
Święte były jego ślady!
Mądre mowy, wielkie rady!
Bo czy uczył, czy to prawił,
Tylko światu błogosławił;
I co dobrem tylko było,
I czem życie się zbroiło,
To od niego wszystko wzięte!
Bo w pokorze mnie układał,
Dzieje Polski, Pismo święte,
I Plutarcha opowiadał.
A gdy prawił Greków dzieje,
Ze czcią patrzał w twarz hetmana; —
Gdy miłości i nadzieje,
Na Chrystusa patrzał Pana.

A gdy bliższe dzieje prawił,
Czasem ręką tylko rzucił,
Z relikwiarza ócz nie zwrócił
I domowi błogosławił. —
Błogosławiąc nic nie gadał,
I podobien był Świętemu.
A jam do nóg jego padał,
I płakałem, nie wiem czemu...
Wówczas mawiał mi w miłości:
„Błogosławię twej młodości!
A jeżeli dola sroga
Cię wybierze na boleści,
To niech obok nich się mieści
W sercu twojem wielkość Boga!"

Po nauce po dniu całym
Wracał mentor do klasztora;
A ja sam już zostawałem
Sam z kozakiem od wieczora;
I nie miałem towarzysza
Prócz człowieka do usługi;
Kozak, komin, nocna cisza,
To młodości mentor drugi.

Z Ukrainy był on rodem,
Tęsknił po niej jak po raju,
Bo wiązała go z narodem
Pieśń od Dniepru i Dunaju.
W zamku zwano go Sokołem,
Boć sokole miał też oko,
W świat poglądał hardem czołem;
A już serce tak wysoko
Nosił w piersi — że z postaci
Niktby pewnie go nie ganił
Wśród rycerskiej nawet braci,
Gdyby hufcom zahetmanił. —
Słów nie wiele — wiele treści,
Wiele życia w oku, w ruchu,

W sercu wiele miał boleści
I rozpaczy pięknej w duchu.
Jednem słowem umiał zganić,
Lub przytulić i pochwalić,
Umiał rzutem oka zranić,
I pochwycić lub zapalić. —

On to serce me zagrzewał,
I do konia mnie układał,
I wieczorem dumy śpiewał,
Nocą gadki opowiadał.
I pod niego, chłopię małe,
Jam się tulił w tem zamczysku —
I wieczory, noce całe
Siadywałem przy ognisku.
I przy jego pieśni dźwięku
Jam usypiał mu na ręku.

— Dziś paniczu wyście młodzi;
Lecz gdy dojdą wasze lata,
Znać wam trzeba, że ze świata
Milczkiem schodzić się nie godzi!...

Wiele w świecie się przedziało,
Dziać się będzie jeszcze wiele;
W stepach mogił tam niemało
I niemało dusz jest w ciele... —

Tak mi mawiał — a ta gadka
I ta jego pieśń ponura,
To mych pierwszych natchnień matka,
To mój Homer i Padura!

I po dziś dzień w duszy jeszcze
Grają jego pieśni wieszcze;
Gdy świat zmroczy mgła jesienna,
Gdy zatęsknię do ogniska,
Gdy nadchodzi noc bezsenna
A pierś ciężko coś uciska:

To po dziś dzień wielki Boże!
Jak się wsłucham w nocną ciszę,
Jak się w tamte czasy wdrożę,
To pieśń jego jeszcze słyszę,
Jak od stepów, jak od szlaku...
. . . . . .
Gdzieżeś? gdzieżeś, mój śpiewaku?!

III.

Stary zamek zamierzchł w dali,
I ów ogień zgasł o ranku,
Moi drodzy pozostali,
Płacząc oba na krużganku.

I po smutnych dniach podróży,
W nowem siadłem znów gniazdeczku;
Kościół, klasztor przy miasteczku;
A poniżej był staw duży.
Inne strony, inni ludzie...
Ale póki młodość służy,
Zawsze jeszcze cud po cudzie, —
I o szczęściu serce wróży.

Wszystko tutaj było nowe,
Wszystkom brał też sercem chciwie;
A że było proste, zdrowe,
Lgło do duszy miłościwie.

Piękny widok był z mej celi.
W którąm tylko strzelił stronę:
Na obrazy świat się dzieli,
W Boże barwy ustrojone!

Tam ze wschodu świeci zorza,
Tam ogródki i dworeczki,
Między łąki, między zboża
Płyną drogi i ścieżeczki.

Z drugiej strony staw i rzeka,
I dąbrowa gdzieś daleka,
A jak łabędź na pogodzie,
Pławi łódka się po wodzie;
Czasem zarży koń od rzeki,
Czasem padnie strzał daleki.

Staw ogromny jak jezioro,
Kilka młynów, grobla długa,
Na łotokach szumi struga,
I rybackie ognie gorą...

Z książką w ręku tam bywało,
Chodzę sobie ponad brzegiem...
A gdy zmierzchać poczynało,
Puszczam myśli z tych wód biegiem.
I tak długo w myślach tonę,
Aż już niebo wyiskrzone,
Ukąpane w nocnej fali,
Nad myślami się użali.

Raz gdym siedział zadumany,
Posłyszałem głos nieznany,
Co gdzieś z głębi wód dobiegał,
I tajemnie mnie ostrzegał:

— Ej paniczu! ej ostrożnie!
W głębią patrzyć to bezbożnie!
Bo topielec bywa w głębi...
A jak serce wam wyziębi,
I oślepi i omami,
To wpadniecie do niej sami... —

— Kto tam? — pytam, bo już ciemno
Było wkoło, — aż tu w biegu
Łódź pomknęła się po brzegu,
A człek jakiś stał przede mną.

Serce zdjęła zimna trwoga,
Lecz, że witał w imię Boga,
Zatrwożenie było krótkie,
I skoczyłem w jego łódkę.

— Po co? na co? — nie wiem wcale!
I tak lekko niosły fale,
Żem nie pytał. — Bo któż pyta,
Gdy za serce urok chwyta?

W czarnoksięskiem stałem kole,
Pośród toni na tej łodzi —
Gwiazdy w górze, gwiazdy w dole,
A dnem cicha ryba chodzi...

Na tajemne wód przezrocze
Mgła rzuciła swe warkocze,
Dzikich ptaków senne gwary
Przerywały czasem ciszę,
Gdy się łódka zakołysze,
Pomykając przez szuwary.

I znów cicho — Boska jazda,
Bo przed łódką wiecznie gwiazda,
A za łódką z gwiazd usłana
Płynie dróżka karbowana.

Ile kropel bryźnie z sieci,
Tyle nocnych pereł świeci,
I na fali znowu uśnie;
Czasem tylko ryba pluśnie,
Czasem tylko czajka w dali,
Z wierzchowiny się pożali...

Świat był cichy — duch ochotny —
Toń zaklęta dziwną mocą;
I szczęśliwy był trzykrotny
Połów ryby przed północą...

Na me szczęście sieć rzucona
Powracała napełniona,
A mnie serce w piersiach rosło,
Kiedym wracał do noclegu...
I odłożył rybak wiosło,
I, żegnając mnie u brzegu,
Błogosławił mej młodości:
— Dajże Boże takich gości,
I niebieską pokrzep rosą,
Co biednemu szczęście niosą! —

I od owej chwili czystej
Na dnie toni myślą siadłem;
Ach i nieba sklep gwiaździsty
Stał się odtąd mem zwierciadłem.

I szczęśliwym biegł w tę drogę,
Że się komuś przydać mogę;
I gdym stanął na tym brzegu,
Łódź zwracała ku mnie w biegu.
I ów rybak witał z łodzi
Jako dobrej wróżby posła,
Bo łódź rybę ledwo niosła...
Tak bywało łów się godzi —
I te noce tajemnicze
Dotąd ja do cudów liczę!

Gdzie natchnienie biorąc z góry
Pośród niemych towarzyszy,
Podsłuchałem w nocnej ciszy
I niejeden głos natury,
I niejedną tajemnicę,
Co się po dniu nie odgadnie —
Lecz wybije jak na lice,
Gdy się nocą duch wykradnie,
I ku gwiazdom w niebo dąży,
I z sferami razem krąży!

Gdzież te czasy? któż je liczy?
Kiedym w owej łódce stawał?
Kiedym drugim szczęście dawał?
Gdzieżeś? gdzieżeś mój stawniczy? —

IV.

Jak gdy wiosną wzbiera woda,
Niesie łódkę na swej fali,
Tak też płynie dusza młoda
Prądem życia coraz dalej!

Boga Ojca przeczuwałem
Cichym rankiem przy pszczół brzęku;
Zbawiciela ukochałem
Po kapłańskim idąc ręku. —
A Duch święty łaskę dawał,
Kiedym w owej łódce stawał,
I natchnienie w piersiach rosło,
W ciszy, w modłach z łask poczęte...
I Plutarcha, Pismo święte,
I pieśń nocną serce niosło!...

Z tą więc łaską Trójcy świętej
I z tym skarbem duszy młodej
W kolej życia raz popchnięty
Nie lękałem się przygody.
Ranek życia był słoneczny,
Więc za słońcem w świat szeroki
Kierowałem moje kroki,
Lub za radą drogi mlecznej!

Bo mi mówił głos tajemny:
Kto na gwiazdy się kieruje,
Nie zaginie w toni ciemnej,
Ale perły z dusz wykłuje!

Na dno życia! na dnie waga!
Na dnie tylko prawda naga!

I natchnienie rwie się z głębi,
Kiedy w sercu krew zakłębi!

W głąb też poszło wszystko we mnie,
Gdzie duch ludzki nie zapadnie,
I wzrastało tam tajemnie,
Jako rośnie perła na dnie. —
A czem głębiej się zanurzył
Duch mój, nurek, w toń bezdenną,
Tem też bardziej świat się chmurzył,
I chodziłem z duszą senną.
W duchy, w gwiazdy rosła wiara,
A dzień ciężył mi jak kara,
Wszystkie perły na dnie morza,
Wszystkie Boże gwiazdy znałem;
Lecz gdy ranna błysła zorza,
To jak zbrodzień przed nią drżałem.
I już ledwo do zachodu,
Że mi stało w piersiach tchnienia,
Tak pragnęła dusza chłodu,
Chłodu, ciszy, gwiazdy, cienia. —
Boć i kwietny i owocny
Był dla duszy żywot nocny.
Boć tam miło w Bożym domu;
A nie było ostrzedz komu:
— Ej paniczu! ej ostrożnie
W głębię patrzeć — to bezbożnie! —

Szczęściem było, że me kroki
Mój Stróż Anioł poprowadził;
Aż przebrnąłem nocne mroki,
Aż wśród sadu mnie posadził. —

Gdym się zbudził, patrzę wkoło
Jakaś wioska i zacisze,
I wiosenno i wesoło,
I głos jakiś w sadzie słyszę,

I śmiech jakiś tak szczęśliwy,
Że do razu mną zawładał,
Jakby urwał się zdrój żywy,
I od nieba w serce padał. —
A więc za nim biegłem drogą,
Lecz nie było już nikogo...

Głos to Nimfy, czy Dryady?
Że tak znikła — między sady...
Choć gałązka jeszcze drżała
Gdzie jej ręka kwiat zerwała...

Wpośród sadu cienistego
Stał na baszcie dwór łowczego,
A dwór drugi stał za sadem,
I pan łowczy był sąsiadem.

Stary szlachcic kochał rolę,
Sady, pszczoły, konie chował,
Ani kupczył, ni budował...
A gdy wyszedł, chyba w pole,
Ale dalej ani kroku
Od owego jeszcze roku,
Jak markotny z sejmu wrócił
I do skrzyni szablę rzucił:
— I ja wdowiec i ty wdowa! —
— Te ostatnie były słowa —
— Gdy cię Pan Bóg w pochwę schował,
Znać, już będzie sam wojował. —
I jak sobie to powiedział,
To już życie sam przesiedział,
I po sadzie tylko chodził,
Aż Bóg starość znów osłodził. —

Piękna córa mu urosła,
Wychowana gdzieś w klasztorze,
I w próg ojca szczęście wniosła,
Co osępiał w starym dworze.

Bo ożyły znowu głosy,
Słodkie, wdzięczne i ochotne...,
I te kąty tak samotne
Zapomniały na złe losy. —

Gdym raz pierwszy ją zobaczył,
I tę jasność od jej czoła,
Rozumiałem, że Anioła
Głos pozdrowić duszę raczył. —

Włosy krucze, dziwnie lśniące,
Z rzęs padało iskr tysiące...
A jak włoskie niebo owe,
Takie oczy szafirowe. —

A gdy im się przyjrzeć padło,
To głębokie jak jezioro,
Coraz inne każdą porą,
A tak wierne jak zwierciadło...

Na te oczy i w tym progu
Jam też złożył śluby Bogu.

V.

Pośród sadu cienistego
Stał na baszcie dwór łowczego,
I w tym cichym starym dworze
Jam ślub złożył Tobie, Boże!
Wiernie służyć wiernej sprawie
I poczciwej ojców sławie,
I czcić sercem, co jest święte,
I w światłości tam poczęte.
Noc to była — cicha, ciemna,
A jak przyszłość tak tajemna...
Przy otwartem oknie stałem,
Patrząc w gwiazdy u jej boku,
A gdym przysiągł — łzę ujrzałem,
Łzę anielską i w jej oku.

Ach i ręki jej ściśnieniem
Utwierdzony, pożegnany
Niby świętem namaszczeniem,
Jam się rzucił w świat nieznany.

To ostatnia chwila złota
W owej nocy, w owym dworze...
A na resztę dni żywota
Spuść zasłonę wielki Boże!

Bo w krzyżowe życia drogi
Szedłem długo i ochotnie,
A dziś idę już samotnie,
Cichy w sercu i ubogi. —

Niema przed kim się pochwalić,
Co udało się ofiarą,
I potężną serca wiarą
Wyrwać z toni i ocalić. —

Niema komu się pożalić,
Że co drogie i co święte,
Tak na opak w świecie pchnięte!
Ale śluby wiecznie święte!!

Com zaprzysiągł owej nocy
Przy Twej łasce i w tej mocy,
Jam dotrzymał, wielki Boże!
I uszczknąłem różczkę z dębu,
Co stał jeden pośród zrębu,
Ale komuż ją dziś złożę?

Któż to waży moje śluby,
W całą kolej życia wzięte?
Czy zapyta mię głos luby,
Co mi w życiu było święte? —

Któż mnie śledził po tej wstędze?
Gdzież jest świadek mojej drogi?
Sławę cisnął świat pod nogi...
Ja mu rzucam moją nędzę!

Bo z wszystkiego mię odarto,
Co od Boga było dane; —
A więc kwita — bo zmazane
Krwawe życie — krwawą kartą!

O jest wielka natchnień wstęga,
Co sojusze ziemskie sprzęga,
I w miłości tu poczęta,
Na tej ziemi się nie kończy;
Lecz tysiące duchów łączy,
Jako perły w jednym sznurze,
I tysiące serc ozłaca;
Aż nareszcie w niebo wzięta
Płynie tęczą tam ku górze
I do źródła swego wraca. —

Jam nie zerwał nici świętej
Z natchnień przędzy tam poczętej,
Lecz to pewna, wielki Boże!
Kiedy w złości ją zerwano,
To garść pereł rozsypano,
I nikt związać jej nie może. —
I już iskra nie przeleci
Po tej nici Bożem drganiem,
I ni szczęściem ni kochaniem
W sercach więcej nie zaświeci.
Bo już skrzydło Archanioła
Uleciało z tego koła,
A w ubóstwie i na grudzie
Siedzą w smutku nędzni ludzie...

Więc nie można już nic było
Zdobyć sercem ani siłą?

Ni sumieniem, ani ręką,
Ani pracą, ani męką? —

Ni wybawić, ni ustalić
Ni miłością, ni natchnieniem?
Ni odkupić, ni ocalić
Tak pięknego ranku tchnieniem?...

A więc wszystko już daremne?
Więc po pracy iść na trwogę?
I koleje takie ciemne,
Że już niema łzy na drogę!

Więc poezyą to nazwano,
Co tak pięknie i tak rano
Zeszło duszy w łasce Bożej?
Przed czem młodzian nieraz klęknął,
Pod czem w mękach mąż zajęknął?
Czemu starzec się ukorzy?

Próżne żale i zaklęcia...
Bo kto z wiarą szedł na czele,
I do dania kto miał wiele,
Ten nic nie ma już do wzięcia!

Stąd nie pytam, gdzie ta droga,
Ach i dokąd się przewali,
Byle tylko na niej dalej
Nas trzymała ręka Boga.

Bo czem tylko przeszłość świeci,
I co blask po ziemi nieci,
To poczęło się w miłości,
Na dnie duszy i sumienia
Stało siłą poświęcenia,
A nam przeszło w krew i w kości!

II.

CIERPIENIA BEZ CENY

I TRENY — NIE TRENY.

JAKO BYWAŁO.

Jako bywało — tak będzie zawdy:
We śnie, spoczynku — w pracy, pokoju,
A w prostem sercu czucia i prawdy,
A czystej wody szukaj u zdroju —
A jeśli wszystko, wszystko zawiedzie,
Nie my ostatni, nie my na przedzie.
Więc z Bogiem bracie! i za drugiemi
Składaj to wszystko w Bogu, a w ziemi!

Boć skarby życia ten odniósł w zysku,
Kto i po Bogu i w dobrej wierze
Największe prawdy najprościej bierze,
I na króciutkiem ma toporzysku.
Kto i to robi i o tem radzi,
Co mu po ojcu i dziadu padło,
I znaną drogą konia prowadzi,
A i tam siedzi, gdzie im się siadło.

Bo choć wybiegniesz w bucie młodzieńczej
Na inne drogi, na inne światy,
To przecież skronie tylko uwieńczy
Szczęściem ten widok rodzinnej chaty;
Bo choćbyś drogi świata zrozumiał,
A nawet dziejów dożył na sobie,
Obronną ręką z walki wyjść umiał
I nie zapłakał na żadnym grobie! —

Przecież z pielgrzymki wrócisz dalekiej
Bardzo spragniony do skarbów naszych:
Do tego sadu, do tej pasieki,
I do tych samych gniazdeczek ptaszych,

Coś je wykręcał chłopakiem psotnym...
Wrócisz spokojnie, wrócisz samotnym,
I ujrzysz prawdę w życiu roślinnem,
I w tem zwierzątku, które bez grzechu,
I ujrzysz prawdę w dziecku niewinnem,
W jego szczebiotach, w jego uśmiechu:
I chociaż wówczas innym już będziesz,
Gdy przy ognisku, lub w cieniu siędziesz,
Jednak łzę otrzesz na głos skowronka,
Lub na wołanie wiejskiego dzwonka.

Bo kędy myślą tylko uderzysz,
I czy uwierzysz, bracie, czy zmierzysz:
Po wszystkiej ziemi znajdziesz ład wszelki,
Bo świat jest Boży — a Bóg jest wielki!
I nie to wielkie, co bywa szumne,
Ani to wielkie, co siłą dumne,
Ani to wielkie, czego nie zmierzyć;
Jedno to wielkie — w co człeku wierzyć,
Jeno to wdzięczne, co człeku grzeczne
A jako sprawy Boże — jest wieczne...

I nie ta ziemia przed insze sławna,
Gdzie wiele ludu i bogactw zdawna;
Lecz onej ziemi nad insze chwała,
Kędy ta czeladź pańska dojrzała,
Kędy człek poznał Boga na niebie
A świętą prawdę doma u siebie;
I w onej ziemi to już najpierwsze,
Co ci od pieluch było najszczersze:
Więc rola twoja, więc dom ojcowy,
I one wdzięczne stare dąbrowy,
Więc i mogiły, gdzie dziadów kości,
Toć twoje skarby, toć twe miłości,
Toć wieczne sercu twemu kochanie...
Bo wiele minie — a to zostanie! —

DO GOPŁA.

Ziemicą Piasta szeroko rozlane
Witaj nam, witaj Gopło Kujawiane!
Jak tło przeszłości fale twoje ciemne,
Jak powieść ludu głębie twe tajemne!...

Powiedz mi, powiedz, czy morzu naszemu
Świat cześć oddaje jeszcze po staremu?
Czy się korabie po twych falach pławią?
Czy słuchasz modłów pobożnych żeglarzy?
Czy wiosna pieśnią wita cię żórawią?
Czy orzeł jeszcze nad tobą się waży! —

— Dawno już dawno po mojej tu wodzie
Nie chodzą więcej te ładowne łodzie —
Nie słyszę modłów — nie widzę żórawi,
Ani się orzeł po powietrzu pławi;
Ale się niebo przeziera w mej fali,
A czasem gwiazda nad nią się użali.

ŻALE.

Już to ubiegło gdzieś lat tysiąc blizko,
A jeszcze świadczy pogańskie Żalisko
Owym to dziejom z tamtej strony Krzyża,
I z trwogą serce do „Żalów“ się zbliża:
Bo i tu pono świat serdecznie bolał,
I bardzo kochał — to, co łzami polał...

Na wierzchu ziemi ileż tutaj wrzawy?
A tam pod ziemią jakaż cisza głucha?
Bo cała praca żywota i ducha
Składa spokojnie wszystkie swoje sprawy
Po wielkiej wrzawie w małą popielnicę...
I stawia przy niej na straży łzawnicę...

A przecież w małej popielnicy leży
Wszystko zebrane na króciutkiej wici,
Czem człowiek stoi — co kocha — w co wierzy,
I czem się jeszcze u potomnych szczyci:
Bo popiół zacnych i krew serc ognistych,
I zbroje dzielnych — i ofiary czystych...

I stare „Ż a l e“ — o to księga stara!
A choć nie bardzo czytelna ta księga,
Lecz że człek tutaj przez łzawnicę sięga
Po przeszłe dzieje: więc wszystkiemu wiara,
Co popielnica od wieków tu chowa,
I wszystko świadczy -- prócz ducha i słowa. —

DO ODRY.

Odro graniczna!
Odro prześliczna!

Siostro! co bieżysz młodszych Piastów krajem,
My tobie wdzięcznie wszystką Wartę dajem:
A ty, by gniewna, jedno nas pominiesz,
I niekochana na kraj morza płyniesz.

— Nie dziw się, bracie! że mi od was spieszno,
Bo mi obmywać przyszło wiarę grzeszną,
Tom rada od niej wypocząć zdaleka,
A tam Rujana na mój uścisk czeka;
Więc miło spocząć i strapionej wdowie
Po ciężkiej drodze na Bożem ostrowie...

BAŁTYK.

Jeszcze po świecie starożytnym słynne
Były te wody i lądy bursztynne!
Ku nim to Fenik biegał w bród daleki,
Ku nim Słowianin korabli czeredą
Pływał — i kupię składał pod Wenedą.
Ku nim to, ku nim, płyną nasze rzeki —

Co ziemia zrodzi i co kmieć przysporzy,
Chętnie i cało odnosim w czas Boży...
Co jeno Bóg dał — to domowe łodzie
Niosą im w darze po gościnnej wodzie.
Ale jak stara wiecznie boli blizna,
Tak od północy wieje Pomorszczyzna...

DO TATR.

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe
Z dawnaście znane, a wieczniście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością...
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością.
Bo nie wziąć myślą, co oko zakréśli,
Ani wziąć okiem, co ogarną myśli...
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecieć.
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą...
I gdyby nie lud, co dumne te czoła
I te przepaści oplątał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami...
Gdyby nie powieść, co swymi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie —
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha tchnienie...
A wy strażnice śniegami świecące,
Stoicie wiecznie, niemo i surowo
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

DO WISŁY.

Śpiewał Klonowicz niegdyś twoje wdzięki,
Kiedy na twoich falach się kołysał,
I mówił kreśląc o „Flisie“ piosenki:
„By to być mogło, radbym złotem pisał
Twoje pożytki, porty a i wstręty.“
A ile razy patrzę na twe wody,
I na te stare po twych brzegach grody,
A po przylądkach widzę krzyż zatknięty,
Stają przed duszą starzy gospodarze,
Wielcy dziedzice twojego porzecza...
I z Klonowiczem o tym „Flisie“ marzę,
I o oraczach od krzyża i miecza. —

Miło spoglądać Wisło na twe nurty,
Na te ładowne złotym darem burty...
Lecz jam cię poznał, gdzieś u źródła trysła,
Gdzie cię „Wisełką“ góral zwie w miłości;
Toś też mi miłą niby dziecię Wisła,
Bom ja ukochał, co kochają prości,
I tak rozumiem, gdy na ciebie patrzę,
Że to i dobrze i znamy się dawno...
I lica Twojej — dużo dla mnie gładsze,
Bo znam Cię dzieckiem i niewiastą sławną.

Gdym u kolebki tego dziecka marzył,
Orzeł tatrzański nad głową się ważył,
I rzekł mi góral: W naszej tutaj stronie
Zwą ją „Wisełką“, bo wesoła, młoda,
I jest „Wisełką“, nim minie Ustronie;
Tak ją nazwano tu w górach i rano,
A co tam dalej jej na wiano dano,
To pono lepiej Wy panoczku wiecie,
Co tam szeroko chodzicie po świecie.

DO ŁANÓW.

Łany i łany — jak zasięże oko!
I miło sercu, i duszy szeroko,
Gdy wpław się puści po tej kłosów fali
I żyznym światem płynie coraz dalej.

Więc witaj w Bogu, ziemio urodzaju!
Błogosławieństwa! witaj chlebny kraju!

Jak czysta rozkosz cieszyć się bławatkiem,
I ludzkich dzieci szczęśliwym dostatkiem!
Jak wielka siła, co tworzy spokojnie,
Jak wielka łaska, co tak darzy hojnie!

Ileż miłości po tych miedzach siadło!
Z czyjej to ręki tyle ziarna padło?
Ileż nadziei zdano w dobrej wierze,
A nikt tych skarbów na polu nie strzeże?

Wielkie to znaki Opatrzności Bożej,
Że nad tem ziarnem sam Pan tylko czuwa,
I niebem swojem ponad rolą suwa,
Gdy kmieć na roli ziarno już położy.

Krzyżowa droga w łanach się przewija,
I na rozstajnej drodze stoją krzyże,
I polny konik swoją piosnkę strzyże,
I płyną kłosy — lecz nie wiedzieć czyja
Miedza i rola i rozstajna droga?
Kto tutaj ziarno rzucił w dobrej wierze?
Kto krzyż postawił i poczcił tu Boga?
I czyja ręka ten plon jeszcze zbierze?

DO NIEMNA.

Powiedz mi, Niemnie! puszcz obywatelu,
Które ci strony twych porzeczy miłe? —
Któreś ukochał z tych zabrzeży wielu?
Czy leśne łąki i puszcze zawiłe?
Czy piękne skały, kędy płyniesz kręto,
Gdzie twe zabrzeża strojne jak na święto
Wdzięcznie się sklepią gajmi lipowemi,
I miło szumią wodami leśnemi?

Czyliś ukochał może te powiaty,
Gdzie, jak kniaź Litwy władny i bogaty,
I nie ujęty w obcej woli karby,
Na morze niesiesz starej Litwy skarby?
— Pytasz? Czy sądzisz, że ja nie mam serca,
Kiedy się z sercem po mych brzegach rodzą?
Miłać woń wprawdzie leśnego kobierca,
Lubię szum puszczy, gdy nią wiatry wodzą.

Lubię zakręty skalistych ustroni,
I woń miodową, którą lipa roni;
Ale najcudniej świat mi się układa,
Gdzie droga Wilia w me ramiona pada,
I najwdzięczniejsza Kowieńska dolina
W całem dziedzictwie kniazia Giedymina...
Bo jak kobierzec ślubny się rozściela
I wiecznie świadkiem naszego wesela...

DO PUSZCZY.

Co to za dziwne, co za Boże głosy,
Jeśli je dusza w natchnieniu zrozumie:
Kiedy nad głową cała puszcza szumi
I swych pokoleń opowiada losy!

Niby na morzu płyną wielkie fale
Wierzchem sklepienia — gaiste — swobodne —
Sporne — niesporne i zgodne — niezgodne —
Groźby — nie groźby i żale — nie żale:
Lecz wszystkie razem tak wielkiego tchnienia,
Jakby im poszło gdzieś od słów stworzenia!
Co znów za urok! kiedy głucho stanie
Odwieczna puszcza na Boże zaranie!
Nieme olbrzymy stają niby we śnie,
Jednak duch taki z pod tych sklepień wieje,
Że całych wieków — a bezkrwawe dzieje —
Stają do razu! stają tu współcześnie,
Życiem zielone, i potęgą żywe,
A jako słowo stworzenia szczęśliwe!

Puszcza — to wielka jest natury księga!
Niema — a mówi, kto ją duchem pyta,
I kto do dziejów i natury sięga,
Z niej tylko cząstkę tajemnic odczyta...

DO DNIEPRA.

Dnieprze! co płyniesz Ukrainą żyzną,
Starą rycerzy i mogił ojczyzną,
Powiedz — kto tobie tyle wody dawa?
I czemu w świecie ogłuchła twa sława?
Czemu tak z góry poszło tobie Dnieprze,
Że świat o tobie zabył co w najlepsze...
Czy złota Ławra już nie błogosławi,
Że cię mogiła tylko jeszcze sławi?

— Od ujścia mego aż do wierzchowiny
Siedmset i cztery rzek z kolei padło,
I niż, porohów kozackie dziedziny,
I siedmdziesiąt ostrowów usiadło —

Siekierka znaczy i siekierka ścina,
I rozproszyła się moja drużyna,
Choć miała wiarę — nie miała miłości
I pozostały po niej tylko kości...

DO MORZA CZARNEGO.

Powiedz mi, proszę — za co cię tak rano
„Morzem Gościnnem“ po świecie nazwano?
Czyś to tak wiernie niosło twoich gości?
Czy na dnie twojem nie leżą ich kości?
Czyliś darzyło tak drogimi dary,
Że we czci miewał ciebie już świat stary?

— Ni to ni owo! Ot bajki wierutne!
Nie o mię człeku dobra wieść to chodzi;
Tonie me czarne i jak cmentarz smutne...
Na dnie bez liku i kości i łodzi...
Ja tylko biorę — tylko burzę daję —
Lecz po mych brzegach są tam piękne kraje.

Hen tam na północ i tam od zachodu
Tam w czarnej ziemi zasiedli gazdowie
Wielkiego szczepu, sławnego narodu,
A Dniepr i Dunaj zdawna ich posłowie...
Oni to oni gościli przybyszy,
Że świat dziś jeszcze o gościnie słyszy...

Bo tam gościna puścizną po Bogu,
Więc głosy serca nie cedzą przez zęby,
Lecz chlebem gościa witają u progu
I plackiem do nóg, pirogiem do gęby...
I po te czasy obyczaj ten samy,
Choć lis borsuka wyparował z jamy.

DOMOWE BOGI.

Rodzinna strzecho! i wiejski kościółku!
Jakby nie było — gdzieby się nie zwrócić...
Wiecznie wracacie jak w zaklętem kółku,
By skrzepłą duszę ku miłości cucić...

I wiecznie, wiecznie jakby głos skowronka,
Każdej się wiosny odzywa tęsknota
Do owej strzechy i tego kościółka,
Gdzie nam świeciła z młodu zorza złota!

A czy szczęśliwie, czy tam padło marnie:
Ojczystej lipy najcienistsze chłody,
Rodzinnej wioski najzielońsze darnie,
Domowych zdrojów najweselsze wody.

Bo jak Stróż Anioł, jak Anioł pociechy,
Postać rodziców górą się unosi,
Co młodość strzegła — a dziś może grzechy —
I dla nas w niebie, tam, o łaskę prosi...

DO DŹWINY.

Gdzieś tam z północy dziki wicher rwie się —
I głuche idą w świat mowy
O źródłach Dźwiny, o tym wilczym lesie,
I wierzchowinie Dnieprowej!

— Czego to wichrze tak się rwiesz z północka,
I gdzie to płyniesz ty Dźwino połocka?
— Gdziebym płynęła? ja płynę na morze...
— Lecz gdzie wam droga?
— My płyniem do Rygi!
— A co wieziecie?
— I miody i zboże!
— Cóż wam da Ryga?
— Jużciż pewno figi!...

ŚWIĘTE OGNIE.

O święte ognie odwiecznej Sobótki
Latem płonące i na nocy krótkiej!
Jakże uroczy i jakże ochotny
Widok wasz duszy, choć taki przelotny?

Wami odnawia lud stare przymierze,
Kiedy dzień wielkich ślubowin nadchodzi
Z Bogiem — i z ognia tak się miłość rodzi,
Jak szedł po Bogu ogień w starej wierze.

Gdy błędne ognie zgasną już na ziemi,
Każdy ku niebu zwraca znowu oko:
Gdzie wieczne prawdy gwiazdami jasnemi
Są zapisane długo i szeroko...

Samotne ognie po polach płonące!
Z jakiemż uczuciem człowiek was spostrzega,
Kiedy daleko do wsi i do brzega,
A tu i nogi — ach i serce drżące!

I zgadnąć trudno, co to tam zdaleka...
Z kim się tam zetknie? i co go tam czeka?
Czy iść za ogniem? czyli się bić dalej
Po ciemnej drodze lub zburzonej fali.

Samotne ognie! wami to odnawia
Człowiek z człowiekiem znów przymierze stare;
I choć to światło w podróży nie zbawia,
Budzi na chwilę w sercu znowu wiarę.

O ciche ognie! gdy błyśniecie siołem
Późno wieczorem lub rano do świta,
Z jakiemż to sercem tęsknem i wesołem
Człowiek te światła po okienkach wita?

Wami odnawia człek przymierze z domem...
I choć się dawno odbił od swych progów,

Do was się zbliża z tym dziecinnym sromem,
Z tą czcią, co chował dla domowych bogów.

Bo choć to obca i nieznana strzecha,
Komuś tam pod nią rośnie i pociecha;
I przy tym ogniu wszystko się ogrzéwa,
Co i po Bogu i po ludziach bywa.

Płońcież Sobótki! święte i ochotne
Na ziemi ojców starą sprawą ładne!
I wy po polach ogniska samotne!
I wy po chatach światełka gromadne!

Bo kiedy ciemno, niech straszna zawieja
Nie błąka duszy wśród bezdrożnych cieni:
Lecz niechaj miłość rośnie jej z płomieni,
Wiara z człowieka, a z domu nadzieja.

Bo i bez Boga bardzo wielu błądzi,
I bez człowieka żywot nieraz minie...
I domu Pan Bóg nie każdemu sądzi,
A bez ogniska iluż to nie ginie?

SKOWRONEK.

Skowroneczek furknął w glebie,
Zatrzepotał w drobne skrzydła:
I jak gdyby zwisł u sidła,
Śpiewa ziemi pieśń na niebie.

O co prosisz skowroneczku,
Czy o pokój w twem gniazdeczku?
Czy o ziarnko — drobną miarką?
Czy o wody dla ochłody?

— Ja o szczęście proszę wioski,
Bom ja śpiewak Matki Boskiej!
A gdy ludziom dobrze, czule,
To i ja się gdzieś przytulę...

— A więc lecę pod niebiosy
I niebieskiej błagam rosy,
Błagam burzy urodzajnej,
Aby rosła niwa, łąka.
Płodnej ciszy, ciepła, słonka...
I to pacierz mój zwyczajny.

DO DNIESTRU.

Jakby się Panu wystroił na święto
W skalistym jarze Dniestr posunął kręto...
I od gór sinych aż po Czarne morze
Słynie po świecie szumne jego łoże.

I wzbił się orzeł w stepach Akermanu,
I pyta Dniestru: Co to niesiesz Panu?
I coś to widział Dniestrze w twoim biegu?
I co się dzieje po oboim brzegu? —

— Górskie potoki szumią w górach wiosną,
I stare buki nad przepaścią rosną;
Dalej się pasą w błoniach siwe stada,
I w jar skalisty Podole opada;
I nagie ścianki świecą z poza sadu,
I pnie się w słońcu różczka winogradu,
I stare grody świadczą starej sławie.

Lecz kiedym znalazł w nurtach stare znaki,
Kości rycerzy i z krzyżem szyszaki,
I białe orły ujrzał przy Ładawie,
Tom się tak bardzo w mym biegu zasmucił,
Żem się na przepaść na Porohach rzucił,
I nie pocieszon nawet ziemią żyzną,
Ślęczę ku morzu i konam mieliznę.

ŻÓRAWIE I BOCIANY.

Szczęśliwi posłowie! powietrzni żeglarze!
Powiedzcie? kto lecieć w narody wam każe
Z tą wieścią pogody i ciepłej już rosy?
I czemu dla świata tak miłe te głosy? —

Kto was to tej drogi i pieśni tak uczy?
I co to się w duszy i budzi i sieje,
Gdy łańcuch żórawi w niebiesiech zakruczy,
Że serce tak bije i oko młodnieje? —

Bo każdy was śledzi i każdy was wita,
I każdy poznaje na niebie po wrzawie,
I nieba i serca o wieści się pyta:
— Hej lecą i kruczą! Żórawie! Żórawie! —

A całe już lato nie słychać żórawia —
Lecz bocian się pora nad strzechą klekotem,
I stare swe gniazdo na wiosnę odnawia,
I sioło okrąża stróżliwym swym lotem.

I żóraw obudził a bocian weselił...
I zbiegło tak lato, jak z bicza wystrzelił...
Wiatr powiał po ścierni. — Na Spasa, na Spasa,
Bociany do cieplic, a bąki do lasa.
I każdy się cicho ogląda na ściany,
I westchnie boleśnie: „już lecą bociany!...“

DO STEPÓW.

Wieje od mogił Ukrainy śpiewnej
Wicher stepowy, przeciągły i rzewny,
I pod mogiłą drży biedna bylina,
Bo jej wróżyła złowroga ptaszyna:
Że lada chwila młyniec nią pomiecie,
I w cztery wiatry rozniesie po świecie,

A jak popędzi stepami na morze,
To i mogiły po drodze rozorze...

Nie drżyj bylino! śpij mogiło sobie!
Już ja wam krzywdy podobno nie zrobię!
Ileż to razy jam w bylinach usnął,
Albo przeciągnął ponad niemi górą?
Ileż to razy jam mogiły musnął,
A czylim może gdzie rozorał którą?
Co mi to trwożyć bylinę biedotę?
Co mi to smucić mogiłę sierotę? —

Na tych tu stepach w dziedzictwie nie marnem
Dwóch gospodarzy z Bożej woli gości,
I ja posiewam uroczyska ziarnem,
A w ślady moje świat posiewa kości.
Chociaż zaszumią czasem koło ucha,
Jak zaszumiała świata zawierucha,
Co wam do tego? co to komu szkodzi?
Mogiła stoi — a bylina wschodzi...

DO ZIELONEGO BESKIDU.

Beskidzie graniczny! Beskidzie zielony!
Od Boga pomiędzy narody rzucony!
Coś źródła podzielił na morza, na dwoje,
O powiedz mi, powiedz! czy jeszcze twe zdroje
Tak żywo jak dawniej i grają i pienią?
Czy łąki się twoje jak dawniej zielenią?
Czy szumią twe lasy jak dawniej wesoło?
Czy trzmielą tak smukło te świerki wokoło?
Czy sklepią się jeszcze twe buki jak wprzódy?
A jawor — czy chyli się jeszcze do wody? —

Beskidzie zielony! w trzy rzędy sadzony!
Beskidzie graniczny! Beskidzie kochany,
I chłodem jelenim i mgłami owiany...
Gdzież czasy są owe, gdym konno tam hasał,

Gdym serce i oczy po tobie ja pasał?
To wąsik się ledwo na twarzy mi pisał,
I świat mną, jak świerkiem wyniosłym kołysał...
A dzisiaj spoglądam Beskidzie w twe strony
Żałośnie — jak jawor nad wodą schylony...

CICHO A CICHO.

To stara cerkiew! — może rówiennica
Peczerskiej Ławry — bo dziwnie zakonna,
I wkoło mury potężnie obronna.
Na starej baszcie zawisła dzwonnica,
Na pięknem wzgórzu najeżyła krzyże...
Poważna rzeka stopy góry liże,
Stare ją dęby obsiadły dokoła,
A srebrny dzwonek na modlitwę woła...

Od wieków widzę rozwarta tu brama,
Jakby czekała dobrych wieści posła...
Kula kamienna, na wpół w ziemię wrosła,
Straż tutaj trzyma jeszcze tylko sama.
W starych strzelnicach kwitną polne róże,
A na wyłomie leżą działa duże...
Jedno znać pękło z ostatniego strzału —
A w drugiem zabił ktoś gwóźdź do zapału..
I w jednem usłał na samym wylocie
Ptaszek swe gniazdo — w drugiem mrówek krocie...

Już na cmentarzu sterczą dwie mogiły
Tuż za wyłomem — więc wiem, kogo skryły,
Kiedy piołunem tak porosły sobie —
Nie darmoć piołun to rośnie na grobie:
Piołun — to hasło gorzkiego żywota,
Piołun na febrę zachwala prostota,
A tutaj rośnie — choć tylko dąb stary
Pamięta jeszcze rzezie i Tatary...

Na kropielnicę do wody święconej
Widzę tu stary moździerz obrócony...
A co zniszczenie i zagładę niosło,
To Panu Bogu na poczciwe wzrosło:
Ponad moździerzem wisi na uboczy
Obraz Maryi złocisty, uroczy,
I w tym ikonie widać sądy Boże,
Bo u stóp Maryi zawieszone noże
Z rzezi tatarskiej — razem z tymi kwiaty,
Co je lud znosi Pani na objaty...
A i zwycięskie i to zwyciężone,
Może się uciec tutaj pod obronę,
Choć z różną prośbą — razem czy nie razem:
Bo nie przepuści Bóg nikomu płazem.

Cicho a cicho — i głucho a głucho...
Brzęk tylko pszczoły uderza o ucho.
Legli hetmani — legli wojownicy...
I krew zakrzepła — szczeźli najezdnicy...
I pozostała po nich tylko wzmianka...
Ale Najświętsza Korony hetmanka
Jak hetmaniła, tak światu hetmani,
I bierze kwiaty i modlitwy w dani.

Pan Bóg na pokój zamienił tu wojnę...
I wszystko ciche i wszystko spokojne...
Mrowie i piołun każdy rok rozmnaża,
I wielka cisza starego cmentarza...

III.

Z KLASZTORU I Z BORU.

A SKĄD?

— A skąd bracie?
— Ha z klasztoru.
— A gdzie droga się potoczy?
— Niema dokąd, jak do boru,
Kto już po tej drodze kroczy!
— A cóż słychać?
— Jak w klasztorze:
Dzwonek wita ranne zorze,
Na modlitwie i robocie
Wschodzi dzionek — noc zapada...
A kto z Bogiem w czoła pocie,
Ten i Bogu też się nada!
A gdzie wasze Bogu służy?
Gdzie wasz klasztor?
— Klasztor duży!
Opustoszał wprawdzie trocha,
Ale kościół nie macocha:
I jest chleb u kanafarza...
Zakon duży, bracia nasza
W całem świecie rozsypana,
Lecz reguła przepisana!
Kto ją trzyma, kto w nią wierzy,
Gdy u furty w dzwon uderzy,
Gdy zapuka, to otworzą...
I nikt tutaj nieostatni,
Bo w miłości znajdzie bratniej
Chleb powszedni — łaskę Bożą!

— Kto was trzyma?
— Kościół trzyma,
Łaska stoi za olbrzyma!
— A nowicyat u was długi?
— W tem sęk cały, miły bracie!
Pan doświadcza Swoje sługi:
Cały zakon w nowicyacie!
Trudno dobić się do nieba,
Najprzód z sobą skończyć trzeba,
Potem trzeba z światem skończyć,
I niejedną łzę wysączyć!

Bo nie będzie, miły bracie!
Namaszczony, miłujący,
Kto w żywota nowicyacie
Nie był srodze bolejący!

I te smutne nie pocieszył,
I te grzeszne nie rozgrzeszył,
I nie karmił te łaknące,
I nie poił te pragnące!

Lecz gdy złego wiele w świecie,
Stąd jest Kościół wojujący,
I gdy prawdą swoją miecie,
Jest żarliwy i gorący!

Lecz nie niszczy, ani pali,
Gdy przed Panem ścieżki prości,
Ale pracą ducha stali,
I hartuje go w miłości.

Bo złem złego nie zabijesz,
Czego łzami nie obmyjesz,
I miłości świętą wolą...
To nie będzie Bożą rolą!

— Co ja słyszę? dziw mię bierze!
Wielkie słowo, mądra rada;
Lecz to widzę się wypada
Nowo uczyć w starej wierze?

A gdy taki świat w klasztorze,
Czegoż wasze szukasz w borze?

— To rzecz inna, miły bracie!
Bóg wśród boru w Swojej szacie...
A kto Jemu śpiewa chórem,
Kto się modli piersi tchnieniem,
I już komu świat klasztorem,
Temu puszcza jest wytchnieniem.

Aby dusza nie wychudła,
Trzeba ciągle iść do źródła;
Bo największy Bóg w stworzeniu —
Najdzielniejszy duch w skupieniu.

Ziemia arką jest miłości,
Miłość źródłem świętej Wiary,
Z miłosierdzia tylko dary —
W łasce Bożej tylko prości!

Jak się z plewy ziarno łuszczy,
Tak i z duszy też upada
Ziemska plewa, gdy na puszczy
Duch się Panu wyspowiada.

Na pustyni Mojżesz staje,
Który Boży zakon daje;
Na pustyni Eliasz siedział,
Co o Pańskiej radzie wiedział...

Z puszczy wyszedł i Jan Chrzciciel,
Z puszczy Pan nasz i Zbawiciel,
Duchem Bożym w niebo wzięci
Wyszli z puszczy Pańscy Święci!

A i dzisiaj głos Kościoła
Jak głos z puszczy się rozlega,
I na wszystkie rzesze woła,
I jak matka świat ostrzega.

Boć to Kościół drzewo żywe,
Wiecznie żywe i rodzące,
Rośnie w grono, w kłos, w oliwę,
I w balsamy woniejące!
Z każdej różczki tego drzewa
Nowe drzewo znów się szczepi,
I jak sztandar łask powiewa,
I zbawienia wieścią krzepi...
I umacnia i odnawia,
I odradza i uzdrawia,
I wieczyście posiew stary —
Krew męczeńska źródłem wiary.

— A gdzie droga do Kościoła?

— Każda droga doń prowadzi:
Bo na wszystkie rzesze woła,
I o wszystkich równo radzi.

Jak Bóg, wieczny i cierpliwy,
Znieważony tysiąc razy,
Kościół, szafarz miłościwy,
Przecież wiecznie bez urazy.

Są szczęśliwi, co Pan zlewa
Na nich łaskę, gdy się rodzą,
Co w zakonie Bożym chodzą,
Niby w cieniu tego drzewa...

Lecz kto odpadł, albo nie ma
Dla tej prawdy oka, ucha,
Niechaj patrzy, niechaj słucha,
A pan nad nim rękę wstrzyma!
Droga jego się wyprości
Przez boleści do miłości,
A jeżeli jej przymnoży
Za miłością w łasce Bożej,
Pójdzie wiara po kolei,
Z wiary przejdzie do nadziei.

RANEK W PUSZCZY.

Ha, już i dzionek — i jakaż noc krótka!
I jakże szybko i bez snów zleciała?
Jak się przy oknie otwartem przespała,
I przy tej woni leśnego ogródka!

Co za chłód miły, jak bogata rosa!
Jak lazur czyste i jasne niebiosa!
I woń konwalii błąka się po łące,
A tuż przy oknie pachną bzy kwitnące.
I jakiś ptaszek szczęśliwie ukryty
I niepłoszony widać w tej ustroni,
Wpółsenną piosnką pozdrawia te świty,
Kwili i skacze od kity do kity,
Kąpiąc się w rosie i w porannej woni.
Już się i w ulach pobudziła pszczoła,
I miodne oczko oblega dokoła.
Z pod węgła domu wymknęła łasica,
A za nią druga — jakież pląsy stroi!
Ale ostrożna widzę swawolnica,
Bo to i rosy i pszczoły się boi,
Jakaż to zwinna, jaka miła skoczka!
A jakie żywe, jakie bystre oczka!
I chociaż ręki nie miała na sobie,
Tak wymuskana już o rannej dobie,
Że się ułyska takim lśniącym pasem,
Jakbyś ją całą pomusnął atłasem.

Pojmuję, jako w raju człeku było,
Gdy niespłoszone oglądał zwierzęta,
Kiedy bez grzechu wszystko społem żyło,
A dzicz to wszystko owiewała święta!

Cyt! wszak to słowik? z zielonych krużganków
Ostatnie może pieśni już wywodzi!
Iluż to takich świat mnie zbawił ranków,
A czem tę szkodę sercu wynagrodzi?

Za jeden oddech rannego powiewu,
Za jedną zwrotkę słowiczego śpiewu,
Za jeden promień wschodzącego słońca
Oddałbym wszystko z początku do końca,
Wszystko, co tylko świat dawać przyrzeka.
Co tylko swoim wybranym zgotował,
Byle choć czasem obaczyć z daleka,
Co Bóg w szczęśliwem ukryciu zachował.

Pies szczeknął w ganku i skrzypnęła furtka,
I jakiś człowiek wszedł zwolna do sieni,
Widać, że leśny, bo myśliwska kurtka,
Strzelba na plecach, w ręku róg jeleni.
Spojrzał kwatermistrz, i pyta zdziwiony:
Skąd taka zdobycz?

Chodziłem po borze:
Ryby łapano na leśnem jeziorze,
I w wodzie został ten róg znaleziony,
Niema już dzisiaj pamiętnika prawie,
Jak na jelenie przestali polować;
Więc ku pamięci a puszczy ku sławie,
Wartoby panie ten róg jakoś schować?

Zgoda! więc przybij go tutaj u progu.
Niech strzelby wiszą na jelenim rogu!
Panie! — rzekł leśny — mnie się to nie zdaje.
Co w puszczy żyło, niech w puszczy zostaje,
A z pokolenia i z rodu ostatnie
Niech to tam idzie już Bogu na płatnię!
Jest w pośród puszczy kapliczka w uboczy,
Tam Matce Boskiej u stóp róg ten złożę,
To wpadnie przecie niejednemu w oczy,
Co idąc puszczą, pomodli się w borze,
I dłużej stanie tam ludzkiej pamięci,
Bo trwałe bywa, co się Bogu święci! —

Kwatermistrz słuchał i podumał trochę,
I jakieś myśli naszły go nie płoche,
Spojrzał na puszczę, przeszedł się po sieni,
I gajowemu oddał róg jeleni.

— Ha! dobrze mówisz, co z rodu ostatnie,
Niech to tam idzie już Bogu na płatnię! —

Słońce tymczasem wyszło z puszczy cało,
I przez gąszcz nawet promień się przesączył,
I cicho było — a mnie się zdawało,
Jakbym poranną modlitwę zakończył.

KRÓLEWSKIE DĘBY.

Krolewskie drzewa! Wy pomniki żywe
Ubiegłych czasów, dęby miłościwe;
Witam was, witam! czołem pochylonem
A sercem w górę ku wam podniesionem,
Wonią łąk leśnych i cichem zaraniem
I wszystkich czasów najszczerszem kochaniem!

Ileż to wieków na to się składało,
By was postawić w tych kształtach tak cało?
W jakie to myśli zuchwałe świat wzrastał,
Gdy wam szło w górę — kiedy wiek wasz nastał?

Gdy się napatrzę waszej obliczności,
Gdy was ukocham w tej potędze Bożej,
To jakoś dziwnie duch mi się wielmoży,
I myśl się krzepi, i serce się prości...
I tak nam pełno koło serca zbiera,
Jakbym odczytał znów rapsod z Homera.
Bo duch tych kształtów dziwne rzeczy roi,
Każdy dąb w miejscu jak bohater stoi...
I w tej postawie całych wieków dzieje,
I od tych sklepień zaklęty duch wieje,

Jakby z pod sklepień gmachów poświęconych
A chwałą Bożą świeżo umajonych!

Kogo głos dziejów z grobu nie dochodzi,
Niechaj się strzeże tych kształtów powodzi,
Tych żywych świadków potęgi niezmarłej,
Bo takie drzewa — to postrach na karły!
I kiedy Pan Bóg tak dozwolił drzewu
Wyrość w ojczyźnie z drobnego posiewu,
I strzelić górą w niemego olbrzyma,
Choć się bez ducha z burzami szamoce,
Jakoż miał urość ten, co go Pan trzyma,
Co z walki bierze i łaski i moce?

Dzięki Ci, Panie! żeś po duszy polał
Balsam Twej łaski, kiedym tak obolał,
Żem się niedarmo w walce umozolił,
Żeś tej pociechy jeszcze mi dozwolił,
Spotkać człowieka wiary i sumienia,
Co dom Twój stawi z Twojego natchnienia,
I ujrzeć drzewa świadki Twojej chwały,
Jakie przed wieki w dniu stworzenia stały.

PACHOLĘ NA GRZYBACH.

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby,
Odwiódłem kurek — patrzę zaczajony:
Aż tu pachołek, co wyszedł na grzyby,
Stoi przede mną bardzo zatrwożony.

— Nie bój się dziecię! co to robisz w lesie? —
Zbieram, co znajdę! — chłopak mi powiada —
Czasami jaja, co je ptaszek niesie,
Czasami także grzyb się dobry nada.

— Przednówek ciężki — to i to pomoże...
Matuś tam z dziećmi czeka na mię doma,
A jak paci rek zmówię sobie w borze,
Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma. —

Miła chłopczyna! — znał, kędy po lesie
Ptaki się gnieżdżą; — znał jaja po krasie;
Znał, który ptaszek jakie jaja niesie,
Jak je podbierać i o którym czasie?

Najbardziej sobie kacze jaja chwalił:
Bo gniazdo w gniazdo, jak kępa przy kępie,
Ale się na to tylko trochę żalił,
Że trudny przystęp w bagnistym ostępie.

Z kolei przyszło na jaja słowicze...
Rzekł mi chłopczyna: ja jemu nie szkodzę,
Ja mu tak dobrze, jak skowronkom życzę,
Bo któżby śpiewał, gdy po lesie chodzę? —

Zdziwiony pytam: To i skowronkowi
Gniazd nie podbierasz?

— A broń że mię Boże! —
Ze trwogą chłopak na to mi odpowie —
Taką się krzywdą człowiek nie wspomoże!
Skowronek, panie! to ptaszyna wczesna,
I Matka Boska — do tego — Bolesna
Wszystkie skowronki w Swej opiece trzyma:
Więc na skowronka żadnej trwogi nie ma! —

— Jak to? — pytałem.

— Alboż wy nie wiecie,
Że to Zbawiciel chodził po tym świecie?
Gdyby dziś człowiek choć w poprzek tą drogą
Przeszedł, gdzie Chrystus stanął niegdyś nogą,
Byłby już zbawion! — lecz wówczas ludziska
Były niedobre — bo podłe żydziska!
Więc chociaż Piłat umył sobie ręce,
Chrystus na krzyżu oddał ducha w męce!

Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,
I ból Ją wielki na duszy ucisnął...
I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:
Spojrzy się Marya — skowronek zawisnął!

I tak nad Panem użalił się wiernie,
Że chciał Mu odjąć choćby jedno ciernie,
Więc póty dzióbkiem i dzióbał i dzióbał,
Aż cierń z korony Najświętszej odskubał.

Błogosławiła Marya skowronkowi,
Podniósłszy w niebo te oczy żałosne
I rzekła w łasce: Będziesz człowiekowi
I Bogu śpiewał najpierwszy na wiosnę!

A jako rzekła mu Matka Bolesna,
Tak się też iści — bo ptaszyna wczesna,
Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi,
I wielką chwałę Matki Bożej głosi.

Więc któżby gniazdo skowronkowi psował?
Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
Będziem się chować, jako Bóg nas chował,
Tak matuś mówią — i ja temu wierzę.

To rzekłszy, nizko i wesoło skłonił,
I ku domowi z koszem jaj pogonił,
A jam pomyślał:

Po co tu legendy?
Gdzie wiara w sercu, tam i cud jest wszędy!

KOŚCIÓŁEK WIEJSKI.

Nad wiejską drogą zawisnął skowronek,
Na Mszę poranną woła mały dzwonek,
Jakaś zagroda, plebania i szkółka,
I stare drzewa dokoła kościółka.

Odgłos organów miesza się do dzwonka...
Do Matki Boskiej kończy się koronka,
A jak do ula ciągnie z pola pszczoła,
Reszta się ludzi garnie do kościoła.

Kruchta z gotycka ostro wysklepiona,
I nagrobkami widzę ozdobiona...
Jakieś poważne i wierne postacie
Dają świadectwo tu czasom ubiegłym,
Żywo mówiące, choć w kamiennej szacie...
Więc cześć niech będzie tu w Panu poległym!

Po prawej ręce fundator kościoła
Legł na grobowcu — a od jego czoła
Świeci i męstwo i ta bojaźń Boga,
Otóż tu złożon u Pańskiego proga.
Znać, że ze cnotą żywocił w przymierzu,
Bułat w prawicy, a piersi w pancerzu!
Poważnie spoczął – klejnot koło zbroi,
Krucyfiks w głowach, niżej napis stoi:

„Powstanę Panie! gdy mnie będziesz budził,
Lecz dozwól spocząć, bom się bardzo strudził."

Jakąż to pracę miałeś za żywota?
Pytam napisu — a napis powiada:
Z królem Stefanem wiodła mnie ochota,
A wierna była i ręka i rada...

Po drugiej stronie poważna matrona
W stroju zakonnym — to rycerza żona —
Także z szwedzkiego wykuta marmuru,
Uklękła z dziatwą do jednego chóru:
Za nią trzy córy i synów dziewięciu...
Córy pokornie w modlitwie złożone,
A syny szable wynieśli ku cięciu,
Bo znać gotowi na wiary obronę. —

Święconą wodę podano u progu,
Robię znak krzyża, a chwała bądź Bogu!
Wchodzę — na przodzie klęczą rzędem dziatki,
Z książeczki modlą się... za niemi matki —
W ławeczkach siedzi coś z waszecia sznurem,
A starzy kmiecie zasiedli pod chórem.

W kościółku strojno i lubo jak w raju,
Bo pełno kwiatów i świeżego maju —
Stara chrzcielnica stoi na uboczy,
W ołtarzu obraz Najświętszej Panienki
Ciemnem się licem z pod zasłony mroczy,
A błyszczą tylko złociste sukienki:
U stóp złożone z świeżych kwiatów wianki...
A jakie piękne kosztowne firanki!
A to pas słucki — dał ktoś na ofiarę
Co miał poczciwą po staremu wiarę.

Mój miły Boże! gdy we wzorach czytam
Tych litych pasów — to chłopięce lata
Stają mi w myśli — i sam siebie pytam:
Za co to poszło tym pasom ze świata?

Tak zubożało wszystko w starym domu,
Że w złocie chodzić niema już dziś komu!
Jednak pociecha przejmuje to serce,
Że co poczciwe, nie jest w poniewierce!
I Bóg nagrodził: bo to u tych pasów
Wisiała szabla, co za dawnych czasów
Broniła wiary. —

Dziś jak na wspomnienie
Tylko już kapłan lity pas przywdziewa
Na wielkie święto — kiedy wystawienie
Przenajświętszego Sakramentu bywa...
I to po swojej poświęcanej szacie,
Piastując Boga w Jego majestacie,
A kiedy duszę taki widok chwyta,
To nieraz serce z żałością się pyta:
Co się to stało? a czemu to, czemu?
Poczciwe światu nie jest po staremu?

Po suplikacyach z wiejskiego kościółka
Lud się rozbieżał w pola niby pszczółka...

A jam się błąkał jeszcze koło chóru,
I przyłożyłem serce do marmuru,
Bo kiedy boleść, kiedy życie strudzi,
Marmur grobowców jako balsam chłodzi.

CHATA POD PUSZCZĄ.

Pies ruszył sarnę, dalejże za tropem!
Ale pociecha była bardzo krótka,
Bo po trzech susach była za okopem,
I do małego wskoczyła ogródka.

Patrzę z okopu, gdzie to pies pogonił?
A tu przede mną i domek i sadek,
I po podwórku uwija się dziadek,
I od napaści sarneczkę obronił.

Krzyknąłem na psa, bo widzę chowana...
Otóż przepraszam za mego sułtana,
A starzec rzucił na mnie wzrok ukosem,
I coś gniewliwie zarzędził pod nosem.

Co to za dziadek, co sarneczki chowa,
I w takim domku o kraj puszczy mieszka?
Postać poważna, choć trochę surowa,
Myślałem sobie... i patrzę gdzie ścieżka.

Lecz go nie było, gdym w podwórko wstąpił,
Poszedł do domku, jak gdyby nie wiedział,
Że gość za progiem — i długo tam siedział...
A gdy powrócił, bardzo słowy skąpił.

Pragnąłem sercem przeszłość starca zbadać,
Ale on nie chciał ze mną się rozgadać;
A gdym o nocleg prośbę doń zanosił,
To nie odmówił, ale też nie prosił.

Wszedłem do izby — izdebka uboga,
Ale nie pusta, rządna i chędoga,

Nad drzwiami półka, kilką książek stoi,
Więc patrzę, jakie? a to wszyscy moi!

Skarga, Brodziński i Piotr Kochanowski,
I Pismo święte, i Zielniki nowe,
Tomasz a Kempis, ba i Homer boski,
I dziejów polskich księgi Długoszowe.

Nie darmo starzec widzę przeżył lata,
Wiedział, co zabrać na puszczę ze świata:
O, nie zły wybór! i z takim zapasem
Ktoby miał dodać jeszcze własne dzieje,
Można już siedzieć samotnie pod lasem
I nie dbać na to, skąd w świecie wiatr wieje?

Wieczór był chłodny, a więc przy kominku,
Gdy jeszcze nie czas było do spoczynku,
Siedliśmy obaj — i dziadek dokładał,
A paląc lulkę, zwolna się rozgadał.

Znać był wojskowym, bo znał dzieje kraju,
I szlachcic z rodu... znać po obyczaju...
Postać szlachetna, choć trochę surowa,
Lecz proste, czułe były jego słowa.

Gdym go nareszcie bez urazy badał,
Co go na puszczę samotną wywiodło,
Coś go boleśnie na chwilę ubodło,
I tak mi swoje losy opowiadał:

— Nie stało pracy, fortuny i zdania,
Wyszły mi cnoty i prawdy bez czasu,
I nic nie miałem już ludziom do dania,
Tom się zabrał nareszcie do lasu.

Tutaj cienisto pod temi konary,
Więc jest ochłoda, spokój i ochrona...
Szczęścia nie było i niema u łona,
Ale tu łatwiej powrócić do wiary.

Łatwiej zapomnieć i złe i kochane,
Łatwiej przebaczyć i drugim i sobie...
A chociaż cisza nie zagoi ranę,
To choć zły człowiek nie bluźni na grobie.

W świecie nie było czem pokrzepić ducha,
To też wywiała wszystko zawierucha;
Cóż będę mówił, com doznał, com stracił,
Dość, żem się rozstał, gdym wszystko zapłacił.

Dzisiaj od świata odcięty, daleki,
Chciałbym jedynie ratować już duszę...
Są tutaj zioła — to i zbieram leki,
Świat mnie poranił, to go leczyć muszę.
Jest tu las różny, to i zbieram grzyby,
Jest blizko Wisła, to chodzę na ryby,
Jest i wiklina, to koszyki plotę,
A często trzeba ratować prostotę.

Pytałem starca — gdy Bóg dobrą wolę
I po nieszczęściach daje jeszcze w borze —
Czyby nie lepiej zajść na Bożą rolę?
Czyby nie lepiej zamieszkać w klasztorze?

Lecz starzec widać był innego zdania:
— Ja do klasztoru nie mam powołania,
Kocham samotne, bez pociechy dusznej,
I jam zaledwo jest Bogu posłuszny!

Nie lubię murów, bom się w zamku rodził,
Bom niepotrzebnie w murach do szkół chodził,
Bom nieszczęśliwie po twierdzach wojował,
I co najdroższe, tom w murach pochował. —

To rzekłszy powstał, drew trochę dorzucił,
Cmoknął na sarnę i zniknął gdzieś w borze...
A gdym, wychodząc, witał ranne zorze,
Starzec do domku jeszcze nie powrócił.

ŚWIAT ZAKONNY.

Za kapucyńskim murem i ogrodem
Cicha uliczka poszła mimochodem,
I z jednej strony długi mur cień daje,
Z drugiej się ścieżka wdłuż parkanu kręci...
Po niej to chodzą, kiedy dzień nastaje,
Ucząc się głośno ubodzy studenci...

Sznurem a sznurem niby mrówki chodzą,
Wdzięcznie a wdzięcznie niby pszczółki brzęczą,
I choć ich wielu, jakoś się tam godzą,
A po nauce pod figurą klęczą.

I stary parkan miast' tablicy szkolnej,
Jest zapisany rok rocznie od góry
W też same wiersze, w też same figury,
Świadcząc o mrówek robocie mozolnej.

„Najświętsza Panno formuj moją rękę!
Bym mógł opisać Syna Twego mękę."
„Felix, qui procul!..."

Stoi trochę dalej,
Znać, ze wsi chłopak, łaciną się żali,
Że mu tygodnie tak powoli cieką,
Że do wakacyi tak jeszcze daleko,
I tak daleko do ojczystych progów,
Do podśmietania i wiejskich pierogów.

A trochę dalej wyrzeka znów biéda
Na Pytagora i mądrość Euklida,
A niżej trochę, blizko przy kamieniu,
Jakaś chudzina widać w utrapieniu
Ciężkiem westchnęła:

„O Boże mój, Boże!
Jakim ja biedny, któż mi dopomoże!"...
Ale w też pędy ktoś mu odpowiada:
„Disce puer latine!" Ot i jest już rada...

Dalej konceptów i wierszy bez liku.
I wypisana bajka „o Czyżyku."
Więc „Czego płaczesz?"

Dalej dyabłu świéczkę
Ktoś już zapalił — i grał w szubieniczkę.
Lecz jakby mażąc pustoty i troski,
Ktoś wyżej skreślił berło i koronę
Niewprawną ręką, na cześć Matki Boskiej,
I stoi napis: — „Pod Twoją obronę!
O! Janie Kanty i Ty Matko święta!
Bierzcie pod skrzydła biednego studenta!"

Długom oglądał te pisma i znaki,
Które w uliczce pokreśliły żaki.
I gdym raz rankiem siadł sobie pod murem
Także z książeczką — tak — nie bacząc wrzkomo,
Spojrzeli chłopcy: a co to za homo?
I dawnym znowu puścili się sznurem,
Chodzą a chodzą — uczą się a uczą...
Szybko jak mrówki, wesoło jak pszczoły,
Niby to pytle gdzieś tam w młynku huczą,
Niby to potok szumi gdzieś wesoły.

Czasami tylko, kiedy na zawrocie,
Po długiej ścieżce aż do mnie dotarli,
Ten lub ów spojrzał ukradkiem w przelocie,
I dalej znowu w swoją drogę darli.

Wtem pacierz mówiąc nadeszły mleczarki,
Z radością chłopcy krzyczą już z daleka:
— Matusiu nasza! a dajcież nam mleka!
— Powoli przecie, bo stłuczecie garki! —
Więc odskoczyli i stanęli z grzeczna,
A brzemię z siebie zdjęła matuś mleczna,
I patrzy wkoło i pyta cierpliwie:
— No, czegóż chcecie? przecież nie tak chciwie.

— Prosimy mleka! I ja! I ja proszę?
Nam obom za grosz! — A nam za dwa grosze,
Mnie w mój garnuszek! Mnie jeszcze przyczynku!
I było wrzawy, jak gdyby na rynku,
Jeden chłopczyna stał tylko zdaleka
Smutny, bo nie miał za co kupić mleka...
A stał w tem miejscu, gdzie napis:
„Mój Boże!
Jakim ja biedny! któż mi dopomoże!"
Do niego tedy rzekła matka mleczna:
— Tać i to widzę chłopczyna jest grzeczna!
Chodź-no paniczu, nie stój tak zdaleka,
Dam i bez grosza — na napij się mleka! —
I wypił chłopak, do kolan się skłonił,
I za drugimi na ścieżkę pogonił.

W kilka dni później siadłem znów pod murem
I znów się snuły chłopcy długim sznurem.
Już się chyliło słońce do zapadu
A oni brzęczą gdyby pszczoła sadu.

Wtem zwolna nadszedł od furty klasztornej
Stary kapucyn cichy i pokorny,
A niósł dzban wody i jabłka w koszyku.
Skoczyli chłopcy — radości bez liku,
— A dobrodzieju! Ojcze ogrodniku! —
Ojciec pogłaskał — napoił — obdzielił
I długo z młodą wiarą się weselił.
Aż gdy nie stało już jabłek i chleba,
Koszyk i dzbanek na ziemi postawi,
I rzekł życzliwie: — Niech wam z tego nieba
Święty Jan Kanty, dzieci, błogosławi! —
Na to powstałem z mojego kącika
I powitałem w Panu zakonnika.
— Niedarmo widzę młodzież tu zabawia,
Gdzie pamięć świętych ścieżek się odnawia. —
Zmieszał się starzec — i rzekł: Kościół Matka!
A w łasce Bożej bywa ta czeladka;

Bo gdzie świeciła taka czysta perła,
Jako Jan Kanty młodzieży ubogiej,
Tam niedaremnie garnie się w te progi
I dzisiaj dziatwa — pod „Krzyżowe berła."

Miło tam słuchać chodząc po ogrodzie,
Czy to o ranku, czy wieczornym chłodzie,
Jak się za murem chłopięta tu uczą,
Jak sobie brzęczą i mruczą i huczą;
Boć to się człeku zdaje owo zgoła,
Jakby pożytek z Bożego ogrodu
Do ula niosła pracowita pszczoła.

A żem przy pszczołach chował się od młodu,
I dziś przy łasce Bożej bartnik stary,
To mam i serce do tej młodej wiary,
Patrząc — jak sobie tam pod krzyżem klęczy,
Pożytki zbiera — i wesoło brzęczy...

O mleczna matko! cichy zakonniku!
I ty z książeczką biedny studenciku!
Wszystko wy troje z jednego zakonu...
I jest dla serca pociecha nie marna,
Że nie na skałę padły Boże ziarna,
Ale że rosną do Pańskiego tronu...

DO BOGA W UCISKU.

Stoję zbolały, struchlały wszystek...
Ale kazałeś, więc stoję —
Bo w łasce Twojej osiki listek,
A w wielkich bolach, to moje.

I Tyś mnie stworzył — boś tak chciał Panie!
Cierpię — boś krzyżem uraczył,
To daj zbawienie na trzecie danie,
Bom krwią i łzami ślad znaczył.

Z Tobą to, Panie! niema rachuby...
Ale po nocy daj brzaski;
Bo czaplej kitki nie ma nosić komu...
Błagam Twej łaski — a łaski!

LEŚNE JEZIORO.

Duch puszczy szumiał nad głuchym przestworem,
Lecz się ukoił nad samym wieczorem...
I co ogłuchło, przychodzi do siebie,
I znowu głosy na ziemi i niebie.

Na gniazdo bocian pociągnął już górą,
A na wschód kawek rój wrzaskliwą chmurą,
I czujna czapla wraca do noclegu,
I stanowisko wzięła już po brzegu...

W ostatnim blasku gasnących promieni
Gra słup komarów bujno i swobodnie,
W ostępie długich i łamanych cieni
Leśne się wody rozlały łagodnie.

Jezioro ciche, czyste jak zwierciadło,
Pali się blaskiem do zorzy wieczornej,
Na żerowisko stado kaczek padło,
A w trzcinie huka sobie bąk nieszporny.

Wielka się ryba rzuciła w jeziorze,
I czapla drgnęła trwożliwie na brzegu;
Wężowa główka ciche nurty porze,
A zorza znaczy dróżkę jego biegu.

Przebrnął zatokę, wspiął się na szeliny,
Już go nie widać — a szelina klęka,
Znać, strach mu czapli — lecz z jakiej przyczyny
Ta mądra czapla tak się ryby lęka?

Nie bój się czaplo! nie o ciebie chodzi,
Bardzoś ty dzisiaj bezpieczna w tym domu,
Nikt na królewskie piórka twe nie godzi,
Bo czaplej kitki niema nosić komu...

Ha, niedowierza! uleciała z brzegu,
Znać pewniejszego szuka gdzieś noclegu...
Teraz rozumiem, czego się obawia:
Ktoś tam w jeziorze więcierze zastawia.

Każde pluśnięcie wiosła jeszcze słyszę...
Lecz już się mroczy, już i fale zmierzchły,
Tylko mgłą białą cicha woda dysze,
I kwiat grzybieni po wodach rozpierzchły,
Co się jak nimfa na wpół z wód wygina,
Od wód się jeszcze ku niebu odrzyna.

I na dobranoc jeszcze skrzydłem musła
Lotna rybitwa, oblicze wód sennych...
I gruba ryba śmiałym rzutem plusła!
I już po wałkach i zapasach dziennych!

Cyt! jakieś nowe ozwały się głosy!
Błędna przepiórka wabi przez pokosy...
Ktoś ani łąki ni gniazda nie szczędził,
I drobną dziatwę dograbkiem rozpędził;
A że nie słychać ni ludzi, ni grabi,
Szuka swej zguby i po nocy wabi...

Gdzieś od błot dalszych ozwała się czajka
I głosi światu, że już zniosła jajka.
W mądrzejszej pono sokół siedział radzie,
Bo nikt nie zgadnie, gdzie swe gniazdo kładzie!

Czego to czajko robisz tyle wrzawy?
Co ma rość światu, niechaj w ciszy rośnie,
Czego po nocy zawodzisz żałośnie?
Czy pokutujesz za dawne złe sprawy?

Żeś nawodziła nieprzyjaciół domu
W łozy i bagna, kędy się lud chował...
Brzydkie twe sprawki, pełne krwi i sromu!
Nikt twego gniazda nie będzie żałował!

Poczciwy kulik, co piszczy po brzegu,
Topielców strzeże i rybaka budzi...
I na tej straży póty się nie strudzi,
Aż rybak w końcu wraca do noclegu.

Cyt! jakieś nowe głosy się ozwały,
W suchych konarach zahukała sowa...
I jakby posiał maku na las cały,
I kulik ucichł i znać gdzieś się chowa —
Znać to już północ, kiedy gospodyni
Północnych cieni rządy rozpoczyna,
Niedarmo spadła, jakiś łomot czyni,
I zapiszczała w jej szponach ptaszyna.

I znowu cicho — straszno jak po zbrodni,
Błędne światełko mignęło po błocie,
Puszczyk chichoce do błędnej pochodni,
I coś pierzchnęło po gąszczach w łomocie.

Spokojnie patrzą na to gwiazdy z góry,
I świerk wyniosły śmiało w górę pnie się,
Tam w górze pięknie, choć tu świat ponury,
I jakiś zapach pociągnął po lesie.

Powodzią płynie jakaś ciepła fala
Gdzieś z łąk brzegowych, gdzieś od Wisły zdala,
Znać, że się jeszcze nie spotkała z rosą —
Że też tak pachnie, co padło pod kosą?
Ach to podobno wszystkich kwiatów dzieje,
Które Bóg w łąkach i po sercach sieje...

Razem z tą wonią zajaśniały krzaczki,
Bo święto-jańskie wypełzły robaczki,

I niby iskry wonnego kadzenia
Wzbiły się rojem w majowe sklepienia.

Lecz gdy chłód powiał z leśnego jeziora,
Wonne iskierki ponikły do razu,
Nic nie zostało z całego obrazu,
I tak się zdało, że to było wczora!

Jutrzenka wyszła z ciemnego błękitu —
W dalekiej chacie zapiał kur do świtu —
Jedyna głucha w całej nocy chwila,
Znać, że się ciemność z jasnością przesila,
I walka duchów za-światowych włada,
Gdy tak do ziemi wszystko snem przypada!

Gwiazdy promienne! teraz duch w niebiosy
Wzlatuje ku wam — teraz myśl się prości,
Wy się użalcie tam naszej żałości,
Gdy wszelkie ziemskie ucichły już głosy,
Bo może w takiej chwili uroczystej,
Kiedy ze światłem walczą jeszcze mroki,
Dla dusz czyścowych ważą się wyroki,
I wielkie losy na szali wieczystej.

O jakżeś cudna święto-jańska nocy!
Bądź ty cierpiącym duszom na pomocy!
Może szczęśliwy jaki po twym mroku
I kwiat paproci, niewidziany oku,
Co gdzieś po nocy zaklęty tam kwitnie,
Znajdzie nareszcie i w szczęściu oświtnie!

O, jakżeś cudna! o jakaś ty pańska!
I jaka czujna nocy święto-jańska!
Ledwo że zgasły te zorze nieszporne,
A już poranne palą się od wschodu,
I z jednej przędzy marzenia wieczorne,
I pierwsze kwiaty z jutrzenki ogrodu.

Rosę poranną nocna woń przenika.
Po rąbku ziemi zorza się przesuwa,
I sennych marzeń ocknięcie dotyka,
Ni sen — ni jawa — a duch czujny — czuwa...

CZARNA KRÓWKA.

LEGENDA Z NASZYCH CZASÓW.

I.

PROWINCYAŁ.

Stary prowincyał zjechał do klasztoru,
I przyjął wodę święconą u progu,
I najprzód z bracią udał się do chóru,
I po zakonie oddał chwałę Bogu.

A potem wszystkich z kolei powitał,
Księgi obligów wziął z kapitularza,
Młodzież klasztorną o regułę pytał,
I na ostatku wszedł do refektarza.
Pokój domowi! Pan niech będzie z wami!
A duch po Bogu zakonowi wierny,
Niechaj chleb łamie z ubóstwem przed drzwiami;
To i Bóg będzie dla was miłosierny!

Braciszek podał krzesło i stoliczek,
Kubeczek miodu i wonny pierniczek,
A ksiądz prowincyał dziękował w pokorze,
I przeżegnawszy pożył dary Boże.
A potem kazał podać Pismo święte...
Bo z czego światło w początku poczęte,
Tego na zawsze trzeba nam się radzić,
Gdy Bóg dozwala w łasce się gromadzić.

Otóż gdzie księga sama się otworzy,
I co po prawej z góry napisano,
To Pan obmyślał dla Swoich sług rano,
To przyjmiem, bracia! jako wyrok Boży.
Zasiądźcie wkoło!

Bracia go obsiadła,
I wielka księga sama się rozpadła . . .
I każdy westchnął i w cichości czeka,
Co Bóg w Swej łasce objawił od wieka.

Po prawej ręce, a w wyroku wiecznym
Stało, co Pan Bóg w Swej łasce objawi
Wybranym Swoim w Sądzie Ostatecznym . . .
I rzekł prowincyał: „A niech to Pan sprawi."

A potem powstał, spojrzał wokoło,
I miłą bracią obejrzał wesoło —
Pogłaskał słowy, oczyma pochwalił,
I do swej celi zwolna się oddalił.

Nazajutrz rano zakrystyą i mury
Obszedł dokoła, księgi powertował,
A w końcu wstąpił już w ów sklep ponury,
Gdzie gwardyan żywność i zapasy chował.

Gwardyan gospodarz i człowiek opatrzny . . .
Klasztor był duży, więc i zapas znaczny,
Lecz gospodarstwa prowincyał nie chwalił,
I tutaj tylko z serca się wyżalił.

O! kto skarbami ziemi grzbiet swój zgarbi,
I darów Bożych bliźnim nie udziela;
Ten łaski nieba znać sobie nie skarbi,
I w dniu przygody obran będzie z wiela.

Na dni czterdzieści zostawić zapasu,
A resztę rozdać pomiędzy ubogie,
Bo kiedy Chrystus mógł onego czasu
Przez dni czterdzieści przetrwać głody srogie —

To jużciż bracia! można przy zapasie
Na dni czterdzieści nam w Opatrzność wierzyć:
Bóg czyni cuda i w dzisiejszym czasie,
A lepiej łaskę, niż dostatki dzierżyć!

Czem cięższe czasy, czem większe zgorszenie,
Tem więcej Kościół zaleca ćwiczenie,
Tem szczerzej trzeba za grzech pokutować,
Tem twardziej trzeba regułę nam chować.

I jako kazał, ubogie zwołano
I wszystek zapas u furty rozdano...
A ksiądz prowincyał z cicha się uśmiechał,
Pobłogosławił i z Bogiem odjechał.

II.

GWARDYAN.

— Ha! posłuszeństwo pierwszy akt miłości!
Niech i tak będzie! — ksiądz gwardyan powiada —
Lecz aby przyjąć w domu nowych gości,
To pokwestować na nowo wypada.
Bracie kwestarzu! jedź, chociaż po grudzie,
Ot! o b e d i e n t i a! pod Twoją obronę!
Wyruszaj z Bogiem, ale w nową stronę,
By nie nachodzić zawsze jedne ludzie.

Brat nasz Fidelis nie wychodzi z celi.
Póki po kweście on (bywało) chodził,
To i my przy nim i ubodzy mieli,
I sam dostatek do domu się zwodził.

Umiał przemówić, był wszędzie znajomy,
Kiedy, bywało, jechał okolicą,
To mu gospodą wszystkie pańskie domy...
A drobna szlachta kiedy go pochwycą,
To każdy sam go wiezie do sąsiada,
Że aż posłańców wysyłać wypada...

A kiedy wraca, przynajmuje ludzi,
Aby popędzić baranki pomogli,
I już podwodą, nie zbiorem się trudzi,
Tak go poczciwi ludzie zapomogli.

Lecz stary żołnierz — przyszły suche bole,
A na nieszczęście zabrał się do tkactwa.
Ha! zezwoliłem na tę jego wolę...
Lecz dziś już niema komu karmić bractwa;
Więc jedź braciszku! i biedzie przywykaj,
Prowincyał święty, ale dla cię pora —
Szalbierzy, zbirów po drodze nie tykaj —
Jedź i powracaj; o r a e t l a b o r a!

III.

STARY KWESTARZ.

— Ha! posłuszeństwo pierwszy akt miłości,
Gdy na mnie siadło, klasztor nie zapości! —
Rzekł sobie kwestarz. — Więc nabrał do rogu
I w miech tabaki i wyrusza w Bogu.

Szafarz pomyślał o podróżnym chlebie,
Lecz gdy po celi krzątał się na drogę,
Brat go Fidelis zawezwał do siebie,
I rzekł: — Co? idziesz? to ja dopomogę. —

— Mam ja pastorał, com z nim chodził zawsze,
Lecz go po całym kraju dwory znają;
I znajdziesz dla się ludzie najłaskawsze,
Co i na starą przyjaźń pamiętają.

— To weź go z sobą, a za tym kosturem
Same baranki do domu się zgarną —
I kwesta pójdzie prosto, jak za sznurem,
Ot, i nie będziesz chodził światem marno.

— I tabakierkę weź tę, bracie! w drogę,
I częstuj, częstuj wszystkich dobrych ludzi,
I ona starych przyjaciół pobudzi,
A ratuj klasztor, kiedy ja nie mogę!

— Pozdrów ode mnie, kto tam jeszcze żywy,
A kto miłościw, Bóg mu miłościwy!
Miody posycisz u pana cześnika,
A tak, a c o r d e pozdrów porucznika!
Na Porcyunkułę niech też zjechać raczy,
Bo już starego sługę nie obaczy! —
Kwestarz za kostur z serca podziękował,
I tabakierkę do rękawa schował.

Nabrał obrazków z miasta i nowinek,
Zmówił przy krzyżu wieczny odpoczynek,
I rzekł sam sobie: Zbieraj stare kości,
Bo posłuszeństwo pierwszy akt miłości!

IV.

KWESTARZ NOWICYUSZ.

Zwolna przez wioski idzie brat Wigili,
Lecz o klasztorze ludzie coś nie radzą —
I tabakierka i pastorał myli,
I dobrze, jeśli jaki nocleg dadzą.

Aż dnia czwartego widzi krzyż na błoniu,
Ukląkł i płacze — nie widać nikogo.
Aż tu ktoś w końcu jedzie sobie drogą,
Pachołek za nim, pan na dzielnym koniu.

A kiedy ujrzał pod krzyżem burego,
Woła z daleka: — A co to takiego? —
— To brat Fidelis! czy mnie mylą oczy?
I raźno koniem ku figurze skoczy.

Powstał Wigili, wita w imię Boga —
Pan się ku niemu z rumaka nachylił
I patrzy w oczy: — O Maryo droga!
Nie mój Fidelis — tom się, widzę, zmylił!

Lecz skąd ten kostur? wszak to Fidelisa?
No, czego milczysz? mów Wasze u bisa!
Czy brat Fidelis nie żyje już może? —
A kwestarz na to powiada w pokorze:

— Żyje przy łasce i Bożej pomocy,
Ale nie chodzi już od Wielkiej-nocy,
I mnie wysyła tutaj swymi ślady;
Bo kto nie orze, potrzebuje rady.

Świadectwo wziąłem w tej tu tabakierce, —
Mówił brat dalej — i służyć z niej mogę.
— A co ja widzę! i ją dał na drogę? —
I ledwo że mu nie wyskoczy serce,
Tak się ucieszył.

— A jakże Waści, mój bracie kwestarzu? —
— Sługa Wigili! — kwestarz mu powiada —
— Niema dziś postu nawet w refektarzu,
Toć przecie u mnie zagościć wypada?

Czy brat Fidelis nic nie mówił o mnie?
Jaki niełaskaw, to już mnie nie kocha;
Wprawdzie wśród boru człowiek żyje skromnie,
Lecz Kościół bracie! Kościół nie macocha!

A to już prawie nie ma i pamięci,
Jak takich gości miałem w moim domu.
A przecież w sercu zawsze jedne chęci,
I coś się znajdzie, kiedy jest dać komu.

Wszak z Fidelisem służyliśmy razem,
A odważniejszym pono być nie można:
Wiele kochała ta dusza pobożna —
Ufam, że przy nim i mnie puści płazem

Bóg w łasce Swojej, com ciężko nagrzeszył.
A mój bratuniu! jakżeś mnie pocieszył!...
Czy brat Fidelis nic nie mówił o mnie? —
A brat Wigili rzekł mu na to skromnie:
— Niech Wasza miłość mi przebaczyć raczy,
Ale w tych stronach jestem niebywały! —
Na to pan rzecze: — Jasno się tłómaczy:
Porucznik Weldysz, na usługi cały! —
— Gdy tak! — rzekł kwestarz — to sam Bóg już radzi,
Bo w dobrodzieja progi mnie prowadzi;
Gdy tak, to widzę, że już jestem w domu,
Bo brat Fidelis nie zlecał nikomu
Takich pozdrowień, jak Waszej miłości!
Kiedym odchodził rzekł mi w serdeczności:
O moim druhu zachwyć tam języka,
I tak a c o r d e pozdrów porucznika!
Na Porcyunkułę niech tu zjechać raczy,
Bo już starego sługę nie zobaczy!

Na to porucznik: — Co to mówisz Wasze?
To jeszcze pomny na przymierze nasze?
A c o r d e, mówisz, kazał mnie pozdrowić?
To Porcyunkuły i czekać nie będę,
Ale na konia lada dzień usiędę,
I musim jeszcze przymierze odnowić!
Lecz co tam o tem będziem gadać w polu;
Nie wszystko jeszcze zginęło w kąkolu:
Pachołek zsiędzie, — siędź Waść na rumaka!
Pod dach nam trzeba. Jest tam i tabaka,
Jest trochę wosku, jest i trochę miodu,
To i na światło stanie Matce Boskiej —
Jest trochę chleba, to nie będzie głodu,
Ani nam obom, ni w klasztorze troski! —

V.
KLASZTOR W UCISKU.

Czas dni czterdziestu dobiegał do końca,
Często spoglądał ksiądz gwardyan za drogą,
Czy brat nie wraca? albo nie śle gońca?...
Lecz nic nie słychać, nie widać nikogo...

Więc poszedł za nim i drugi i trzeci,
Czejże dla domu co który przysporzy?
Ale dzień za dniem ba i tydzień leci,
A tu nie widać znikąd manny Bożej...

Już w refektarzu zdawna obiad krótki,
Już i u furty począł gwardyan skąpić.
Bóg się zagniewał, więc w klasztorze smutki,
I co najgorsze miało już nastąpić.

Gwardyan nakazał wszystkim post trzydniowy,
A sam już suszył o chlebie i wodzie...
Ha! może pościć, kto przy łasce zdrowy,
Ale choremu, jak tu żyć o głodzie?

A tu trzech księży chorych na łożnicę.
I trzech z czeladzi świeżo się pokładło,
A brat Fidelis trzyma już gromnicę,
I na śmierć pono, tak mu czoło zbladło...

Już gwardyan nie ma ani dnia ni nocy,
Zdrowi i chorzy potrzebni pomocy;
Więc dał do młyna ostatnią ćwierć zboża,
A sam już chodzi od łoża do łoża.

— O, ja nie skonam — brat Fidelis mówi —
Póki Bóg nie da manny klasztorowi.
Nie trap się Ojcze! jeszcze ciepłe członki,
A raczej razem odmówmy koronki
Do Opatrzności Boskiej.

I poczęli.
A wtem zapukał zwolna ktoś do celi:
Furtyan wszedł z cicha i powstrzymał kroku!
A nie chcąc przerwać, przyklęknął na boku.

Kiedy skończyli: Cóż tam? — Gwardyan pyta.
— Za chwilę brat nasz Wigili zawita,
Sam jedzie bryką, trzy podwody wiedzie,
A przed nim stado baranków na przedzie.

— A czym nie mówił — brat Fidelis rzecze, —
Że chociaż wielkie, wielkie moje grzechy,
To dusza póty z ciała nie uciecze,
Aż Bóg domowi nie ześle pociechy...

I podniósł oczy do nieba w miłości,
I wołał: „Boże! w Twoim ręku stoję!
O! rozmnóż chwalców Twojej Opatrzności!
Bądź wola Twoja! przyjdź królestwo Twoje!"

I zwisła głowa — a z oczu gasnących
Śmierć już wyjrzała — Gwardyan koło bratnie
Zwołał do celi na modły ostatnie,
I rozpoczęli akty konających...

Pod koniec modłów przybył brat Wigili,
A konający znów oczy odmyka,
Patrzy na niego i mówić się sili,
A w końcu wyrzekł: Bracie! daj mi mléka...

Nie mogłem skonać — czekałem na ciebie,
Podaj mi mleka — Bóg zapłaci w niebie... —
Lecz brat Wigili zda się, że nie słyszy,
Upadł mu do nóg — z żalu ledwo dyszy,
Zerwał się w końcu i we drzwi uderzył,
Lecz gdy powrócił — łaknący już nie żył...

VI.

PROWINCYAŁ.

Czas się przybliżał wielkiej kapituły,
I ksiądz prowincyał o swój zakon czuły,
Wyruszył w podróż, aby znanym torem
Zwiedzić klasztory przed nowym wyborem.

Kiedy odwiedzał już klasztor ostatni,
Spostrzegł grób świeży — i pomyślał sobie:
To brat Fidelis! więc w miłości bratniej
Niepostrzeżony, modlił się na grobie.

Kiedy nareszcie wstąpił do klasztoru,
Wracali bracia krużgankiem od chóru.
Więc naprzód przyklękł krótko przed obrazem,
A potem wszystkich powitał zarazem.

Nazajutrz rzecze Ojcu gwardyanowi:
— Smutno tu jakoś z ducha i z postaci,
Co się to Ojcze! stało klasztorowi?
Co się to Ojcze! stało miłej braci?

Smutek zakonnej nie przystoi twarzy,
Kto mocno wierzy, tego ból nie ścignie,
Kiedy w modlitwie znów ducha rozżarzy.
Czy zakon może w gorliwości stygnie?

Czy już ubogie nie ma czem obdzielić?
Czy się przebrały miłosierdzia skarby?
Czy się karności przeliczyły karby?
Że duch się w Panu przestaje weselić?

— Ojcze! — rzekł gwardyan — jam gotów na bicze,
Tobie jak Bogu ze spraw mych się liczę —
Coś złego zaszło — to dobrze rozumiem,
Lecz ni osądzić, ni poprawić umiem!

Brat nasz Fidelis stanął już przed Bogiem,
Skończył przykładnie, lecz od owej chwili,
Jak go nie stało tu za naszym progiem,
Spokoju duszy nie ma brat Wigili...

Zrazu myślałem, że taka żałoba
Została w duszy jego po tej stracie...
Boć to serdecznie kochali się oba,
A więc błagałem: Upomnij się bracie!...

Ale czem dalej, tem z Wigilim gorzej,
Nie je i nie śpi, błądzi przez dzień Boży,
Ni go się praca ni modlitwa bierze,
Jak gdyby wcale już ostygał w wierze.

Ha, pomyślałem, Sakrament Pokuty
Łaską zbolałej duszy ból uśmierzy;
Lecz i spowiednik odtąd niby struty,
I jakaś trwoga wśród braci się szerzy...

Więc nakazałem modlitwy w klasztorze,
Może duch braci podźwignie go może;
A Bóg nie pomny na te nasze grzechy,
Zsyła nam ciebie na duszne pociechy...

Prowincyał dawną spokojność zachował,
Dobył relikwiarz i „p a x t e c u m“ mówi —
Relikwię Świętych naprzód ucałował,
Potem z miłością podał gwardyanowi —

I rzecze: Przyjmij słowo pocieszenia:
Bóg dał Piotrowi klucze od sumienia;
Jeśli przeczucie, jeśli wzrok nie myli,
Wiem, co to zaszło, niech przyjdzie Wigili! —

I wszedł Wigili zaledwo już żywy,
Jako trup blady z rozpaczy wyrazem,
I rzekł prowincyał: Pan Bóg miłościwy,
Uklęknij bracie! pomódlmy się razem!

I ukląkł kwestarz złamany, skruszony,
I wielką trwogą w duszy się zatrwożył,
A głowę jego ujął przełożony,
I obie ręce na głowie mu złożył.

— Wielki Bóg! bracie, w miłosierdziu Swojem,
Niechaj nawiedzi twą duszę pokojem!
Otwórz mi duszy twojej tajemnicę,
A Bóg otworzy ci łaski skarbnicę.

Dźwignij się w Panu i nabierz otuchy,
Jak ja cię w ręku — Pan cię jeszcze trzyma! —
A brat Wigili aż ryknął od skruchy:
— O! dla mnie Ojcze! miłosierdzia niema!

— Jest! — rzekł prowincyał — Chrystus złamał złości,
I zdał Piotrowi grzeszników sumienie;
I większa, bracie! moc Bożej miłości,
Niźli być może ludzkie przewinienie!

Wstań i mów śmiało! Chrystus, który wgląda
W ludzkie sumienie, sam więcej nie żąda
Od ciebie, bracie, jak żebyś tu wierzył,
A jeśli zgrzeszysz, w piersi się uderzył. —

Dźwignął się w Panu nieco brat Wigili,
I rzekł spokojniej:
— Poczynam od chwili,
Gdy mnie po kweście ksiądz gwardyan wyprawił,
I kiedym klasztor i braci zostawił.

Brat nasz Fidelis już z łoża nie wstawał,
Ale w tę podróż przestrogi mi dawał;
I dał mi także swój kostur na drogę!
I rzekł: Ha, ratuj, kiedy ja nie mogę!

Pozdrów ode mnie, kto tam jeszcze żywy,
A kto miłościw, Bóg mu miłościwy;

Miody posycisz u pana cześnika,
A tak, a c o r d o pozdrów porucznika!
I jakoż Pan Bóg o Swym domu radził,
Bo w dobrodziejów progi sam prowadził.

Kiedym pod krzyżem modlił się na błoniu,
Człek już podeszły nadjeżdża na koniu —
Jak znajomego powitał mnie szczerze,
Kazał siąść na koń i do domu bierze.

I jak Fidelis mówił, za kosturem
Same baranki do domu się garną;
I kwesta poszła prosto jak za sznurem,
I nie błąkałem się po wioskach marno.

Od owej kwesty klasztor nie zapości,
I kiedym wrócił, było dość radości.
Lecz mnie się zdało, kiedy gwardyan chwalił,
Jak gdyby szyną po duszy mnie palił.

Brat nasz Fidelis bywał towarzyszem,
I sługiwali razem, jak się zdaje;
Więc gdym się później rozgadał z Wełdyszem,
Że brat Fidelis z łoża już nie wstaje.

Z wielkim podziwem pan Wełdysz mi powie:
— Wszakże to młodzik! czyż to czas na niego,
Wszak bojaźń Boga człeku daje zdrowie!
Ale nie umrze, nic nie będzie z tego!

Mam czarną krówkę, poślę mu na mleko,
To i odetchną jeszcze piersi chore;
A że do wiosny nie bardzo daleko,
To go na maik do siebie zabiorę. —

I dał mi krowę i hojnie obdarzył,
I po sąsiadach sam mnie oprowadził;
A każdy sobie starą przyjaźń ważył,
I o klasztorze jak katolik radził.

Wesoła była już z powrotem droga;
Ale gdy popaść prawie była pora,
Wychodzi z chaty niewiasta uboga
Z dzieckiem na ręku — i nędzna i chora.

Kazałem stanąć i popaść chudobie,
— Co wam to? — pytam, widząc dziatwę w nędzy...
Lecz ona tylko zapłakała sobie,
I pospieszyła do chaty co prędzej.

Jużciż mi trudno było, bez pociechy
Porzucić nędzę, więc pytam i słyszę:
— Ojca i męża zabrał Bóg z pod strzechy...
A biedna wdowa z dziatwą ledwie dysze.

Konie wziął złodziej, dojna krowa padła,
Przednowek ciężki a i ciężka zima - -
I taka nędza niebogę obsiadła,
Że i dla dziecka w piersiach mleka nie ma!

Więc rzekłem biednej: jest tu z nami krowa,
Wydój ją matko i daj dziatwie mleka.
I podoiła czarną krówkę wdowa,
I dała dziatwie półtrzecia skopczyka.

Potem do worów sięgnąłem po trochu,
A więc i mąki i kaszy i grochu
I soli dałem, tak, jako się godzi,
Ażeby stało, aż już Bóg zarodzi.

Otóż gdy dziatwę mlekiem napoiła,
I wszystkim trojgu dała kawał chleba,
Cudowna jakaś dźwignęła ją siła,
Jakby sam Pan Bóg pokarmił ją z nieba.

I choć niczego nie tknęła ustyma,
Już nową siłą dziecię w ręku trzyma;
I tu wspomniałem na dziecięctwo moje:
Jako tu troje i nas było troje!

A biedna macierz i wdowa żałobna,
Była jak na to mej matce podobna.
Kiedy z popasu przyszło ruszyć wreszcie,
Do nóg się krowy uczepiła dziatwa,
I zapłakało się biednej niewieście,
I ruszyć z miejsca nie była rzecz łatwa!

Ha! trudno człeku przestać być człowiekiem!
Może ksiądz gwardyan to przebaczyć raczy,
Wszak i mnie matka wykarmiła mlekiem?
Jeśli nie gwardyan, to Pan Bóg przebaczy!

I poszła krówka na podwórko wdowy,
I do klasztoru wróciłem bez krowy! —

Na to prowincyał rzekł jemu po chwili:
— Zgrzeszyłeś bardzo, mój bracie Wigili!
Zgrzeszyłeś bracie, zgrzeszyłeś i bardzo,
Bo ci najgorsi, co na dobre hardzą!

— Nie tutaj koniec! — brat Wigili rzecze,
— Nigdy przed karą zbrodnia nie uciecze!
Kiedym już stanął na klasztornym progu,
Słyszę, że gwardyan zebrał koło bratnie
W celi kwestarza na modły ostatnie,
Bo już Fidelis zdaje ducha Bogu!

Wpadam do celi — a tu w tejże chwili
Brat konający znów oczy odmyka,
I patrzy na mnie, i mówić się sili,
I w końcu wyrzekł: Bracie daj mi mleka!

Nie mogłem skonać, czekałem na ciebie!
Podaj mi mleka! Bóg zapłaci w niebie! —
O niby piorun zabiły te słowa,
Bo mi się zdało, że pytał: gdzie krowa?

On nawet skonać nie mógł już beze mnie!
A jam go okradł, okłamał tajemnie!

On w mej pomocy był takim bezpiecznym,
I zszedł ze świata nie zmieniwszy zdania;
Ach! on tak łaknął w tej chwili skonania!
Jakże ja stanę w Sądzie Ostatecznym? —

Na to prowincyał rzecze mu po chwili:
— Przyjmij pociechę mój bracie Wigili.
Kto tutaj łaknął, tam ochłodzon będzie,
I po prawicy z wybranymi siędzie!

Zła była ufność w miłosierdziu Bożym:
Kto się rozgrzesza, nie będzie rozgrzeszon,
I tyle łaski, ile się pokorzym:
Lecz gdy żałujesz, to będziesz pocieszon!

Słowa Bożego trzeba się poradzić,
Bo z czego światło w początku poczęte,
Po wszystkie wieki pozostanie święte,
I Pan tu zstąpił grzechy świata gładzić.

Otóż, gdzie księga sama się otworzy,
I co po prawej z góry napisano,
Dla żałującej duszy będzie dano,
To przyjmiesz bracie! jako wyrok Boży! —

Przykląkł Wigili, twarz śmiertelnie zbladła,
I wielka księga sama się rozpadła,
Ku ziemi korna schyliła się głowa,
A ksiądz prowincyał przeczytał te słowa:

„Błogosławiony mąż, co po staremu,
Kiedy Pan grzechu nie poczytał jemu,
A w duchu jego niema żadnej zdrady!“

— Taki ci wyrok padł z niebieskiej rady;
Pan ci przebaczył, boś miłował szczerze:
Nie łam zakonu a trwaj dalej w wierze! —

To rzekłszy, głowę miłościwie ścisnął,
A brat Wigili u kolan zawisnął;

I długo jeszcze Prowincyał go cieszył,
I z nim się modlił i w końcu rozgrzeszył;
A gdy pocieszyć i rozgrzeszyć raczył,
Więc mocno wierzym, że i Bóg przebaczył!

NA BIELANKACH.

Zdala Tatry widne tam,
Bliżej stary Kraków sam,
A w dolinie Wisły prąd;
Tam na górach Boży tron,
Tam za dzieje mówi dzwon,
A tu cichy Boży kąt.

Pięknie tutaj z dawnych lat,
Żywy tutaj ducha świat
Wśród tych lasów, wśród tych skał:
Grunt poświęcił już sam Pan
Dla sług swoich, dla swych ścian,
By go wszelki człowiek znał...

I każdemu miło tu
Chwycić piersią tego tchu
I po świecie puścić wzrok:
A kto wiele w świecie znał,
Ten stanąwszy wśród tych skał,
Pójdzie może dalej krok?

Bo tajemny jakiś wiew
Tchnie w pustyni od tych drzew,
Jakby modłów cichy szmer:
Bo kto przeszedł próg tych bram,
Już dla niego ginie tam
Spraw światowych mętny wir.

Kto zbolałą duszę ma,
A w kim serce jeszcze gra,
Ten dla duszy znajdzie wczas;

Kto tak w świecie zabrnął w kał,
Że na duszy ciężar miał:
Ten pokutny znajdzie głaz.

Komu płakać dusza chce,
A popłakać nie ma gdzie,
Tu popłakać miejsce jest.
Ktoby myśleć, marzyć znał,
Ktoby tu się modlić chciał,
Weźmie tutaj duszny chrzest.

Kto postradał własny dach
Komu ludzi, świata strach
A jednako musi żyć;
Kto z tem życiem zerwał już
I nie szuka serc ni róż,
Mógłby jeszcze tu się skryć.

Lecz kto pokój tuby wniósł,
W rozkosz ciszy, w pracę rósł,
Tu szczęśliwie mógłby żyć;
Ktoby łaskę Pańską miał
I do nieba drogę znał,
Tu i świętym mógłby być...

IV.

ZE DWORU.

PIERWSZA NOC WE DWORZE.

Noc świętojańska siadła na zagrodzie,
Gwiazdy zadrżały na przejrzystej wodzie,
Zapachy trawy odwilgły w pokosie,
I głos ligawki ozwał się po rosie...

I świętojańskie wypełzły robaczki,
I co to oraz woni i uroku!
Bo poznaczyły i cętki i ślaczki
Po wonnych krzewach i w starych drzew mroku.

Jak gdybym z ciężkiej podniósł się choroby,
Wszystko mię nowo uderza od doby —
I zapoznawać się ze wszystkiem muszę,
Jakbym po leciech znów odzyskał duszę.

Znajome głosy ozwały się z sioła,
A każdy niby od lepszych lat woła
Na powitanie z sobą towarzysza:
Wielka, swobodna i urocza cisza!

Cisza na siole, w polach i na borze
I pod okienkiem kwitnie jeszcze róża,
I taż ligawka i taż nocna stróża,
I po staremu wszystko w starym dworze...

LILIOWY RANEK W POLANCE.

Lipcowe słońce — i nadeszło lato!
Ostatnia może róża się uśmiecha,
I stara lipa okwitła bogato,
A lilia dysze z wonnego kielicha...

O lilio biała! ty starozakonna!
Coś na ołtarze wstąpiła z Maryą,
Powiedz mi, powiedz, prorokini wonna!
Jakie się w tobie tajemnice kryją?

Kwiat twój otwarty — a jednak głęboki;
Takaś poważna — a smukła i szczytna!
O znać, że w ciebie patrzyli proroki,
Bo choć świecąca — takaś aksamitna!

Nie czystsze gwiazdy, co świecą w pokoju,
Sam Eliasz nie był już więcej zakonny,
Ani Salomon w całym swoim stroju
Nie był tak strojny i kadzidły wonny...

Jedna cię tylko przeszła „Gwiazda morza",
W której się nieba tajemnice kryją,
Z różczki Jessego Rodzicielka Boża,
I dla Niej wiecznie zakwitaj lilio!

ZA POLEGŁYCH.

Drożyny polnej nikną niby ślady!
Czółno na brzegu, przeprawa i rzéczka —
Wioska za wodą ćmi się między sady,
A górą jakaś omszona wieżyczka...

Ozwał się dzwonek — a za jego głosem
Uklękło dziewczę, które wodę niosło,
I ukląkł kosarz w łące nad pokosem,
I ukląkł rybak i odłożył wiosło...
I dzwonek dzwonił i umilkł po chwili,
Wszyscy modlitwę klęcząc odmówili,
I jak ich było, tak powstało troje,
I każde znowu wzięło się za swoje...

* * *

Nie źle tu, widzę, ludziom za tą wodą,
Znać, że nie każdy do nich się dostaje;
Znać, że poczciwy żywot sobie wiodą,
Kiedy chowają takie obyczaje?

Znać, że tu ziarno dobrego posiewu
Przed wieki padło i na dobrą rolę,
I stać tu jeszcze szczepionemu drzewu,
Kiedy Bóg ludziom daje dobrą wolę...

* * *

Kiedy przebywał w krainie zamorskiej
Onego czasu Bartek Nowodworski —
Prosił o odpust osobny dla Polski,
I dał go papież w łasce apostolskiej.
Za co?
A za to, że się w imię Pańskie
Cały lud w Polsce witał i pozdrawiał:
A każdy rycerz pacierze kapłańskie
Niby zakonnik na księdze odmawiał...

Dziśby już prosić o odpust osobny
Dla tych, co jeszcze trwają w wierze starej...
Lub o modlitwy na ziemi żałobnej
Za tych, co w nędzy odpadli od wiary...

* * *

Wracając myślą od lat dawno zbiegłych
— Podaj tam czółno! — krzyknąłem —
Wszak pono
Na Anioł Pański we wsi zadzwoniono?
— O, nie! mój Panie! — dzwonią „za poległych!"

— Co? za poległych? — za których? i kiedy?
— Któż to wie, Panie! dzwonią tak od wieku,
Bo czyż nie było na świecie dość biedy?
Bywały Turki, Tatary i Szwedy:
To jest za kogo się pomodlić człeku!

Bo kto najechał za czasów ubiegłych,
Statku ni ludzi pono nie przymnożył,
A ktoś tam zawsze i głową nałożył,
To też i dzwonią z dawna „za poległych..."

* * *

Co w tem miłości! pomyślałem sobie,
Dzwonić przez wieki na poczciwym grobie
Tych, co polegli gdzieś tam nie liczeni —
Których zasługę tylko Pan Bóg ceni...

Nie darmo serce ma ów mały dzwonek
I pierś spiżową — za dzieje się żali,
A żałość ziemi wyśpiewa skowronek,
I żywy człowiek przy tem Boga chwali...

To dzieje świata i dzieje Kościoła...
Po starych grobach zbiera miody pszczoła,
Po ziemi idzie puścizną kochanie,
A po modlitwie duchów obcowanie. —

* * *

W małym kościółku, co wśród wioski stoi,
Cicha pobożność w kwiaty ołtarz stroi...
Staro-gotyckiej szkoły obraz święty
Jak tu wniesiony, widać, że nietknięty...

I nabożeństwo rzadko się odprawia,
Choć pozostało wszystko z lat ubiegłych...
I dobrą pamięć tylko dzwonek wznawia,
Bo codzień dzwoni ktoś tam „za poległych..."

* * *

Oj niema, Panie! już nawet pamięci,
Jak się ta pamięć „za poległych" święci:
Ale jak ojcom mawiali ojcowie,
To nachodzili na kraj Tatarowie.

I pustoszyli i ogniem i mieczem.
Lecz raz spotkała ich tutaj przygoda,
I rzekli ludzie: Tutaj ich wysieczem,
Kiedy przybyła na Wisłoku woda! —

I wszystkie pola zaścieliły trupy,
Bo się pogaństwo w powrocie nie strzegło.
I odebrano i ludzi i łupy,
Ale i naszych niemało poległo.

Gdy się ocknęli ludzie po tej bitwie,
Między łupami i dzwon znaleziono,
I ktoś zadzwonił — i odtąd już pono
Chwali wieś Pana w codziennej modlitwie.

Skąd dzwon był wzięty — kogoż było pytać?
Jest na nim napis — lecz tak rozum błąka,
Że go i księża nie mogli odczytać!
Więc stanął kościół dla miłości dzwonka.

I taki zwyczaj z lat dawno ubiegłych,
Że ludzie mówią „dzwonią za poległych“ —
A że nie wadzi, co dobre człekowi,
Więc też i pacierz niejeden odmówi...

Z PUSTYŃKI ŚWIĘTEGO JANA Z DUKLI.

Ostatni pański dworzec pod górami
Świeci w tej Dukli starymi murami,
I parę świątyń wśród gór tu się chowa,
A ponad niemi już we mgłach Cergowa...
I stary zegar wybija godziny,
Jako przed wieki stare dzwony biją...
I przeszły sławne i możne rodziny —
A pańskie trumny w kościołach się kryją.

Po sławnych niegdyś przebrzmiała już sława,
Po sprawiedliwych pozostały prawa,
Po możnych pamięć pozostała zbytku...
Ale jak bije na Cergowej źródło,
Co było w Bożej miłości poczęte,
To dzisiaj jeszcze w sercach nie wychłódło,
I wieczne żywe, jest w pamięci — Święte!
O i nie do tych duch się w dziejach garnie,
Co żyli w złocie, a dziś śpią w marmurze,
Ale co żyli dla świata niemarnie,
A dziś czuwają jak Anieli-Stróże

Nad ową ziemią, co im rodzicielką,
Którą miłością kochali tak wielką,
Że na jej skrzydłach i za jej przyczyną
I dziś ku niebu jeszcze serca płyną.

Błogosławiony żył tu sługa Boży
Niegdyś Jan z Dukli — i wierna Cergowa
W świętej pustyńce ślady jego chowa,
Gdzie obok źródła sypiał na rogoży.
I święte źródło bije tam wieczyście,
I w mroku starych buków uroczyście...
I wiecznie żywa tam serca prostota
Odnawia pamięć świętego żywota.

* * *

Kiedy Jan z Dukli po tej ziemi chodził
I świątobliwym żywotem zasłynął,
Bóg takiem światłem dusze mu nawodził,
Że naród za nim, jak za Świętym płynął...

Więc ksiądz prowincyał zjechał do klasztoru,
A chcąc doświadczać jeszcze jego cnoty,
Z cichej pustyni wezwał go do chóru
I coraz cięższe zadawał roboty.

I już nie wolno było mu ni siedzieć,
Ni spać, ni modlić, ni wziąć pożywienia,
Ale się naprzód musiał opowiedzieć,
I u starszego prosić zezwolenia.

Czem większa była zakonna surowość
I czem twardszego żądano posłuchu,
Tem i pokora większa i gotowość,
Tem więcej Święty weselił się w duchu.

Kiedy raz z rana zapytał nieśmiele,
Gdzie Mszę mieć będzie?

Ksiądz prowincyał powie:
Taka ma wola, że w naszym kościele,
Ale przed wielkiem ołtarzem we Lwowie.

Mąż święty na to nie rzekł ani słowa,
A wzniósłszy oczy z radosnym uśmiechem,
Jak gdyby ze Mszą, w ornacie, z kielichem
Prosto z zakrystyi wyruszył do Lwowa.

Z książką i z dzwonkiem szło przed nim pachołę,
I nie stawając szli i dniem i nocą,
A Pan obudwu trzymał na Swym stole,
I krzepił łaską i nadziemską mocą.

Już z Dukli ludzi wyruszyło wiele...
A gdy mąż przy każdym kościele
Na drodze swojej uczył i pocieszał,
Z wsi i miasteczek tłum za nim pospieszał.

I kiedy przybył nareszcie do Lwowa,
Mówili sobie i wielcy i mali:
— Tego kapłana Bóg w Swej łasce chowa,
Gdy taka rzesza przy nim Pana chwali. —

A więc we wszystkie uderzono dzwony...
I wielka jasność świeciła mu z czoła,
Kiedy zawołał wszedłszy do kościoła:
„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony."

Kiedy Mszę świętą następnie odprawił,
Wielką nauką całą rzeszę skruszył...
A kiedy skończył — już dłużej nie bawił,
Ale napowrót do Dukli wyruszył...

I ruszył za nim cały tłum narodu...
I wychodziły z procesyą gromady,
I od wsi do wsi, od grodu do grodu
Stąpała rzesza w jego święte ślady.

A gdy do Dukli przybył już ze Lwowa,
Mówili sobie i wielcy i mali:
— Oto mąż Boży i święta to głowa,
Gdy taka rzesza za nią Pana chwali! —

I sam prowincyał poczcił sądy Boże
I podał wodę święconą u progu,
I rzekł w miłości i w ducha pokorze:
— Wracaj na puszczę: boś ty miły Bogu! —

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.

„Paść może i Naród Wielki, zniszczeć nie może tylko nikczemny."

Stanisław Staszic.

WSTĘP.

NA JESIENI.

Coraz ciszej — Wrzesień! Wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa —
Ha i jesień, — polska jesień!

O! jesieni złota nasza!
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna cześci
I kojącej pełna treści...

W pożegnaniu grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Wiosną łąki tu się tęczą,
Starodrzewne lasy wieńczą
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory,
Na dzień wielki rozesłany.

Mgła poranna, co nierada
Wdzięk osłonić na raz oku,
To się wznosi, — to opada;
I uroczy świat w tym mroku,

Co się dzieli na obrazy,
W plątaninie tęcz i gazy.
Jak czarowna niby wstęga,
Co tę ziemię z niebem sprzęga,
Z srebrnej gazy, z tęczy wątku,
I bez końca, bez początku
Płynie, sunie i przegania,
I otula i odsłania
Wdzięki ledwo sercu znane,
A tak pięknie zasromane!

Aż gdy cicho złote słońce
Z dobrą wieścią wyśle gońce,
Mgła uchodzi wielkim zwojem,
I po czarach łzy się żalą.
Za wzgórkami gdzieś niebiosa
Jarząbatą płyną falą;
W blasku słońca perli rosa,
A świat strojny wielkim strojem,
Jak matrona się uśmiécha,
I w milczeniu znów oddycha
I powagą i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota —
Nigdzie głosu — nikt nie śpiewa:
A po duszy się rozlewa
Jakiś smętek czy tęsknota.

Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;
Już i żuraw rzuca straże,
W klucz powietrzny zawiązany.
I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask kaczora
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień polska, to matrona!
Przysporzyła i oddaje:
A co wyszło z serca, z łona,
Ukojone — całe staje.
A ta srebrna pół tkanina,
Ta jesienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiej pani,
Który ziemia niesie w dani.

Cicho, chłodno — jakoś smętno,
Czule, rzewnie i pamiętno:
Bo wianuszki dawno zwite,
Wielkie prace odprawione,
Wielkie burze już przebyte,
Wielkie bole ukojone.
A więc słońce złotem ciska;
A złociste łanów ściernie
Srebrną gazą się połyska
I przyświadcza temu wiernie,
W wielkiej ciszy, w wielkiej wierze,
Niebo, — ziemia, — człek i zwierzę.

Dziwnie mądra pora roku,
Zdrowa duszy, czuła oku.
Gdy liść zwiędły się przegania,
Ziemia zda się w ów czas marzy
Wielkie prace, wielkie stróże,
Wielkie dzieje, wielkie burze;
I żywotem swoim waży
Wielkie myśli zmartwychwstania.

Panie! Panie! coś w szczodrocie
Na świat rzucił łaski siemię,
I coś rozdał darów krocie,
I obmyślał naszą ziemię
Na jesieni tym pokojem,
I tak wielkiem ukojeniem,
Czemu, Panie! za przejrzeniem,

Za przejrzeniem Panie Twojem,
Nie raczyłeś nam z kolei,
Tak opatrzyć na jesieni
Tych jesiennych naszych dziei?

Jest we Włoszech piękna wiosna,
Włoskich wieszczów ukochanie —
I czarowna i miłosna,
Że słów ledwo dla niej stanie.

I jest starych bogów lato
Gdzieś tam greckie, — co bogato
I rozkosznie duszę poi.
Lecz jest także w ziemi twojej
Starych bogów upominek, —
Miasto mirtu jest barwinek,
Miasto lauru dąb w jesieni.
Jesień, jako święta ksieni,
W ziemi Piastów gospodarzy,
I jak pani miłościwa,
Tak łaskawą, szczodrą bywa,
Że już tylko wszystkich darzy.

Coraz ciszej — to nie wrzesień,
Lecz listopad! — głucha jesień.
Hej listopad! — w listopadzie
Już nie rada, — bo po radzie.
Nic nie chwali łaski Boże,
Świat jak brudne stoi morze,
I bez wdzięku, bez uroku
Zda się, czeka czegoś w mroku.

Wielka była w ziemi rada...
Co nie poszło już za morze,
To się zbija w wielkie stada,
W polach gęsty ogień gore;

A wszystkiemu na przekorę,
Co tam kwitło a nie kwitnie,
I co zżółkło, leci — sitnie —
Sam pług tylko jeszcze orze,
W miłosierdzie ufny Boże!

Z kim więc pójdziem?
Czy w cieplice
Lekkiem skrzydłem za ptakami?
Czy pod strzechę ze stadami?
Ha! my starzy tu dziedzice,
Więc po wiośnie nie zapłaczem:
Idźmy z Bogiem i z oraczem
Wielkim szlakiem — w wielkie bramy.
Wszystkie cnoty, jakie mamy,
Za zasługi świętych dane,
Wszystkie pługiem wyorane.

Pług stateczny i pług darzny - -
A kto orze, ten poważny!
I broń stara i kość z kości,
Chwała świętych i rogoża,
I ta służba gościnności,
Miłość ludzka — bojaźń Boża,
Czułość serca i sumienia,
I co tylko nam z przejrzenia
Opatrzności było dane,
Wszystko pługiem wyorane.
I kmieć Boży z Bożym sługą,
Z Bożym sługą, z Bożym mężem,
Orał grunt ten wiernie, długo,
Pługiem, słowem i orężem...
Więc i wszystko świadczy temu,
Jak bywało po staremu,
Świadczy nawet w listopadzie,
Choć nie rada — bo po radzie...

Wszakże w końcu na jesieni
Tylko sosna się zieleni,
Jak ją w puszczę Bóg rozdzielił;
I świerk tylko, co gdzieś śmiele
W niebo wyrósł przy kościele,
Lub przy chórze śmiało strzelił; —
I barwinek gdzieś ukryty,
Wiecznie świeży i nadobny,
Co tam czeka, by był zwity
W wieniec ślubny — czy żałobny; —
I jałowiec, smutny wdowiec,
Co nim kadzą umarłemu,
I jemioła z krzywd wesoła,
Tylko żywa po staremu...

Jest na wschodzie kwiatów mowa:
Gdyby nasze drzewa, krzewy
Ktoś zapytał o ich słowa,
O zagadki i posiewy:
Jakim cudem świat ich ożył?
Co pan w łasce na nie złożył?
I co w żywot z nich się sieje?
Wówczas ziemi dzieje całe
Namby były zrozumiałe,
I jesienne nasze dzieje!

— Nie wymyślaj tylko stary!
Wszak chleb z pracy — wiara z wiary; —
A więc gadu stary dziadu,
Pleć pleciugo, byle długo,
Bajże baju po zwyczaju
O tym naszym polskim kraju.
Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia, co jest w pieśni.

.... Wielkim szlakiem, starym śladem,
Sercem, duszą szedłem długo,
I płynęły pieśni strugą,
Lecz rok każdy listopadem.

Gdzież te wdzięki, te uroki,
Kwitnącego wiosną sadu?
Czy go poznasz, kiedy mroki
Nań się spuszczą listopadu?

Czy poznany ptak po głosie,
Co tam czysto szedł po rosie?
I czy jeszcze serca stanie,
Co odpowie na wołanie?

Hop hop! Hop hop! głucho w lesie —
Głuszej jeszcze w sercu, w świecie.
Wiatr pożółkłe liście niesie,
I listopad śniegiem miecie.

Listopadzie! Listopadzie!
Bardzo duszy nie do składu,
Co tu radzić? gdy po radzie
W dniach przepaści listopadu!

— Nie wymyślaj tylko stary,
Bo powtarzam: wiara z wiary!
I pług kordem, kord lemieszem,
Orzem, siejem, modlim, grzeszem;
I na przemian coraz dalej,
Na dziejowej płyniem fali!

Gadu gadu, stary dziadu,
Pleć pleciugo, byle długo
Bajże baju po zwyczaju
O tym naszym polskim kraju!
Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia, co jest w pieśni!

Wielka prawda! — gdy pieśń płynie,
Serce niby znowu żyje,
I jak mówią w Ukrainie:
Durny dumko bohatije...
Więc choć w głowie się coś męci,
Radbym duszę mą ocucił,
Ach! i z serca czy z pamięci
Coś wysnował i zanucił.
Jakoś rzewnie, czy miłośnie,
I wesoło, czy żałośnie;
Coś o bracie, czy o bitwie,
O Koronie, czy o Litwie...

— W to mi grajcie, panie bracie!
W to mi grajcie, miły swacie!
Z starą nutą żyje wiara,
A na wierze miłość stara.

Długom błąkał się bez celu,
I milczałem, troską blady,
Jak grobowy głaz Wawelu,
Bo nie było z wami rady.

W waśni bracia się rozdarła —
I jak wróg mi życie zbrzydło;
Jak w więzieniu pieśń zamarła
I sokole zwisło skrzydło...

Dziś — gdy znowu słyszeć chcecie
Pieśń za młodu wyśpiewaną:
To i u mnie w duszy rano,
Choć listopad szronem miecie.
Dziś, gdy jest znów śpiewać komu,
Gdy was znowu widzę w zgodzie,
W wielko-polskim starym domu,
Znów wam brząknie: „Żyj narodzie!"

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?

Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby —
I pomniki starej doby?
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się ścmiły.

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po tej ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi?
Co puścizną tobie dano?
A czy wiesz ty, co w nich leży?
O nie zawsze, o nie wszędzie
Młody orle tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy.

Trzeba będzie się nałamać
Z sobą, z ludźmi, z życiem, z losem, —
I nie wolno Bogu kłamać,
I pod lada upaść ciosem.
Trzeba będzie ważyć, służyć
Milczeć, cierpieć i wojować!
I niejedno miłe zburzyć,
A inaczej odbudować...

....Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzódy,
Nim twe serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną.

Poznaj ziemskie i podniebne,
Bo te skarby ci potrzebne;

Poznaj wiernych serc puściznę,
Dobrej sławy ojcowiznę.

Bo to ona cię najczulej
I ukocha i upieści,
I uświęci i umieści,
I do serca przymatuli!

Kto tam zgadnie, gdzie osiędziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz?...

Wyleć ptakiem z tego gniazda
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzyć z góry na twe ziemie.
I rodzime twoje plemię.

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszyty i piasczysty;
Puszcze czarne, zboże marne,
Niebo bledsze, trawy rzedsze,
Rojsły grząskie, groble wązkie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie. —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina!

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym zwirze socha świszcze,
A za drogą, gdzieś w postronne,
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłoczny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to Litwinie?
Ale Litwin nie wygada!
Bo w tej duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak wosk topnie;
Ale gdy go kto zahaczy:
To i w grobie nie przebaczy,
I na końcu swego dopnie!

Choć kraj jego niebogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie, —
I dobytek w dom prowadzi,
I „o j u t r z e“ wiecznie radzi.

To też znajdziesz w każdej porze
W bród wszystkiego, jak w komorze:
Czy w krajance, czy w gomółce
Jest w serniku ser na półce.
Wiszą kumpie i wędliny,
I półgęski i świniny;

Obok w długich żerdziach ryby;
Z siatki pachną leśne grzyby,
A kwas czysty miasto wody,
W lochu stoją białe miody,
Wódki, starki i nalewki,
I rok cały lód przeleży.
A już w świernie wiszą wianki
I rozliczne przyodziewki:
Płótna cienkie, jasne tkanki
I przybory do odzieży.
W kubli stoi ów miód święty,
A dokoła włok rozpięty...

Nucąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie, u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowej
Toczy kołem wąż domowy.
Krosna stoją w małem oknie,
I czółenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną jak uroda,
A wiek schodzi niby woda...

Niby w ciężkiem zadumaniu
O przeszłości, czy kochaniu,
Stoją niemo-czarne puszcze;
I rozlały się jeziora...
A po toniach ryba pluszcze,
A na niebie stoi góra.
Puszcze płoną gdzieś z daleka,
I w zaścianku pies gdzieś szczeka;
A za głosem z tokowiska,
Czesze gęstwią leśnik śmiały
Przez jelniki i zawały
Do rodziny i ogniska.

Stanął, — słucha, — tam dzik ryje,
Uroczyskiem łoś pomyka —
Padło wietrząc, wilk gdzieś wyje,
A puszczami żubr poryka...
— Da! niech ryje, niechaj wyje,
Niech pomyka, niech poryka!
Na strzał padnie mi przed psami,
Com dziś jeszcze nie zastrzelił,
Byle tylko się barciami
Niedźwiedź ze mną nie podzielił...

Jak lud żyje po Bożemu,
Tak i szlachta z sobą wzajem
Dawnym żyje obyczajem
Na zaściankach po staremu;
Czas jej duszy nie wykrzywił,
Nikt cię państwem nie oparzy,
A gdy w Litwie pan się zdarzy,
To pan sobie jak Radziwiłł.

Bracia szlachta powietnicy,
Leśnych włości współdziedzicy
W niebielonych siedzą dworach;
Tamto kolej do sąsiada,
I z wielebnym ojcem rada
O sejmikach, o wyborach,
Jaka komu padnie gałka,
Kogo wynieść na marszałka?

Wówczas z cicha to wybije,
Co się w głębi serca kryje;
A gdy w puszczy pociemnieje
I miód stary pierś rozgrzeje:
To przybędzie i czułości,
Wówczas żywiej i myśl płonie,
A więc radzą o Koronie,
O Statucie i przyszłości...
Lub pocieszne drwią z Pińczuka,
I z Żmudzina, jak z nieuka.

Lud tam jeszcze niezmieszany.
Wszystko jeszcze jest gniazdowe,
Jak te drogi powiatowe —
Każdy swój i każdy znany.

Więc też każdy wie, co niesie,
A choć drugim nie pomiecie,
Hardy strzelec w swoim lesie,
A brat szlachcic w swym powiecie.
I choć poznać nie da skoro,
Że o sobie wiele sądzi,
Choć w cichości i z pokorą,
Ufa twardo, że nie zbłądzi,
Bo dokoła się ogląda,
I wie dobrze, czego żąda;
A stąd bywa hart w narodzie: —
„Litwin mądry nie po szkodzie."
I w tem głównie, głównie pono
Góra Litwy nad Koroną...
Lud niedarmo to myśliwy,
I skąpany w jezior łonie!
Bo głęboki jak wód tonie,
A jak łono puszcz, stróżliwy!
W puszczy go też widzieć warto
Z strzelbą w ręku lub na łodzi;
Jak mu lekko i otwarto,
Jak strzał trafia, wiosło chodzi,
Jak zna dobrze wagę zwierza,
Wszystkie knieje i ostępy,
Kędy jaka rzeka zmierza,
Gdzie mielizny, rapy, kępy!
To też wodą, czy na ledzie,
Całą Litwą cię przewiedzie.

Póki taje, jechać zdradno, —
Lecz gdy w puszczach przyschną brody,
Gdy rzekami kry opadną,
I powtórne nizkie wody:

Lądem, wodą — jadą, płyną,
Telegami i wiciną,
Do Mitawy, do Lipawy,
A Wilią, Niemnem, Dźwiną,
I do Tylży i do Rygi
Z kupią swoją na wyścigi.

Stamtąd Niemce i najemce
Za dalekie pławią morza:
Maszty, klepki, runo owiec,
I niejedną beczkę zboża,
I niejeden łnu bierkowiec;
Litewskimi sycąc płody
Zamorskiego ludu głody...

Jak za morzem Litwa spławna,
Z puszcz odwiecznych w świecie sławna;
Tak o miedzę ziemia chlebna
Głodnym ludom jest potrzebna.
Żmudź to święta! Ziemia Boża!
Na pół leśne jej obszary,
A na poły strojne w zboża,
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary. —
Bo lud wierny w ziemi żyznej,
I nieskąpo tej ojczyzny!

Od tych prądów świętej rzeki
Aż po morza brzeg daleki
I Łotyszów płonne ziemie,
Siadło twarde żmudzkie plemie.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale za to duże chaty,
I wysokie, dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty.
Ponad drogą krzyżów pełno,
I kapliczek tuż przy domu:

Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu,
I zażywny i niemarny,
Pracowity, gospodarny,
I poważny i nabożny;
Jednej krwi z tym swoim panem,
Jednej wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,
Nie rozrzutny ani butny:
A ksiądz biskup Boga sławi,
Do dobrego wiedzie ludzi,
I jak ojciec błogosławi
Na odpuście „Świętej Żmudzi!"

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny zrazu;
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu;
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na wpół krwawa, na wpół gniewna,
Piersi jękną z tajnej głębi,
Zamiar wpadnie niby w studnię,
Lecz czas krwi tej nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłódnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa
Nasza przeszłość w swoim łonie,
Jako stara sława płonie:
To jedź bracie do Krakowa.

Jeśli poznać chcesz zabawy,
Serce niewiast świat ochoczy,
Gładkie słówka, piękne oczy:
To jedź bracie do Warszawy.

Jeśli myśl ci przyjdzie mylna
Zwątpić w przyszłość i w swobodę,
Wówczas bracie jedź do W i l n a
Poznać z hartem dusze młode.

Gdy widoku szukasz złota,
Patrz! gdzie nędza obok błota;
Gdzie człek żyje śród spodlenia,
Znajdziesz ducha poświęcenia.

Jeśli zwątpisz w siebie, w ludzi,
Patrz na cichą pracę w roli,
A znów duszę twą obudzi
Serce pełne dobrej woli,
Co każdemu niby bratem,
Co nas jedna z Bogiem, z światem.

Gdzie upadku, nędzy wiele,
Gdzieś tam blizko znajdziesz złoto;
Gdzie się godność człeka ściele,
Tam się spotkasz ze sromotą.

Gdzie źle tylko wielu czyni,
Tam winnego każdy szuka,
A choć do drzwi Chrystus puka,
Świat cię tylko tam obwini.

Do r o z u m u niema klucza,
Ale wszędzie jest w odwodzie,
Kędy bieda już dokucza,
Gdzie pracuje człek o głodzie.

Lecz gdyś w świecie trochę pożył,
I zatęsknisz już do ludzi,
Czystych, jako Bóg ich stworzył,
To się przypatrz im na Żmudzi.

A gdy Żmudź ci przyjdzie rzucić,
Nazad Litwą znowu wrócić,
To przed pińską opatrz drogą
Wóz twój dobrze w potrzeb wszelką;
Bo w pustynię wjedziesz wielką,
W ziemię dżdżystą i ubogą.
Droga pójdzie ci przez błota,
Po nich długi pomost spłynie,
W oczeretach oko zginie,
A kraj nudny — niby słota!

Ani ruchu, ani duchu,
Woda stoi, wiatr nie wieje,
Lud po puszczach mało sieje,
Jedno lasem się zabawia:
Dziegiedź pali, drzewo spławia,
Drze dranice, gnie obody,
I nałożon jest do wody,
Jak tych bobrów leśne plemie,
Co z nim na spół trzyma ziemie.

Mnóstwo jezior, rzek niemało
Po kotlinach się rozlało;
Miasto trawy — rokiciny,
Miasto bydła — huk zwierzyny.

Lud też strzelcem, póki lody;
Lecz gdy z wiosną ruszą wody,
A po puszczach wzbiorą kały:
To pod wodą jest kraj cały,
A bezpieczen lud na łodzi
Pływa wszystek wśród powodzi.

Gdy wyniesiesz z pińskiej drogi
Z ludźmi twymi całe ziobra,
A z furmanką całe nogi;
Podróż była bardzo dobra!
Lecz pamiętaj gałęź choją,
Poza bryką zatknąć swoją.
Gdy się będziesz na Ruś wdzierać,
Pamiętaj się nie obzierać,
By ci czego bies nie wlepił,
I za bryką nie uczepił!
A gdy wjedziesz w Ruś pasznistą,
Równą, suchą, nie lesistą,
W lada którem ruskiem siole
Krasawice stojąc w kole,
— Z puszczy jadą! — wołać będą —
I z hałasem wóz obsiędą,
I rozerwą gałęź choją,
I do cerkwi się przystroją.

Gdy przypomnisz wówczas sobie
Owe puszcze, patrząc krajem,
Mrowie pójdzie aż po tobie,
A Ruś ci się wyda rajem!

Kędy wóz twój, bracie, wbiegnie
Na szerokie, czarne drogi,
Tam przed tobą Wołyń legnie,
I zapomnisz kraj ubogi.

W lewo spłyną czarne role,
Ukrainy bujne leże:
Na wprost, aż po Dniestr, Podole,
A wzdłuż Dniestru, Pobereże.

Tam już dostać wody zdrowej,
Tam krynice i dąbrowy,
I brzozowe, czyste gaje,
I pług czarną ziemię kraje.

Zwolna wznoszą się kopanie,
Rzeki śmielsze nurty wiodą,
I tam kędy łan nadstanie,
Ciągną stawy srebrną wodą.
Czajki wrzeszczą nad błotami,
Bocian stoi nad żabieńcem,
A rybitwy krążą wieńcem
Ponad groblą i wodami...

Jeśliś bracię jest myśliwy,
Na wołyńskie zajedź stawy:
Boś nie słyszał takiej wrzawy
Dzikich ptaków, jakoś żywy.
Podsuń czółnem pod szuwary,
Bo pocieszne ptasze rady:
Tamto sejmy, tamto gwary,
I zaloty i biesiady!
Słysząc krzyki i gwar dziki,
Patrząc na te ptasze zwady,
Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptaszej wrzawie,
Iż przepomni człek o świecie...
Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
Że człek ptakiem sam nie żyje,
Takie szczęsne to bestye!

Pełny oddech ma tam życie,
I wszystkiego w bród obficie:
Ryb i zboża i świniny,
Bydła, koni i zwierzyny,
I konopi, pszczół i miodu,
I nie mało też narodu!

Tam ku górom Miodoborskim,
Coraz wyżej kraj się wznosi,
Milę jedziesz łanem dworskim,
Ziemia z datkiem aż się prosi!
Lecz człek pracy nie podoła,
Bo choć duże, długie sioła,

Więcej ziemi, więcej trudu,
Niż jest szczęścia, niż jest ludu...
Smutna bywa ludu dola,
Bo pan twardy i niewola;
Nie pocieszyć się tem dobrem,
Kędy praca lezie ziobrem.
Otóż kiedy łan obsiewa,
Smutne dumy lud tam śpiewa...
I ta rzewność ziemi cechą, —
Płynie siołem, płynie strzechą,
I mogiły stare mija,
I ruczajem się przewija.
Patrz! przy cerkwi wzrósł stateczny
W służbie Bożej dąb odwieczny.
I śród wioski niegrodzonej
W wiecznej żyje on tęsknicy...
Ruskie kawki i gawrony,
Gwarzą tłumnie na dzwonnicy;
Przy niej stoi dąb odwieczny
Jak śród ludu kniaź bezpieczny.

Cerkiew z trzema kopułami,
W niej odprawia — a pokłony,
Przed carskiemi stojąc drzwiami,
Bije lud na twardo chrzcony!

Na nim kożuch lśni barani,
Albo świta, doma bita,
Krzemień suty i but kuty,
A bekiesza z sukna na niej,
A na dziewce wieniec z ruty.
I naówczas wzdłuż krainy
Drzemią łęgi i caryny...
Lecz w dzień budny w polu głośno,
I hukanie grzmi donośno,
A gdy cichnie nad wieczorem,
Ścielą mgły się ponad borem;
Z pasowiska wraca stado,

Żuraw skrzypi u krynicy,
A koniuchy na noc jadą;
A ostatni blask wieczoru
Złoci białe szczyty dworu
I potrójny krzyż cerkwicy.

Wówczas starzy się gromadzą
I o swoim statku radzą: —
Przy kieliszku w karczmie kumy,
Na potulne wieczornice
Ciągną z śmiechem krasawice
Stare, ruskie piejąc dumy.
I matula świeci doma,
Choć już północ kur ogłosi;
A donieczka choć się sroma,
Choć się sroma, chłopców prosi,
Aby nie iść do dom samej,
Bo się różnie ludziom zdarza
Na przełazie, u cmentarza,
I u dworskiej, pańskiej bramy.

Różnie sobie dziewczę wróży,
Za co jej to chłopak służy?
A za służbę tak użytą
Płaci całus słodkie myto!
Gdyby matuś nie łajali,
Toby pewno się żegnali
Bez ostanku, aż do ranku,
Bo to nigdy już niesyta
Młoda dusza tego myta...

Tyle też to szczęścia, tyle,
Co te nocne dadzą chwile!
Bo o świcie krwawe życie!
Niema kumy, niema swata,
Nie usłyszy nikt już śpiewki.

Gdy ataman zakołata:
— Hej do dwora! — Nieprzelewki! —
Bo tam kiedy dwór — to wielki?
Kiedy posłuch — to już wszelki!
Kiedy liczą — to miliony!
Kiedy jedzą — to łakotki!
Kiedy biją — to na sotki
Kiedy pan — to urodzony
Pewno z księcia, albo z króla!
W domu jego dworno, szumno,
Czy to radzi, czy to hula,
Zawsze gwarno, zawsze tłumno...
A tak straszna jego wola,
Że nieposłuch — chłopu trumną.

Tysiąc pługów na obszarze
Orze zagon, gdy pan każe;
I po dawnym tam zwyczaju
Brzęczy złoto przy tokaju;
Koń arabski rży przy żłobie,
Służba panu szczerość kłamie,
A o głodzie, i po dobie,
Drży przy koniu kozak w bramie.

Gdy przybędziesz tam nieznany,
Pan cię dumnem okiem zbada:
Sam zamorską mową gada,
A z błazeńska dwór ubrany.
Na to tylko w dom cię prosi,
By cię dumą upokorzył,
Bo łaskawie ledwo znosi,
Że i ciebie Pan Bóg stworzył...

Choć cię w świecie brano w kleszcze,
Choć wyszedłeś już z językiem,
Jak to mówią ze szkół jeszcze,
A z żołnierki szczwanym ćwikiem,

Nie znasz z czego począć mowę,
Kiedy w taki dom przybędziesz...
Choć do kogo się przysiędziesz,
Takie wszystko czcze, jałowe,
Nieużyte, zimne, twarde,
Takie nudne, takie harde,
Jakby nigdy nie słyszeli
Polskiej mowy, brzęku struny...
Nigdy serca nie ujęli,
A w tem sercu krwi czerwonej!

Nie po cnocie, lecz po złocie
Poznasz, że to wnuk hetmański,
Albo tylko po klejnocie,
Co ozdabia dworzec pański.
Już z przeszłości — ani cienia,
Ni zwyczaju, ani zbroi!
Państwo tam za wszystko stoi,
Nic polskiego — krom imienia...

Nimby z nami los dzielili,
Nimby jeszcze warci byli
Promnickiego kawał chleba,
I braterstwa i swobody:
Ochrzcić by ich jeszcze wprzódy
W Wiśle albo w Gople trzeba.

Prędzej w duszy tam niewieściej
Rzewna prawa myśl zagości,
Bożej chwały, ludzkiej cześci,
I dzisiejszych tych boleści,
I bezprawia i przyszłości:
Lecz o panu „Ryczywole"
Jak ów mówił: „milczeć wolę!"

Jednak — jeśli chcesz z pociechą
Kraj opuścić, to patrz bracie,
Kędy dom pod niższą strzechą —
Tam przyjęcie czeka na cię,

Tam młódź rzeźka i świat inny,
Umysł prawy i niewinny,
Tam się jeszcze tylko chowa
Serce polskie i myśl zdrowa —
A zaciszne i w kąciku
I w pomiernym tym staniku...

Gdy wołyńskie łany rzucisz
I na wschód twe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!
Wóz twój wbiegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza, —
I krew raźniej ruszy w żyłach, —
I koń czujniej strzygnie uchem;
Drogę swoję po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu;
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości...

Hej ku morzu, ku Czarnemu,
Ku Limanu szerokiemu
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj koniu po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!

Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci,
Wicher wyje mogiłami,
Wilk oczyma nocą świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem lis pomyka.
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary,
I mkną mary przez czahary,
I krynica bije na dnie...
A tu czesze stepem, borem,
Z listem kozak, gdzie pan każe;
I czumackie ciągną maże
Od limanów w świat taborem;
Po rozdrożach czort je wodzi,
I tumany nocne płodzi...

Ponad Dnieprem, między jary,
Zasiadł dumnie Kijew stary,
Tam złocone monastery
A w nich czerńce staro-wiery.
A gościncem do Kijewa,
Płyną maże z miodem, z zbożem,
A po Dnieprze niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy drzewa.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie sioła;
Na lewadach za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica,
A mołojec każdy wojec,
Raźny, harny — a od lica,
W sercu śmiałem, w żyłach zdrowych
Bije dotąd krew koszowych;
A jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśniach żyje;

Tam stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy...
A po dworach pusta służba,
I koń czerkies, kozak drużba;
I poszyto i obuto,
Niewymyślnie, ale suto!

Tu języka Lach nie zbłaźni,
Jak przed wiekiem nieodrodny;
Stały w gniewie i przyjaźni
I zuchwały i dorodny;
Nie zwykł w księgach łamać głowy,
Ale z serca idą mowy, —
Chwat po prostu! Lubi konie,
Węgrzyn stary, krymskie burki,
Charty, łowy, jasne bronie,
I bekieszki i lisiurki.
W męskiem ciele serce prawe,
W prostej głowie rozum zdrowy,
A za dobrą jaką sprawę
Zawsze życie dać gotowy.
Bo tak ojciec i dziad czynił,
Więc i syn i wnuk się kusi;
Niechaj padnie, co paść musi,
Byle człek się nie obwinił!!...

Jasne słońce nad Podolem!
Po parowach kraj się zboczył;
Wielkim łukiem, czy półkolem
Dniestr ku morzu się zatoczył...

Jarem, jarem za towarem,
Obłogami za wołami,
Manowcami za owcami,
Poberežem na Podole,
A w Podolu jak w stodole!

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zejdź świat cały, przepłyń morze,
Niema kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie...

Tu kraj cały jednym łanem
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlekiem, płynie miodem —
A lud cały wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprawdzie trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!
Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi,
I co zmoże, w skład wyorze,
A jak umie, Boga chwali!

Kilkuletnie sterty, brogi,
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Niestrzeżone na obszarze —
I na polu skot w koszarze —
Co zabiela dniem rozłogi.
A skot bywa szerści siwej,
A koń bywa gęstej grzywy,
Nóg żelaznych, twardej skóry,
Bez narowu, lecz ponury.

Za okopem lub za płotem
Wsie zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,

Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.

Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska istne mury;
Po nich pnie się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło,
Na łokotach szumi woda,
A staw czysty jak zwierciadło!
Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum nastanie,
Jakbyś był na stepie znowu,
Równo, cicho znów na łanie...

Cicho — jednak niby ludno:
Wszędy zboża, wszędy krzyże,
Konik polny piosnkę strzyże,
O mogiłę też nie trudno...

Kłosy płyną w lekkiej fali,
A gdzieś widne w sinej dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy staro-drzewne...

A i ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto, biało odzian,
Jak dąb młody, rzeźki młodzian,
A dzieweczka — jak pszenica!

W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;
I Bóg gościa spać prowadzi,
I na drogę zlecą Bogu.

Stary zwyczaj — dobre plemię —
Człek po Bogu — chleb po ziemie —
Wszystko zgodne — wszystko wcale —
Lecz i tutaj n i e b e z a l e...

Bo śród Bożej tej krainy
W tło narodu ćmą się wprzęgła,
Co z klęsk kraju się wylęgła —
Czeladź podła, wszemu krzywa,
Która wierzchem ludu pływa,
Jak nieczyste szumowiny!

Daj ją katu gospodyniu,
I to zboże czyść z kąkolu!
Gorszy niż pan na Wołyniu
Jest półpanek na Podolu!

Wrośli oni w ziemi naszej
I rozbojem i kradzieżą,
Za plecyma naprzód Baszy —
A dźwignąwszy się łupieżą
Z podstarościch na dziedzica,
By tumanem świat złudzili,
W carskie grafy się poszyli —
Resztę dała Targowica...

Że ich państwo nowej daty,
Więc co swoje, to im wadzi:
I pod lada stare graty
Podszyćby się chętnie radzi!
A więc świecą blichtrem, szumem,
Drżą przed ludem i rozumem,
I przed Bogiem i przed wiarą,
Przed przyszłością i przed karą.
I na ich to kiedyś głowę
Spadną grzechy zaborowe!

Chroń się, bracie, ich widoku,
Bo niemiło cię poruszy.
Co u ciebie w sercu, w oku,
Nie postało to w ich duszy!

...Więc raz jeszcze potocz okiem
Po tych łąkach, po tych łanach,

I po stawie, po szerokim,
I po złotych tych basztanach!
A wypiwszy strzemiennego
Starym miodem lub wiszniakiem
Z rąk człowieka rycerskiego,
Jedź na zachód bitym szlakiem!
Bo od tych to niw kurhanu,
Aż do Bugu, aż do Sanu,
Leży czarno wyorana
Ruś Czerwona, Ruś hreczana!

Wielkich wspomnień to ognisko,
Starych bogów uroczysko,
Wiernych dziadów bojowisko,
I praszczurów pogranicze.
Tym to szlakiem ordy, dzicze,
Biły w dziejach ode wschodu,
Po nim poszedł ślad hetmański,
Z Bożym kmieciem i krzyż Pański
Ku odsieczy dla narodu.

Stąd z nad cerkwi i w kościele,
Z nad buńczuka i księżyca
Świeci ziemi na wesele
Matka Boża i Dziewica;
A o Turku i Tatarze
I dziad gwarze i dąb gwarze,
Choć już zarosł szlak hetmański
A bez trwogi jest krzyż Pański.

Prut zaszumiał przez P o p r u c i e
W ziemi Ormian — a P o k u c i e
Od Podola Dniestr oddzielił,
Co popłynął jarem kręto;
I świat wszystkich uweselił,
Bo wystrojon jak na święto!

Od tych ruskich rzek wybrzeży
Aż do Tatrów pierś jałową,
Po dziedzinę Krakusową,
Tam po Odrę, po Żuławy,
Stara ziemia Piasta leży —
I lud gnieździ starej sławy,
A w pośrodku Wisła bieży!

Na południu w jasne chmury
Wystrzeliły sine góry!
Za górami, za lasami
Poszedł Beskid granicami!
Wziął się, kędy Wisły źródła,
A zaginął „w Czarnym Lesie",
Kędy zwierz się w gawrach kudła,
A ku równiom Swica rwie się.

Tamtó szumią górskie wody,
Wierzchem ćmią się jaworzyny,
I woń ronią połoniny,
I jelenie wieją chłody!
A Beskidem płyną chmury
W czarne lasy, w sine góry...

Z Bogiem ludu, z Bogiem, w Bogu,
Od tych źródeł do Rozrogu!
Boć ci dobrze w twoich górach
Na tym owsie i żętycy!
Orły twoje współdziedzicy,
I swobodny ów świat w chmurach.

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach las przegania
Uronione orle pióra.

Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia:
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica...

Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze,
Pływa sobie orlę wieszcze,
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku,
I dokoła okiem błyśnie:
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice...

Czeladź górska też niepodła;
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki,
Wiecznie niby młody młodzian!
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany
I sam wszystek wełną odzian.

Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy niż lud w dołach.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi,

Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny,
A do kosy jaki sławny,
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na Świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha,
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar nastaje.
A na Świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy: —
Stary baca rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juhas zbrodzi
Każdy potok i manowiec.

W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szałase do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży,
Gdzie się serce z sercem mierzy,
A ze źródła woda bieży.
I w swobodę człowiek wierzy.
Tutaj silniej świat oddycha,
Tu się szczerzej człek uśmiecha,
Gdy się wiosną śmieją góry.

A gdy ponad turnie czasem
Przegrzmi latem nagła burza,
To zieleńsze potem wzgórza,
Ponad hale, ponad lasem.

Świeższe, żywsze barwy, wonie,
I powietrze bywa lżejsze,
Ach i bole serca mniejsze!
Czystsze czucia, w lżejszem łonie...
Trawnik błyszczy w świeższych rosach,
A olbrzymie półobręcze,
Rajskie wstęgi, jasne tęcze,
Pną się łukiem po niebiosach.

O te skarby, te obrazy
Prostej duszy i przyrody,
I natury i swobody
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!
Bo nie wrócą ci dwa razy,
A schwycone pozostaną...

Nie wyrywaj się z gościny,
Gdy cię losy tam zawiodą,
A z powrotem puść się wodą,
Na Dunajcu przez Pieniny.
W równie — w równie, gdzie ci tworzyć,
Gdzie ci działać bez wahania,
I w potrzebie żywot złożyć
W dobrej sprawie z przekonania!

Bo od gór tych, aż po morza.
Legła ziemia sławna z zboża,
Z wiary, z męstwa, z gościnności,
I z nieładu i z wolności!
Wielka krzywdą i cierpieniem,
Święta, krwi tej poświęceniem!

Bóg choć dojmie, błogosławi,
I dał szczodrą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako ojciec Staszic prawi:

„Dał mu chleba i stal twardą,
Złota, srebra jedno w miarę!“
Serce czułe — duszę hardą —
Miękką wolę, — silną wiarę,
Kraj otwarty, — miłość kraju, —
Ciężką pracę, — złych sąsiadów —
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomylne!

To też ludzie tam najszczersi!
Tam to polski świat ochoczy:
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.
Tam to dziewcząt śliczne oczy!
Do taneczka tylko, śpiewki!
Stare baby wygadane;
A wesołe i rumiane
U matusi rosną dziewki.

Kędy wzgórek, to i dworek,
Kędy wioska, tam i woda,
Kowal pijak i gospoda;
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią —
I na „Anioł Pański“ dzwonią;
A gołębie krążą stadem
Nad plebanią i nad sadem....

Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niej żyje lud zuchwały.
Po nim gęsta bywa blizna,
Bo po ojcu broń puścizna:

Kord we dworze wisi stary,
W chacie stoi kosa stara,
A lud jednej krwi i wiary,
A krew polska i ta wiara!
Po kościołach chwała Boska,
Na odpusty naród płynie —
I cudowna Częstochowska
Jak szeroka Polska słynie!
Rej na godach drużba wiedzie,
A z weselem kulig jedzie!
Tamto druchny śpiew miluchny,
I gospodarz gościom rady,
Tamto tany a biesiady,
A gosposie takie wdzięczne,
Takie lube i urocze
I w przyjęciu takie zręczne,
Iż gdy która cię powita,
Z mazowiecka zaszczebiocze,
I ugości i opyta,
To aż serce żałość schwyta,
Taka to tam szczera mowa,
Tak serdeczne, proste słowa!

Póki zgodnie, póty zgodnie,
To i miło i swobodnie!
Lecz gdy obcy w bójkę wda się,
Gdzie rzempolą raźno grajki,
Nie policzy kółek w pasie,
Gdy go wezmą na kijałki!
Tam nie żarty, bójka sroga!
Pod razami trzeszczą kości,
A kosterę wiedzie droga
Suchym lasem do wieczności!

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!
Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.

Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już żmudnie,
I co robi, to już robi
Z całej duszy, nie obłudnie.

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobrej wierze,
A gdy mówi — to rzecz nagą!
Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz nie bardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —
I co pocznie za gromada.
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.

Więc czy w drodze, czy to w rynkach,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na obżynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem, pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy,
Czy do pitki, czy do bitki,
Czy do szklanki, czy do tanki,
Czy to przyjdzie do piosenki,
Czy dołożyć przyjdzie ręki,
Czy nałożyć przyjdzie głową!

A przy szklance, pogadance,
Jeśli wspomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu,
I ojczystym tym zagonie,
I o dziatwie i o Bogu:
Toś mu zabrał duszę całą!
To i we łzach się rozpłynie,
I przebaczy lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.

Choć to swoje, człek się kusi,
I pochwalić, co się godzi,
Niezła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzie rodzi!

Częste, gęste, piaski, laski,
Lecz głód rzadki, Bogu dzięki!
Gdy się naród rzuci rojem,
I dołoży silnej ręki,
To niedarmo się i znojem:
Gumna, stogi się postroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.
Głośno słyną te pszenice,
I za morzem ziemie młaskie:
Sandomierskie i kujawskie —
I proszowskie okolice!

Choć im jedna świeci zorza,
Jednak różne znajdziesz kraje;
Lecz po dworach aż po morza,
Wszędzie jedne obyczaje:
W stajni konik domorosły,
W domu ściana modrzewiowa,
Umysł hojny i wyniosły
A cnota domowa!

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne ławy w ganku,
Sień obszerna, a przy wianku
Wiszą strzelby, smycze, rogi,
Kordy, rzędy, drożne burki,
I wyprawne pękiem skórki.
Drzwi na oścież — a w pokoju
Stół dębowy, woskowany,
Pod nim niedźwiedź rozesłany,
Dzban cynowy do napoju,

A na ścianach antenaty,
A na półkach srebrne blaty.

Jak dzień Boży, szum na sali,
A z tej sali, coraz dalej,
W lewo, w prawo, jasne, ciemne,
Opuszczone i przyjemne;
Jawne, strojne i ukryte,
I bielone i obite
Zakomórki i kąciki,
I pokoje, pokoiki,
I sioneczki, narożniki!

To dla pana, dla jejmości,
To dla panien, to dla gości,
Dla paniczów, pokojowych,
To dla panien respektowych.

Co tam schowka, co tam sprzętów,
Dworskiej służby, rezydentów!
A dopieroż spojrzeć wkoło,
Po układzie tym pokojem,
Jak tam dziwnie i wesoło,
Jak tam każde swoim strojem,
W swem gniazdeczku się sadowi,
Któż to wszystko wam opowie?!

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nieludno.
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył,
Dom niewielki — wtem gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.

Przybył drugi i dziesiąty,
I nieciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż nizka, przecież blizka,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone.
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban niepusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla „Zagórskich panów!"

Lecz gdy rzucisz stoły hojne,
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne...

Przed Świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie
Ponad łożem karabela...

Gdy zawcześnie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do maryasza przy kominku:
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje...

Wszystko cicho — nic nie szaśnie,
Czasem tylko warta wrzaśnie,
Albo kotki załopocą,
Lub panienki zachichocą...

Bo i cóż to tam za żywość
Młodych Polek i uroda!
Tam wstyd szczery, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda!
Boć to w cnocie i w szczerocie
W wiejskim domku uchowane,
Wypieczone, umuskane;
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka!
Niby dworne, a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie niebożątka!

Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia, jak nadzieje;
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje...

Gdy wesołe, istne trzpiotki,
I wiewiórki i szczebiotki!

Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna:
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć człek duszy jej nie zbadał,
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wyspowiadał.
A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije,
To cię dojmię tak do żywa,
Iż to cudne, cudne dziwa,
Że się serce nie rozpłynie,
Że od szczęścia człek nie zginie!
Zda się, że to żyjesz społem
Z rajskiem dzieckiem, czy z aniołem.
Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda;
Jednak lat i łez nie szkoda,
Boć raz w życiu to kochanie.
A jak ci się która poda
Z całej duszy i statecznie,
To już twoją będzie wiecznie.
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twej duszy nie wyziębi:
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga w głębi;
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jej twarzy,
Jak w zwierciedle się odbije,
Bo w tem łonie przyszłość żyje.

A czy chcecie wiedzieć jaka?

Świetna, świetna, jak myśl ona,
Którą natchnie Bóg i bitwa!
Czysta, święta jak modlitwa
Przed skonaniem odmówiona;
A potężna, jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecy!

Wyleć, wyleć orle młody!
Ponad ziemię ponad grody
Z myślą, pieśnią wyleć społem!
Potocz młodą duszę kołem!
Wyleć śmiało i wysoko,
I odetchnij w świat szeroko!
Obleć ziemię skrzydłem gońca,
Opatrz wszystko okiem słońca!
Bo tych twoich borów szumy,
I tych łanów złote kłosy,
I tych ludów śpiewne dumy,
I wód fale i niebiosy
Grają jedną pieśnią strojną
Jak Bóg wielką i swobodną!
Pieśnią, której nic nie stłumi!
Temu tylko zrozumiałą,
Kto zrósł z ziemią duszą całą,
Kto za kraj ten zginąć umie...

...Bo i cóż to tam za dusza,
Co tym ludem skrycie wzrusza!?
I wybija w tych to pieniach,
A tej dzielności na igrzysku,
I w tych męskich uniesieniach
Na pobojowisku...

Gdyby wierze pognębionej
Traf szczęśliwy podał plecy,
A tej szlachcie znarowionej
Gdyby Bóg dał rozum kmiecy:

Cóż za życie pełne cudu!
Co za dola! co za zorza!
Zeszłaby nam z tego morza.
I świeciłaby dla ludu!

...Cóż za życie pełne cudu
Co za dola i myśl Boża!
Zejść by mogła i jak zorza
Zaświeciłaby dla ludu!

O z tym ludem, ojców Boże!
Nim w spoczynku głowę złożę,
Dozwól jeszcze siać i zbierać!
Lub gdy nie dasz przy nim pożyć,
Dozwól przy nim choć umierać —
I strudzone kości złożyć!

SPIS RZECZY.

POEZYE DROBNE.

	Str.
Widzenie Janusza	7
Jeszcze pieśń Januszowa	10
Mazur	13
Pieśń poliska	14
Pieśń ruska	14
Pieśń poliska	15
Pieśń ruska	16
Wiersz pożegnania dla siostry Zofii	17
Modlitwa dla moich dzieci ułożona u grobu św. Jana Nepomucena w Pradze	18
Na powitanie Stacha	19
Sójka	20
Na „Żywotach Skargi“ ofiarowanych przyjaciółce K. L.	21
Na wiadomość o śmierci Syrokomli	22
Na Górnym Śląsku	24
Na kolumnie pod popiersiem Warszewicza w ogrodzie botanicznym w Krakowie	25
Z głosów Pisma świętego	25
Z rapsodu o Rewerze Potockim	26
Królowa ubogich	28
Na założenie węgielnego kamienia do pomnika Janowi Kochanowskiemu	28
Daniel wtóry	35
Emisaryusz	38
Do pamiętnika panny Hemildy Sabińskiej	40
Pisząc poemat „Pacholę Hetmańskie“	42
Śmierć błog. Józafata, męczennika	43
Sielanka	43
Ostatni lirnik	44
23 lutego	46

Str.

Wiersz napisany z okoliczności otworzenia w uniwersytecie praskim fizyologicznego zakładu przez J. N. Purkinie 48
Do Trenów 52
Do Najśw. Maryi Panny Częstochowskiej . . . 52

Z PODRÓŻY PO BURZY.

Wiele — Mało.
Przebolało 57
Cierpienia bez ceny i Treny — nie Treny.
Jako bywało 75
Do Gopła 77
Żale 77
Do Odry 78
Bałtyk 78
Do Tatr 79
Do Wisły 80
Do łanów 81
Do Niemna 82
Po puszczy 82
Do Dniepra 83
Do morza Czarnego 84
Domowe bogi 85
Do Dźwiny 85
Święte ognie 86
Skowronek 87
Do Dniestru 88
Żórawie i bociany 89
Do stepów 89
Do zielonego Beskidu 90
Cicho a cicho 91
Z klasztoru i z boru.
A skąd 93
Ranek w puszczy 97
Królewskie dęby 99
Pacholę na grzybach 100
Kościółek wiejski 102
Chata pod puszczą 105
Świat zakonny 108
Do Boga w ucisku 111
Leśne jezior 112

Str.

Czarna krówka.

Prowincyał 116
Gwardyan 118
Stary kwestarz 119
Kwestarz Nowicyusz 120
Klasztor w ucisku 123
Prowincyał 125
Na Bielanach 132

Ze dworu.

Pierwsza noc we dworze 133
Liliowy ranek w polance 134
Za poległych 135
Z pustyńki świętego Jana z Dukli 138

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.

Wstęp.

Na jesieni 145
Pieśń o ziemi naszej 154

Czcionkami K. Miarki, Sp. z ogr. por., w Mikołowie.